

# CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



# 3-4

(100-101) 2020

---

Rocznica 100-lecia bitwy pod Zadwórzem ♦ Sławomir Gowin o pomniku Adama Mickiewicza ♦ Stanisław Dziejic o Berdyczowie ♦ Poezje ♦ Paweł Brzegowy o naukach przyrodniczych na Uniwersytecie Lwowskim ♦ Michał Piekarski o prof. Remigiuszu Węgrzynowiczu ♦ Piotr Boroń o Marku Eminowiczu

---

---

## Szanowne Panie! Szanowni Panowie!

Sam już nie wiem, jakie słowa znaleźć, by podtrzymać Państwa na duchu, pocieszyć... Wszak bez mała rok tkwimy wyizolowani w domach. Niemal zamarło życie kulturalne, nie wspominając o towarzyskim. A może już przyzwyczailiśmy się do świata ogarniętego pandemią, w którym wolność i nasza aktywność mierzone są liczbą nowych zachorowań i zgonów na dobę? Do życia z monitorem komputera w tle, do aktywności *on-line*? Nawet *Covid-19* podzielił społeczeństwo na tych po chorobie – ozdrowieńców, i tych, których epidemia jeszcze nie dotknęła, nie wspominając zmarłych, których już nic nasze doczesne sprawy nie obchodzą. Pozwólcie więc, że posłużę się słowami pani Grażyny Potoczek, która z pozycji ozdowieńca pisze:

*Wszystko mnie cieszy  
siwy markotny świt jesienny  
ostatni brzoźowy listek walczący z wiatrem  
pierwszy wysyp kwiatów grudnika  
zapach herbaty malinowej  
smak jabłka  
i nic mnie nie drażni  
ani rozespana mucha na szybie  
ani smog za oknem*

Cieszymy się zatem wspólnie nadchodzącymi Świętami Bożego Narodzenia! Niech te dni będą dla wszystkich radosne i pełne szczęścia, uśmiechu, spędzane w rodzinnym gronie – choć pewnie nie wszyscy się odważą na odwiedziny nawet najbliższych. Niech zabrzmiały kolędy w wigilijny wieczór, a święta noc otuli nas pełnią Bożych błogosławieństw. Życzymy sobie wzajem wszystkiego, co najlepsze, na nadchodzący Nowy 2021 Rok! Nade wszystko zdrowia, wytrwałości i radości! Hej kolęda, kolęda!...

*Janusz M. Paluch*





## Henryk Zbierchowski

### *W rocznicę Zadwórze*

*Ej! posiałoś nam Zadwórze  
Purpurowe, krwawe róże  
Pokrwawionych trupów wzgórze.*

*Ej! w kozackich tam igraszkach  
Słońce się paliło w szaszkach,  
Spływał mózg po polskich czaszkach.*

*Ej! Rycerze, rycerzyki  
Tan to był potworny, dziki,  
Budiennego pękty szyki*

*I rozbiła się nawała  
W chwili, kiedy okrążała  
Miasto śmierć zdradziecka biała.*

*Oszczędzono nam ohydy.  
Wzięły w pierś swą wszystkie dzidy  
Nasze lwowskie Winkelrydy.*

*Pod kurhanem dotąd leży.  
Góra trupów bez odzieży  
Najpiękniejszy kwiat młodozieży.*

*Ej! posiałoś nam Zadwórze  
Purpurowe, krwawe róże  
Pokrwawionych trupów wzgórze.*

(pisownia oryginalna) za „Kurierem Galicyjskim”  
nr 14–15/2016

**W** sierpniu tego roku minęło 100 lat od dramatycznej bitwy pod Zadwórzem, w której poległo 294 żołnierzy polskich. Od tamtego czasu Zadwórze nazywane jest Polskimi Termpilami, a dowodzący Polakami kapitan Bolesław Zajączkowski – nosi miano Polskiego Leonidasa. Pamięć o bitwie czczono do 1939 roku. Potem robiono wszystko, by Polacy o niej zapomnieli. Bohaterowie spod Zadwórze upamiętniani byli przez artystów malarzy, ale i literatów. Prezentujemy wiersz lwowskiego literata Henryka Zbierchowskiego (1881–1942), który jakże plastycznie oddaje dramat tamtego dnia 17 sierpnia 1920 roku.



Hold Oriężtom poległym na polach Zadwórze oddają żołnierze, którzy przeżyli bitwę. fot. Marek Münz, 1921 r.

Grzegorz Hetnar, Stanisław M. Jankowski

# Zionące ogniem paszcze armatnie

Fragment książki *Powrót żołnierzy Zadwórze. Polskie Termopile*

Po sforsowaniu Bugu bolszewickie natarcie rozlało się na lasy i łąki, połknęło Derewlany, Streptów i Żelechów. Słaba obsada linii frontu pomogła 1 Armii Konnej wjechać do Rakobutów, zaatakować polskie placówki w Parchaczu i lewe skrzydło 12 pp we wsi Kupcze. Broniąca tej wsi kompania 12 pp cofnęła się, a po otrzymaniu rozkazów Detachment rotmistrza Abrahama – razem z 54 pp i 12 pp – z Zadwórze miał przemieszczać się w kierunku północno-zachodnim i rozwinąć się na linii Milatyn–Kozłów.

Tragiczną dla polskiego Detachmentu bitwę pod Zadwórzem barwnie opisał lwowski historyk Józef Białynia-Chołodecki:

Wycofały się tymczasem inne oddziały polskie pod naporem 2000 szabel i baterji artylerji bolszewików w kierunku Zadwórze, a przeważające siły nieprzyjacielskie wyparte po zwycięskiej walce przez piechotę Zajązkowskiego z Kozłowa, naciskały całą parą wzdłuż linii i odrzuciły oddziały 54 pułku piechoty na Połonice, Bogdanówkę. Nieświadoma krytycznej sytuacji piechota kapitana Zajązkowskiego wraz z karabinami maszynowymi 17 sierpnia wpadła w kłęb skoncentrowanych potężnych sił bolszewickich i zionących ogniem paszcz armatnich. Ociekająca krwią, tłumiona bezlitośnie przez łaknącą mord i łupieży czerń dzikiego motłochu, broniła się młoda latorośl dziatwy Lwowa do ostatniego strzału, do ostatniego tchu w piersiach<sup>1</sup>.

*W linii tyralierskiej ruszyliśmy na Zadwórze* – opowie Komisji Weryfikacyjnej 16-letni Adam Nowakowski, przygotowujący się do pracy jako maszynista lwowskiej PKP. – *Bolszewicy ukryci przy drodze ostrzeliwali nas gęsto kartaczami, ogniem karabinów maszynowych i ręcznych.*

Starszy o dwa lata jego kolega z warsztatów PKP we Lwowie – Michał Lachowicz napisze w ankiecie:

Powstała bitwa, aeroplany nasze strzelały z karabinów maszynowych i rzucały bomby<sup>2</sup>. Kozaków była niezliczona ilość. Spadali z koni od naszych kul jak słoma, ale na ich miejsce nadjeżdżało coraz więcej i gdy dotarli do nas, zaczęli nas rąbać szablami...

*Wszyscy mieliśmy niezłomne postanowienie walczyć do ostatniego naboju i za wszelką cenę przebić się na Lwów. Nikt z nas nie myślał o poddaniu się do niewoli, choćby przez to, że wiedzieliśmy, jak postępują „budzieńcy” ze swoimi jeńcami...* – pamięta Michał Leszczak, w 1918 roku pracownik poczty, w czasie walk z Ukraińcami ochotnik w kompanii szturmowej, a od lipca „abramczyk”.

Od 19 lipca „abramczykiem” był Marian Kurica, po ukończeniu prawa na uniwersytecie im. Jana Kazimierza referendarz w zarządzie Miejskim we Lwowie.

Powoli zdajemy sobie sprawę z tego – wspominał – że o ile nie nadejdzie pomoc, będziemy musieli zginąć. Mrowie nieprzyjaciół wciąż rośnie, przewyższają nas kilkakrotnie, przy czym amunicja nasza jest na wyczerpaniu.

Amunicji zabrakło też kapralowi Stanisławowi Olechowi, za obronę Lwowa na II Odcińku w 1918 roku odznaczonemu Krzyżem Walecznych nr 17317. Opowiedział Komisji weryfikującej o jego panicznej ucieczce przed kozakami *pod grozą ścięcia*, o ukryciu się w zbożu, gdzie udawał trafionego i o *masakrze wręcz, której wynik był dla Polaków przesądzony.*

<sup>1</sup> Józef Białynia-Chołodecki: *Zadwórze i okolice. Polskie Termopile. Pamięci bohaterów poległych pod Zadwórzem*, Lwów, czerwiec 1924.

<sup>2</sup> Byli to m.in.: por. pilot Edward Lewandowski i por. obserwator Adam Paleolog z III Dywizjonu Lotniczego (przypis autora).

## FORTECA W BUDCE KOLEJOWEJ

Potwierdzenie tej oceny znaleźć można w relacji 15-letniego Tadeusza Łohińskiego, harcerza i peowiaka, jednego z czterech najmłodszych ochotników w batalionie, który *ostrzeliwał się spod budki kolejowej z plutonowym nieznanego nazwiska, ale na niego najechali z tyłu kozacy i zarębali go na moich oczach.*

Jednym z obrońców kolejowej budki – przez niego nazywanej *twierdzą* albo *fortem* – był 17-letni Stefan Łuczynski, gimnazjalista z Drohobycza, od 7 czerwca pod rozkazami porucznika Demetera w batalionie Zajączkowskiego. Wspomina:

Cofamy się, strzelając resztką naboju, dochodzimy do budki kolejowej. Tu wre bój zaciekły. Por. Liszka strzela własnoręcznie z karabinu maszynowego, przy nim ostatnia skrzynka amunicji. Budka zamienia się w jakiś fort. Z okien z dachu wystają lufy karabinów, grzmiąc nieustająco. Stojąc za węglem, wyciągam ostatnią paczkę i strzelam. Bolszewicy spieszeni odpowiadają nam nie tylko z ręcznych karabinów, ale i z maszynowych. Rannych, zabitych coraz więcej. Ostatni nasz karabin maszynowy zamilkł. Stojący przy mnie por. Liszka strzela z browninga. Ostatni nabój zostawił sobie, zastrzelił się, by nie dostać się w ręce bolszewików. Moją uwagę zwróciło gromkie „urra”, to bolszewicy wdarli się między naszych po drugiej stronie budki, gdzie leży kapitan Zajączkowski ze straszliwie strąskaną szczęką. Rozpoczyna się nie rzeź, ale dosłownie masakra. Całym gradem do wnętrza budki zaczęły lecieć granaty, rozrywając naszych chłopców na sztuki. Uderzony kolbą w plecy przewróciłem się, udając zabitego.

Zabitych przybywało nie tylko w budce kolejowej. Na zdecydowanych wyrwać się z okrażeń żołnierzy batalionu Zajączkowskiego polowano na terenach leśnych, na polach, w domach i obiektach gospodarczych miejscowości Zadwórze. Polegli dwaj łącznicy z wysłanego na zwiad 12-osobowego patrolu plutonowego Stanisława Kuca. Pierwszego kula armatnia roztrzaskała na kawałki. Sam patrol, podstępem rozbity i zagarnięty do niewoli przez oddział bolszewickiej kawalerii odziany w polskie mundury, krzyczał po polsku: *Nie strzelajcie, my bałachowicze*<sup>3</sup>.

<sup>3</sup> Bałachowicze – żołnierze ochotniczych oddzia-

Przydzielony do baonu piechoty ze szwadronu jazdy por. Jakubowskiemu kilkunastoosobowy patrol konny, wysłany na zwiad do stacji kolejowej, został także wybity. Poległ jego dowódca pchor. Tadeusz Rejchan-Zbroja, ułani Hajduk, bracia Pawlaczkwowie i inni. Ocaleli ułani Borsuk i Żepielski.

## KOBIETY WYPROSIŁY NAM ŻYCIE

*Byłem na lewym skrzydle ostatni* – wspominał Antoni Turkiewicz, w czasie pierwszej wojny światowej walczący w szeregach armii austriackiej. – *Widziałem, jak kawaleria jedzie na nas i strzelałem do niej zawzięcie, tak że nie wiedziałem, że nasze wojska cofnęły się do sztreki<sup>4</sup> kolejowej. Opamiętałem się, że nie ma koło mnie nikogo, a kawaleria bolszewicka już blisko. Zerwałem się do ucieczki za naszym wojskiem, już nie dałem rady, byłem otoczony z każdej strony, a naboju już nie mam. Doleciałem do jednego domu, ukryłem się tam sam jeden, bo nikogo tam nie było. Za chwilę przyszło do mnie 10 kozaków i nie wiedzieli, że ja żołnierz, bo mundur wyrzuciłem i spałem całą noc. Rano przyszedł do mnie pan porucznik Zaliński<sup>5</sup> ranny w nogę i razem my poszliśmy na strych za ubraniami. Potem nas kozacy znaleźli i chcieli zabić, tylko kobiety zadwórzeńskie nas wyprosiły. Ja poszedłem do jednej chałupy, tam dostałem stare spodnie od Ludwika Karpin i poszedłem do polskiej wioski Berbeki, tu mnie ukrywała właścicielka dworu pani Helena Proszkowska. W niedzielę wieczór przyszła do nas patrol nasza, w poniedziałek poszedłem przez Kamionkę do Lwowa [...].*

## CHCIELIŚCIE KRÓLESTWO POLSKIE, A MACIE NIEBIESKIE

Tadeusz Pikor, starszy szeregowy w I kompanii piechoty porucznika K. Obertyńskiego jako 16-latek porzucił szkołę i wstąpił w listopadzie 1918 roku w szeregi Obrońców Lwowa. Walczył z Ukraińcami do zakończenia

łów walczących w składzie Wojska Polskiego II RP w 1920 pod dowództwem generała Stanisława Bułak-Bałachowicza.

<sup>4</sup> Sztreka – dawne określenie linii kolejowej, toru kolejowego.

<sup>5</sup> Chodzi o porucznika Stanisława Strach-Zalińskiego.

wojny. Następnie zamienił karabin na torni-ster szkolny i ukończył II Szkołę Realną we Lwowie. Na początku lipca 1920 r. zgłosił się do Detachmentu rotmistrza Abrahama. Karabinem potrafił już władać. Wspomina swój udział w walkach oddziału:

Za walkę pod Chodczkowem sierżant Filipow i ja otrzymaliśmy pochwałę i zostałem podany do nominacji na starszego szeregowca.

17 sierpnia powstał w oddziale ruch, oficerowie i podoficerowie wzięli odprawę, podczas której – jak się dowiedziałem z ust śp. por. K. Obertyńskiego – powiadomiono ich, że jesteśmy odcięci, nie mamy żadnego kontaktu z innymi oddziałami i jesteśmy otoczeni przez bolszewików. Po złożeniu plecaków na fura i pobraniu amunicji (125 albo 150 naboji) ruszyliśmy w stronę Kutkorza. Po wejściu na tory oddział posuwał się gęśiego po obu stronach toru w stronę Zadwórze. Po przejściu mostu żelaznego przed Zadwórzem usłyszeliśmy trzy strzały. Oddział wstrzymał marsz. Śp. por. Obertyński po naradzie z kpt. śp. Zajączkowskim wysłał na wywiad patrol na prawe ubezpieczenie plutonowego Kuca wraz z 10 ludźmi. Daje rozkaz rozwinięcia tyralierzy z tym, że jesteśmy wzmocnieni przez karabiny maszynowe. Tyralierą przechodzimy przez dość rzadki las. Jestem po prawym ubezpieczeniu, ostatnim na prawym skrzydle tyralierzy od toru idąc w kierunku Lwowa. Po wyjściu z lasu widzimy na wzniesieniu baterię bolszewicką i kilku kozaków harcujących na koniach, dajemy ognia i posuwamy się naprzód. Kpt. Zajączkowski i por. Obertyński są w środku, tj. przy torze, skąd otrzymujemy rozkazy podawane ustnie tyralierą. Szef kompanii Filipow daje mi rozkaz posuwania się wprost na armaty i pilnowanie, by skrzydło nie załamało się i szybkim atakiem na bagnety zdobyć wzgórze, jednocześnie zdaje mi nad żołnierzami na prawym skrzydle dowództwo, sam udając się na środek oddziału po rozkazy, zagrzewając żołnierzy do walki. Baterie bolszewickie zasypują nas szrapnelami, granatami i w końcu kartaczami. Przechodzimy przez rów czy potoczek, zmuszając baterię bolszewicką prawie do zaprzestania ognia, tak że zaczęli zaprzęgać konie do armat. Byliśmy pewni, że armaty zdobędziemy, wtem zauważyłem, że kozacy nas otaczają. W międzyczasie karabiny maszynowe psują się, stają się nieczynne. Dochodzi wiadomość, że konnica to są petlurowcy, którzy idą nam z pomocą, dojeżdżają do nas na odległość głosu krzycząc „pan zdaj się”. Dałem rozkaz ognia, konnica wstrzymała się i pomknęła w stronę toru. Zauważyłem, że z drugiej stro-

ny jak i z boku jadą na nas kozacy, starając się zamknąć w kole. Raz jeszcze odpieram atak ogniem karabinów, posuwając się z oddziałem (prawe skrzydło) w stronę armat. Niestety tyralierą (ustnie) dochodzi rozkaz cofać się do stacji. Żołnierzy z trudem zdołałem opanować, wskazując na zbliżających się kozaków. Wydałem rozkaz strzelania do nich w biegu. W pierwszym momencie, gdy byłem zajęty żołnierzami, wyjechał z boku kozak strzelając do mnie, kula przebiła mi pierś na wylot, zachwiałem się, przyklęknąłem i oddałem strzał do kozaka, zdaje się raniąc go, bo się wycofał. Kolega Szul odebrał mi i wyrzucił do bagna karabin i staniającego się przyprowadził do budki, gdzie przy pomocy innych obandażował. Kazałem mu uciekać, sam tracąc na pół przytomność. Po przyjeździe bolszewików, którzy zdrowych zabrali, mnie zaś rannego wepchnęli do stajni, gdzie leżałem całą noc, brocząc krwią i charcząc tak, że koło drzwi stał budnik<sup>6</sup> z łopatą oczekując skonania. Dożyłem rana, przyjechali bolszewicy. Było ich dwóch czy trzech i chcieli mnie zastrzelić, zdarli spodnie, byłem już bez bluzy. Zaprowadzili mnie i dwóch jeszcze na pobojuwisko i tam kozak wyjął rewolwer z okrzykiem „Chcieliście królestwo polskie, macie niebieskie”.

Uratował nas przypadek. Jakaś karetka, w której jechał rzekomo Budiennyj – odwołał kozaka, drugi kozak kazał nam iść do wsi, gdzie było już kilkudziesięciu jeńców.

*Czy we Lwowie będą dzisiaj, i czy dzisiaj zetkną się z nieprzyjacielem – pytali żołnierze na odprawie, i te pytania piętnaście lat później relacjonował Komisji 17-letni wówczas krawiec Wilhelm Ursel z kompanii karabinów maszynowych, przed wyruszeniem w pole uczestnik dwóch szkoleń na strzelnicy. – Niedługo dano nam czekać, bo w niespełną godzinę już nawiązaliśmy kontakt z bolszewikami przed wsią Zadwórze, u wylotu której padły pierwsze strzały, piechota ruszyła do ataku, a II komp. karabinów maszynowych maszerowała torem kolejowym, na który tor kolejowy poleciały pierwsze strzały armatnie, wówczas porucznik Dawidowicz dał rozkaz podzielenia na plutony, które ruszyły do ataku zajmując odpowiednie pozycje bojowe, ja z plutonem*

<sup>6</sup> Budnik – pracownik kolejowy (strażnik, dróżnik) doglądający nawierzchni, urządzeń oraz obsługujący zapory rogatkowe, zamieszkujący w budce kolejowej.





Z albumu rodzinnego Andrzeja Jacka Zajączkowskiego

*II I K.K.M. zajęliśmy pozycje na prawo od toru kolejowego i gdy zaczęły się posypywać coraz to gęstsze strzały armatnie, wtenczas por. Dawidowicz dał rozkaz do ataku. Po odparciu artylerji bolszewickiej otrzymałem rozkaz od ppor. Liszki, ażebym wziął dwóch ludzi ze sobą i sprowadził wózki z amunicją, pozostawione na torze kolejowym. Zaznaczam, że tego rozkazu nikt nie chciał podjąć się do wykonania, bo wszyscy woleli być przy oddziale i nie odłączać się od całości. Rozkaz powyższy wykonałem pod groźbą rewolweru trzymanego przez por. Dawidowicza.*

Przenosząc skrzynkę z amunicją, dostaje odłamkiem pękającego granatu, widzi śmierć kaprala Kleina trafionego kulą, przy spalonym budynku fabryki leżącego sierżanta Barana z rozszarpaną szyją odłamkiem granatu.

## **ZIARNKO PIASKU W MORZU KOZACTWA**

Zrobiło się straszne zamieszanie, kozacy wdarli się na lewe skrzydło i siali dzieło zniszczenia. Nic nie było można usłyszeć, tylko nieregularne strzały, szczęk szabel i jęk rannych przeplatane wyciem kozactwa. Jed-

nym słowem zostaliśmy otoczeni ze wszystkich stron i prawie pogubiliśmy się między kozactwem, jak ziarnko piasku w morzu. Wszyscy legli pokotem, poćwiartowani szablami dziczki kozackiej, składając młode życie w ofierze Ojczyzny. Z wyjątkiem nas paru, żeśmy uniknęli cudem śmierci dostając się do niewoli na samym dworcu w Zadwórzcu.

Śmierci uniknęło również kilku żołnierzy z lewego skrzydła tyralierzy atakującej wzgórze, skąd maszerującą kolumnę ostrzelały bolszewickie karabiny maszynowe i artyleria. Natarcie wspierały polskie maszynki, wśród nich cekaem obsługiwany przez Konstantego Zarugiewicza, nazywanego powszechnie Kostkiem. Wspomina go Leon Karol Koesler ze Stanisławowa, w 1920 roku absolwent szkoły realnej we Lwowie, a w Detachemencie Abrahama żołnierz II kompanii C.K.M.:

Nie mogę tu ominąć opisu tej przedziwnej maszyny. – Pod Kozłowem jeszcze wydebił gdzieś „Kostek” koła wraz z dyszlem z chłopskiego wozu. Na nich umocował swoją maszynkę, umieszczoną w beczce bez dna. Jak się ogólnie spodziewano, przyrząd ten miał podczas strzelania dawać efekty akustyczne, które napawać miały bolszewików przerażeniem. W istocie jednak po pierwszej serji, oddanej na próbę, omal nam samym bębenki

w uszach nie popękały. Wobec tego beczkę usunięto, natomiast maszynka odtąd na kołach ciągnionych przez małego konika była odtąd chlubą pierwszej kompanii C.K.M., a celowniczy plut. Zarugiewicz był nieodstępnym towarzyszem porucznika Hanaka, którego był jak kpr. Czyżewski, st. szer. Śmiałowski i piszący te słowa młodszym kolegą szkolnym. Maszynowy karabin Zarugiewicza zaczął bić, bój się zaczął [...].

Na rozkaz por. Obertyńskiego odłączyliśmy się od następującej piechoty i ostrzeliwując baterię, posuwaliśmy się w kierunku jej stanowiska. Po kilkakrotnej zmianie stanowiska znaleźliśmy się na skraju drogi prowadzącej do wsi. Stąd widać było baterję już wyraźnie. Po wybiciu do końca gurtu bateria przestała strzelać. Jednak po założeniu nowego i przy próbnej serji karabin się zaciął. Podczas naprawy jego oddalił się od nas podchorąży hr. Piniński. Po chwili wrócił (był błądy i bez czapki) i dał rozkaz dalszego posuwania się biegiem za sobą. Gdyśmy wyszli na otwarte pole, tyraliera naszej piechoty znacznie się od nas już oddaliła. Biegiem podążyliśmy za nią. Znajdowaliśmy się niedaleko owego wzgórza, gdy część tyraliery zaczęła zachodzić prawym skrzydłem na nasyp kolejowy [...]. Rzadki ogień karabinowy nie zapowiadał tego, co za chwilę miało nastąpić. W chwili, gdy dostaliśmy się pod samo wzgórze potężny i nieustanny wrzask „hurra” poderwał całą obsługę – zmęczoną długim biegiem do wysiłku. To, co nastąpiło, było tak nagłe, że chwila upłynęła, nim karabinowy zdolny był do wydania rozkazu. Zza wału, tam gdzie wzgórze przechodziło już w równinę, wypadła cała masa kawalerji, która w mig otoczyła cały teren; pierwsze jej szeregi rozwinęły się, dalsze szarżowały w szwadronach. Błysk szabel i nieludzki wrzask. Nie było chwili do stracenia. Część tej masy kawalerji oddzieliła się i popędziła w stronę lasu po lewej stronie toru kolejowego. W tym momencie zauważyliśmy brak podchorążego hr. Pinińskiego i celowniczego Ekesa. Karabinowy plut. Czarnowski już dał rozkaz strzelania. Znajdowaliśmy się w odległości kilkuset metrów od szarżującej kawalerji, gdy jeden z obsługi krzyknął „kawaleria na prawo”.

## **„NA SKOK KONIA” DOBYLI SZABEL**

*Na prawo od nas, w odległości kilkudziesięciu kroków wyłoniła się zza wzgórza linja kawalerzystów. Na czerwonym tle nieba czarne sylwetki posuwały się stępa, prostopadłe do wzgórza w kierunku pola. Następnie linja*

*jeźdźców zwróciła się do nas. Nie dobyli szabel i zdawali się nas nie widzieć. W tym momencie ktoś z obsługi wyraził przypuszczenie, że to są petlurowcy<sup>7</sup>.*

*Plut. Czarnowski wyskakuje z cienia wzgórza, w którym staliśmy i krzyknął: „Kto wy?” Za drugim okrzykiem, gdy jeźdźcy byli w odległości jakich pięćdziesięciu kroków, zauważyli plutonowego, podskoczyli naprzód wymachując rękoma i krzycząc: „Ne strilaj”. Przez moment zdawało nam się, że to istotnie sprzymierzone z nami wojsko. Aż jednak poznaliśmy z przerażeniem naszą omyłkę. W błyskawicznej już bliskości, „na skok konia”, dobyli szabel i z okrzykiem „brosaj orużje”<sup>8</sup> błyskawicznie nas otoczyli. Było nas sześciu czy siedmiu ludzi. Rozdziano nas do bielizny i około stu nas popędzono do wsi. Na drodze rzuciło się na nas kilkunastu piechurów bijąc kolbami karabinów. Popędzeni w niewolę mieliśmy jedną pociechę: po drodze spotkaliśmy transport rannych bolszewików z Zadwórza.*

Dobra piechota zachowująca zimną krew może śmiało w otwartym polu odeprzeć, a nawet zniszczyć przeważające siły jazdy, jeżeli jest odpowiednio ugrupowana. Jazda nieprzyjacielska atakuje zwykle luźną ławą okrążając skrzydła i tyły piechoty. Kozacy strzelają już na 200 metrów z konia i z k.m., by tym samym ogniem flankowym demoralizować piechotę. Dopiero gdy jazda spostrzeże, że piechota traci pewność siebie, następuje szarża, w przeciwnym razie jazda nieprzyjacielska wycofuje się i znika [...].

Z chwilą przybliżania się atakującej jazdy na odległość mniejszą niż 200 metrów łączą się pojedyncze sekcje i drużyny wzdłuż tyraliery w grupki po 6 do 8 ludzi i stojąc plecami do siebie odpierają atak ogniem. Do patroli kozackich złożonych z 2–6 ludzi w ogóle strzelać nie należy. Przepuszczają je na 50 kroków i zaskoczywszy je, brać do niewoli.

Podręcznik nie odpowiadał na pytanie, jak z pięciokrotnie silniejszą jazdą walczyć może piechota bez amunicji.

<sup>7</sup> Petlurowcy – żołnierze Ukraińskiej Republiki Ludowej pod dowództwem atamana Symona Petlury sprzymierzeni z Wojskiem Polskim w wojnie 1920 z bolszewikami.

<sup>8</sup> Brosaj orużje – wezwanie do poddania, rzucenia broni.



## CIĘCIE ZA CIĘCIEM

Na stacji Zadwórze zostaliśmy zasypiani gradem pocisków armatnich – relacjonował 21-letni rolnik, doświadczony już żołnierz byłej armii austriackiej, żandarmerii WP od 1918 roku Kazimierz Pastuszak.

Około godziny 14, może 14.30 zśliśmy torem kolejowym odcinkiem Krasne–Zadwórze. Był jeden batalion piechoty, oddział karabinów maszynowych i trzy wozy taborowe z rezerwową amunicją. Gdy wyszliśmy z lasu, pierwsze strzały armatnie spadły na naszą amunicję rezerwową. Wozy te zostały doszczętnie rozbite. Na torze kolejowym broniliśmy się rozpaczliwie od ataków kawalerii. Zostaliśmy zasypiani gradem pocisków armatnich. Oddział karabinów maszynowych został doszczętnie rozбит. Dowódca naszego batalionu kapitan Zajączkowski niszczy swoje dokumenty. Odczuwamy brak amunicji. Wpada na nas oddział kozaków, bronimy się do ostatniej chwili. Ugodzony czymś w głowę padam na ziemię obłany krwią. Po chwili wstaję, łapię karabin do ręki i chcę bić, co bym tylko nie upadł. Niestety wpadło na mnie kilku kozaków i zostałem rozbrojony. Kolega ucieka przed śmiercią już porąbany. Teraz dostaję szablę w głowę, później cięcie za cięciem. Padłem nieprzytomny, była godzina 18 po południu. W nocy się przebudziłem cały zbroczony krwią. Gorączka mnie pali. Nad ranem zobaczyłem całą naszą kompanię wyciętą w pień. Doczołgałem się do budki kolejowej, tam żona budnika zrobiła mi pierwszy opatrunek. Teraz dopiero widzę, że jestem pokrajany i porąbany; dostałem sześć cięć szablą, jedno tępe. Znalazłem się na tyłach bolszewickich. O ucieczce nie było mowy, bo byłem prawie konający. Rano wyniósł mnie budnik na podwórze, kawałek od budki. „Majesz rewolwer?” – zaczął kaprala nadjeżdżający kozak.

Ranny żołnierz miał twarz i głowę zalaną krwią, a także niemal obcięte lewe ucho. Nie wiedząc, jak się odezwać, pokręcił przecząco głową. Zapamięta też i opowie Komisji Weryfikacyjnej, o swoich życzeniach pod adresem kozaka:

– Żebym miał rewolwer, to ty, bydlaku, na koniu już byś nie siedział, a jak ja krew miał na twarzy – tak sobie wspominałem. We wsi Zadwórze dołączyli mnie do kilku innych jeńców i pognali do Brodów. Po drodze chcieli mnie zarąbać szablami, bo omdlony z trudem szedłem. Nocowaliśmy w Busku na rynku. Rano przybył do mnie lekarz cywilny

ze swoją żoną. Dał mi opatrunki. Proszę go, aby doniósł do Lwowa, że jestem ciężko ranny i dostałem się do niewoli bolszewickiej.

Ranny kilkakrotnie 17-letni ochotnik Grzegorz Fedorec w ankiecie weryfikacyjnej napisał:

Lewe i prawe skrzydła nie wytrzymują naporu bolszewików i wycofują się w kierunku torów. Obok stacji kolejowej oddział tworzy czworobok ochronny. Lekkie taczanki bolszewickie z karabinami maszynowymi robią podjazdy na skrzyżowaniu toru z drogą. Kładą pokotem naszych na drodze. Reszta oddziału przechodzi tę drogę. Karabiny maszynowe przestają działać z powodu braku amunicji. Oddział piechoty broni się jednak dalej z zaciełości, kilku śpiewa nawet *O mój rozmrynie*. Słychać nawoływania: „Podawać amunicję, bolszewicy biorą do niewoli”. [...] Ranny ogniem karabinu maszynowego upadłem i jęczałem. Kapitan Zajączkowski wbiega na wał i ujrawszy oddział otoczony i nacierających bolszewików z białą bronią wypala kilkakrotnie ze swego mauzera do nich i strzela sobie w skroń. Pada o 20 do 30 kroków ode mnie [...].

W chwilę potem bolszewicy przedzierają się przez wał. Kilka koni przeskakuje przede mną. Po półgodzinnej walce zobaczyłem jeszcze walczącą garstkę żołnierzy polskich obok budki kolejowej i ci zostali wyrąbani. Bolszewicy powracają po zwycięskiej walce, odzierają rannych z mundurów i szablą lub bronią palną, strzelając z bliska dobijają ich. Dwóch kozaków, ujrawszy, że ruszam głową, zbliżyło się w moim kierunku. Jeden z nich z odległości 4–5 kroków wymierzył z karabinu, nabój jednak nie wypalił, manipuluje bronią, wówczas drugi podjeżdża i siedząc na koniu chwytła mnie za pierś, podnosi, uderza mnie ręką w głowę i szczękę, którą wyrzuciło ze stawu. Chwyciłem go za rewolwer, widząc, że w kurczach przedśmiertnych trzymam jego broń, strzelił do mnie przestrzeliwszy mi lewe ucho. Udając zabitego skręcam się i padam obok toru do rowu. Na to słyszę słowa bolszewików „ubityj” [...]. Następnego dnia rano udzielają mi pomocy kolonistka polska z Zadwórze Rozalia Szulman i jej brat. Niosąc mnie do wsi napotykalą kozaków. Ci zabierają mnie do niewoli [...].

W Brodach podczas załadowywania do wagonu zbliżyli się do nas ranni pod Zadwórzem bolszewicy. Dowiedzieliśmy się od nich, że oddział majora Abrahama przeszkodził skoncentrowaniu oddziałów bolszewickiej kawalerii (6-tej i 4-tej dywizji) pod Zadwórzem

Ppor. Bolesław Zajączkowski w Legionach Polskich, z albumu rodzinnego Andrzeja Jacka Zajączkowskiego



w celu uderzenia na Lwów w nocy z 17 na 18 sierpnia [...].

W budce walczył i kapitulował Emil Dudzic, po ukończeniu Szkoły Powszechnej zatrudniony w Buczaczu „jako robotnik w jakimkolwiek zakresie” aż do 17 lipca 1920 roku (dzień wstąpienia do Wojska Polskiego). Z lakonicznej relacji spisanej przez Komisję Weryfikującą we Lwowie:

Idziemy naprzód, ukazali się kozacy, do których otworzyliśmy ogień. Pierwsze szeregi załamały się, lecz dopiero teraz zauważyliśmy, że jesteście otoczeni ze wszystkich stron, więc przystąpiliśmy do rozpaczliwej obrony. Zagrały karabiny maszynowe wspierane naszym ogniem. Stała się rzecz straszna: całe stopy kozactwa i koni leżało już na przedpolu, ale bolszewicy pomimo wszystko pchali na nas coraz to nowe szwadrony. Zaczęła się nam wyczerpywać amunicja, a co najgorsza brak wody i ciągle zacinać się karabinów maszynowych przyczyniły się do naszej klęski. Zrobiło się straszne zamieszanie: krzyk rannych, szcęk szabel, kwik koni robiły wrażenie sądu ostatecznego. Każdy zaczął bronić się na własną rękę. Rozpalone karabiny zaczęły zacinać się i parzyć ręce, w żaden sposób nie można było operować karabinem.

Zmieszaliśmy się z kozakami bijąc się w pojedynkę tak że kilku z nas dotarło do stacji kolejowej Zadwórze, gdzie zabarykadowaliśmy się w budce kolejowej i rozpoczęliśmy przez okna ostrzeliwać się kozakom. Po półgodzinnej walce zostaliśmy otoczeni przez kozaków i zabrani do niewoli”.

### CHŁOPIEC Z SZABELKĄ

Henryk Nowy, szeregowy I kompanii piechoty, po latach rachmistrz i buchalter, tak wspominał epizod spod Zadwórze:

Kozacy kazali nam zaraz zdjąć mundury i iść w stronę wsi [...]. Za wsią zastaliśmy kilkudziesięciu naszych jeńców, wszyscy tylko w bieliźnie. Dowiedzieliśmy się, że oddział nasz rozbity. Na noc zaprowadzono nas do jakiejś stodoły w Zadwórze. Rano ustawiono wszystkich w szeregu przed jakąś chatą, mieszkanie komendanta. Tam przechadzał się chłopak kilkuletni w towarzystwie kozaków. Wyjął szabelkę i powiada „nada parubat”<sup>9</sup>. Poprowadzili nas następnie przez Adamów, Krasne do Ożydowa, a z Ożydowa pociągiem do Brodów, Dubna, gdzie w koszarach połączono nas z innymi jeńcami.

### BRYCZKĄ DO NIEWOLI

Do niewoli spod budki kolejowej trafił ranny Józef Walter, mistrz malarski ze Strzelisk Nowych, dezerterski z armii austriackiej, a pod rozkazami rtm. Abrahama uczestnik obrony Lwowa w latach 1918–1919.

*Tymczasem – pisze – zjawiają się na lewo od toru nowe oddziały jazdy bolszewickiej. W pierwszej chwili myślą nas siwe mundury hallerowskie, poznajemy jednak niedługo po czerwonej płachcie, że to bolszewicy. Rozpoczynamy ogień, kawaleria cofa się w nieładzie. Zасыpuje nas ogień bolszewicki od strony wsi Zadwórze. Tu pada sierżant Filipow [...]. Padają gęsto i inni. Zwracam się do kapitana Zajączkowskiego z prośbą, by pozwolił zdjąć sobie epolety, gdyż widziałem w 1919 roku, że bolszewicy rąbią oficerów. Zostałem za to skarcony. Ostrzeliwujemy się gęsto. Po drodze pada podchorąży Gettman.*

*Koło budki kolejowej – pisze dalej – zostaję ranny w głowę, mam jednak na tyle przytomności i świadomości, że proszę kol. Dobruckiego, by mnie opatrywał. W chwili, gdy zaczyna mnie opatrywać, zostaje zastrzelony przez bolszewików, którzy tymczasem doszli już do budki. Czarno mi robi się w oczach, tracę przytomność, gdy przychodzę do świadomości, jestem odarty do bielizny, podchodzą bolszewicy i każą mi iść do wsi. Po drodze wsadzają kilku z nas na jakąś bryczkę i tak dojeżdżamy do wsi, skąd transportem rannych do Brodów, a potem pociągiem w głąb Rosji.*

<sup>9</sup> Nada parubat – trzeba zarząbać.

# BOHATEROWIE SPOD ZADWÓRZA

Z Grzegorzem Hetnarem, współautorem książki *Powrót żołnierzy Zadwórze. Polskie Termopile* rozmawia Janusz M. Paluch

Minęło sto lat od bitwy pod Zadwórzem nazywanej w literaturze historycznej Polskimi Termopilami... Bitwa i jej bohaterowie, o których pamiętano przez okres II Rzeczypospolitej, a przez dziesięciolecia PRL-u niemal całkowicie wymazano z pamięci społecznej... Po raz pierwszy oficjalnie o bitwie i jej bohaterach przypomniał prof. Stanisław S. Nicieja w swej książce o Cmentarzu Orłąt Lwowskich. Teraz, w stulecie, dzięki Panu i naszemu krakowskiemu publicyście i historykowi Stanisławowi M. Jankowskiemu, otrzymujemy pełny jej obraz! O ile Stanisława Jankowskiego nasi czytelnicy znają, Pan dla nas jest jakże miłą niespodzianką. Proszę opowiedzieć nam o sobie...

Mam 60 lat, mieszkam na Dolnym Śląsku. Jestem historykiem amatorem, bez tytułów i dorobku, za to ze sporą wiedzą.

Do Lwowa jeżdżę od ponad 20 lat, dokładnie od 1997 r. Tam spędzam rok w rok swój urlop. Z wiadomych względów niestety nie byłem w tym roku.

Rodzina moja pochodzi spod Lwowa. Kolonia Rulikówka, wieś Świtazów, gmina Skomorochy, powiat Sokal. Rulikówki nie ma. Za Sowietów została zniszczona, zarwana. Został tylko stary polski cmentarz i kościół zamieniony na magazyn zboża. Na Cmentarzu Łyczakowskim oraz w Świtazowie odwiedzam rodzinne mogiły. Dziadkowi i prababci postawiłem krzyż z tablicą. Po kilku latach poszukiwań dotarłem do przedwojennych ksiąg metrykalnych parafii w Świtazowie dotyczących mojej rodziny.

Początkowa ciekawość przerodziła się w prawdziwą fascynację miastem oraz jego historią. Urok, magia miasta Semper Fidelis. Tego nie da się opowiedzieć. Ile razy można spacerować ulicą Ormiańską, Krakowską czy Łyczakowską, odbyć marsz ulicą Gródecką od kościoła św. Elżbiety w dół do Teatru i z powrotem, przejść skrótem

z dworca kolejowego do Cmentarza Janowskiego. To wszystko z aparatem fotograficznym. Zbiór zdjęć zrobionych we Lwowie to ładnych kilkanaście tysięcy sztuk. Zapewne nie tylko ja z niemyim zachwytem patrzę m.in. na lwowskie balkony.

Pasjonuję się obroną Lwowa w latach 1918–1920. Zgromadziłem sporą bibliotekę na ten temat. Posiadłem wiedzę o walkach o polskość miasta, o ich bohaterach. Odwiedzam za każdym razem Cmentarz Orłąt, zawsze fotografuję. Młodzi żołnierze spoczywający na Cmentarzu Obrońców Lwowa nie są dla mnie bezimienni. Czasami przechodząc obok mogił, wiem, gdzie Oni polegli. Wielu z nich walczyło na Górze Stracenia i pod Persenkówką w oddziale Romana Abrahama.

Pierwszą podróż do Zadwórze odbyłem już w 2010 roku.

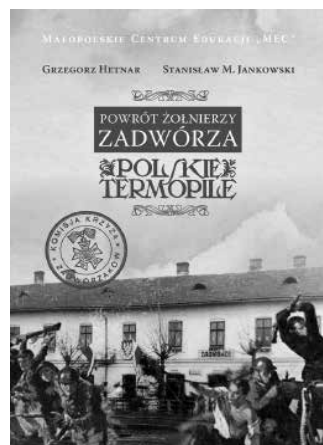
Niedosyt wiedzy zaprowadził mnie w końcu we Lwowie do Centralnego Państwowego Archiwum Historycznego Ukrainy – tego koło kościoła Bernardynów, i Archiwum Państwowego Obwodu Lwowskiego na ul. Podwalnej – tam gdzie handluje się książkami.

Nie mamy pełnego obrazu bitwy, a książka nasza raczej porządkuje jej przebieg. Mamy jeszcze za mało informacji. Może ktoś następny zakończy rozpoczęte prace.

**Skąd się wziął pomysł na pracę nad Zadwórzem i jego bohaterami?**

To inicjatywa Pana Stanisława M. Jankowskiego, propozycja wspólnej pracy, na którą przystałem.

Jak nie wykorzystać odnalezionych materiałów we Lwowie, oddać pełniejszy przebieg zmagania boju pod Zadwórzem, jak nie



opublikować nazwisk przemilczanych i nieodkrytych przez dziesięciolecia. Zbliżała się stuletnia rocznica bitwy.

**Przez całe lata Zadwórze było hasłem, miejscem dramatycznej bitwy, w której polegli niemal wszyscy żołnierze. Pisano, że tylko kilku przeżyło, dostając się do sowieckiej niewoli... W książce zamieszczono niemal całą imienną listę żołnierzy uczestniczących w bitwie, tych, którzy zginęli, oraz tych, którym udało się przeżyć. Proszę opowiedzieć, jak Pan docierał do archiwaliów.**

Centralne Państwowe Archiwum Historyczne Ukrainy we Lwowie posiada opracowany i wydany w 2005 roku w języku polskim przewodnik po zasobie archiwalnym. To bardzo ułatwia pracę.

Z zasobem Archiwum Państwowego Obwodu Lwowskiego jest zupełnie inaczej. Zawartość każdego zespołu opracowana została przez archiwistów jeszcze Związku Sowieckiego w latach 80. i opisana jest w języku rosyjskim. Wiele czasu zajmuje przejrzenie kilku tomów opisów i odnalezienie właściwego numeruteczki. Zamówionych dokumentów nie otrzymuje się następnego dnia. Oczekiwanie trwa kilka dni, czasami po tygodniu można rozpocząć prace i przeglądnąć zawartości.

Cztery lata starań i pracy zajęło mi dotarcie do zebranych materiałów. Odbyłem kilkukrotne kwerendy we Lwowie i Warszawie w latach 2017, 2018, 2019, a w tym roku trzykrotnie w Centralnym Archiwum Wojskowym.

Podstawą list żołnierzy, którzy polegli w bitwie pod Zadwórzem, oraz tych, którzy przeżyli, są dokumenty z Archiwum Państwowego Obwodu Lwowskiego ze Lwowa. Dotarłem w czasie kwerendy do materiałów Komisji Weryfikacyjnej Uczestników bitwy pod Zadwórzem z 17 sierpnia 1920 roku z Detachement rotmistrza Abrahama. Lista 278 nazwisk żołnierzy poległych oraz 46 żołnierzy, którzy bitwę przeżyli. Spis nie został ujęty alfabetycznie. Piętnastu spośród poległych nie posiada imion. W jednym przypadku nie odnotowano stopnia wojskowego. Nie przy wszystkich nazwiskach odnotowano przydział, przynależność do konkretnej kompanii czy plutonu. Znani są z imienia i nazwiska dowódca I, II, III kompanii pieszej, dowódca baonu karabinów maszynowych, dowódca patrolu konnego

oraz kpt. Bolesław Zajączkowski jako dowódca całego oddziału.

Zebrałem literaturę poświęconą tematowi Zadwórze, także część przedwojennej prasy lwowskiej, Listę strat Wojska Polskiego. Polegli i zmarli w wojnach 1918–1920 to blisko pięćdziesiąt tysięcy nazwisk żołnierzy walczących o Polskę. Listę tę przejrzałem dwukrotnie. Dodatkowo z wydanymi do Listy strat w 2012 Indeksami. Szczegółowa i wielokrotna analiza zebranych informacji, czasami sprzecznych, pozwoliła mi wyłuskać nazwiska i stworzyć listę żołnierzy poległych i tych – więcej niż dwunastu, którzy bitwę przeżyli. Wśród ocalonych jedyny oficer: porucznik Stanisław Strach-Zaleński. To żołnierz o wielkich zasługach w Legionach Polskich, Korpusie Wojska Polskiego na Wschodzie, Polskiej Organizacji Wojskowej. Człowiek całkowicie zapomniany przez władze II RP, bardzo tragiczna postać.

Utworzyłem spis nazwisk 294 żołnierzy poległych w bitwie, 83 żołnierzy którzy ją przeżyli, także nazwiska blisko 30 żołnierzy oddziału rotmistrza Abrahama, którym dzisiaj niestety, z braku informacji, nie można potwierdzić udziału w bitwie.

To ogrom pracy, poświęconego czasu kosztem rodziny i codziennych obowiązków.

Dzisiaj wiem, że nie są to wszystkie dokumenty, brakuje m.in. arkuszy ewidencyjnych Stowarzyszenia Zadwórzaków.

Po wydaniu książki dotarłem już do nowych nazwisk. W czasie wierszowej pracy w Centralnym Archiwum Wojskowym zweryfikowałem trzech uczestników bitwy, którzy ją przeżyli. Kolejne sześć nazwisk czeka na sprawdzenie.

Nagłośnienie list może pomóc w odnalezieniu następnych żołnierzy.

Koronawirus pokrzyżował plany dotyczące promocji książki tam na miejscu w Zadwórze na stulecie uroczystości bitwy oraz kolejnej pracy w archiwach we Lwowie.

**Dowódca zadwórzaków, kapitan Bolesław Zajączkowski – nazywany w literaturze Polskim Leonidasem – urodził się w Krakowie, a ściślej w Podgórzu. Panu udało się znaleźć w Warszawie jego rodzinę. Czy oni mieli świadomość kim był Bolesław Zajączkowski?**

Bolesław Zajączkowski urodził się 29 października 1880 w Krakowie. Tak jest napisane w metryce posiadanej przez rodzinę. W dokumentach wojskowych odno-

towano błędną datę urodzenia, tj. 1881, i ta data podawana jest w różnych publikacjach.

Rodzina śp. kapitana Bolesława Zajączkowskiego przechowywała pamięć o bitwie. W swoich zbiorach trzymała przez dziesiątki lat dokumenty, fotografie po dowódcy bitwy pod Zadwórzem oraz jego żołnierzach. Rodzina mieszkająca we Lwowie od 1920 roku skrupulatnie zbierała artykuły z prasy lwowskiej poświęcone samej bitwie oraz uroczystościom rocznicowym. Dokumentacja ta, jak relikwie, przekazywana była z pokolenia na pokolenie. Ten rodzinny zbiór, przetrwał czasy czarnej i czerwonej zarazy. Dzisiaj znajduje się w rękach Pana Andrzeja Jacka Zajączkowskiego z Warszawy, za którego zgodą został udostępniony w książce. Pan Andrzej kultywuje pamięć o bitwie. Miłośnik Lwowa i Kresów wielokrotnie zamieszczał artykuły w prasie o bitwie i jej bohaterach. Od wielu lat jeździ do Lwowa i uczestniczy w uroczystościach rocznicowych w Zadwórzcu. To wyjątkowo zacny i szlachetny człowiek.

Kontakt z Nim stał się dla mnie prawdziwą motywacją do pracy nad losem żołnierzy Zadwórzca.

Dzięki staraniom Pana Andrzeja Zajączkowskiego podjęta została przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego inicjatywa utworzenia nowych tablic epitafijnych z nazwiskami poległych na cmentarzu w Zadwórzcu. Te, które zostały zamontowane po remoncie w 2015 r. (w książce informacja na s. 118–119), zawierają nieścisłości i przeinaczenia.

#### **Czy udało się Panu znaleźć rodziny innych bohaterów spod Zadwórzca?**

Dzięki informacji p. Andrzeja Jacka Zajączkowskiego dotarłem do p. Tadeusza Żepielskiego – syna Kazimierza, który był uczestnikiem patrolu konnego oddelegowanego do baonu kpt. Zajączkowskiego i który bitwę przeżył. Pan Tadeusz udostępnił mi także swoje rodzinne dokumenty i fotografie, które znalazły się w książce. Obaj Panowie udzielił mi wielokrotnie swojego wsparcia, angażując się i poświęcając swój czas. Nawiązałem także kontakt z rodziną poległego żołnierza Jana Chodynieckiego. Prowadzona korespondencja pozwoliła ustalić i zweryfikować jeszcze kolejne trzy nazwiska żołnierzy poległych z oddziału kpt. Zajączkowskiego.

Po wydaniu książki otrzymałem już kilka listów e-mail i telefonów od rodzin żołnierzy: Mariana Kuricy, Kazimierza Pissa i poległego Stefana Klimkiewicza. Udało mi się spotkać z rodziną Mariana Kuricy we Wrocławiu. Sfotografowałem oryginalne przedwojenne odznaczenia, dokumenty, zdjęcia. Mam także kontakt z wnukiem zweryfikowanego żołnierza z Zadwórzca, który bitwę przeżył i został odznaczony Krzyżem Zadwórzaków.

**Dokonał Pan dzieła, które do niedawna było uważane za niemożliwe... Gdyby było inaczej, taka książka ukazałaby się przecież wcześniej. Jak to się stało, że to dopiero Panu – dzięki pomocy i dużemu zaangażowaniu Stanisława M. Jankowskiego – to się udało?**

Publikacja poświęcona m.in. żołnierzom Zadwórzca nie znalazła uznania w wydawnictwie komercyjnym. Zawzięłem się. Podjąłem rozmowy z wydawnictwem o wyrażenie zgody na wykorzystanie publikacji o Polskich Termopilach. Kurhan w Zadwórzcu i żołnierze w nim spoczywający to dla mnie świętość. W końcu udało się. Pan Stanisław M. Jankowski znalazł wydawcę, zresztą przy Pana udziale w Małopolskim Centrum Edukacji „MEC” w Krakowie. Książka jest tam dostępna. Publikacja została sfinansowana ze środków Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych. Determinacja, konsekwencja i upór amatora.

Chciałem w tym miejscu podziękować wszystkim współpracującym przy wydaniu książki. Chylę głowę przed Panią Krystyną Jankowską, całując ręce mojej małżonce Uli za pomoc, wsparcie i tolerancję, których mi udzieliła. Dziękuję korektorce pani Sandrze Treli, która zgodziła się na wspólną pracę nad tekstem. Dziękuję grafikowi p. Andrzejowi Kubatce, że wytrzymał ze mną i zrealizował wszystkie zamysły graficzne lokowania zebranych zdjęć. Szczególne podziękowanie składam panu Mariuszowi Jabłońskiemu za bezinteresowne zaangażowanie się w proces edycji i druku książki.

Serdecznie dziękuję Panu za rozmowę.

---

***Pan Grzegorz Hetnar prosi o kontakt wszystkich, którzy wiedzieliby cokolwiek o żołnierzach uczestniczących w bitwie pod Zadwórzem. Maile proszę kierować na adres: g.hetnar@gmail.com***

**Paweł Brzegowy**

## GRZEGORZA HETNARA I STANISŁAWA M. JANKOWSKIEGO WYDAWNICTWO W STULECIE BITWY POD ZADWÓRZEM

**W** 2020 r. nakładem Małopolskiego Centrum Edukacji „MEC” ukazała się w Krakowie licząca 128 stron książka Grzegorza Hetnara i Stanisława M. Jankowskiego pt. *Powrót żołnierzy Zadwórze. Polskie Termopile*. Autor wstępu Andrzej Jacek Zajączkowski słusznie podkreślił, że bitwa pod Zadwórzem z 17 VIII 1920 r., w kontekście obrony Warszawy podczas wojny polsko-bolszewickiej, jest w rodzimej historiografii XX w. wydarzeniem nieco zapomnianym. Ważną rolę w spopularyzowaniu mitu „kresowych Termopil” odegrały w dwudziestoleciu międzywojennym publikacje Józefa Białyni Chołodeckiego<sup>1</sup>. Przyczyniły się do tego także wspomnie-

nia Seweryna Falińskiego<sup>2</sup> i zainspirowane relacją innego świadka historii opowiadanie Zofii Kossak-Szczuckiej. Czytelnicy interesujący się tą problematyką znają zapewne opracowanie prof. Stanisława Sławomira Nicieja<sup>3</sup> sprzed 30 już lat. Dodatkowo przed trzema laty Zadwórz poświecił on obszerny rozdział dziesiątego tomu *Kresowej Atlantyd*<sup>4</sup>. W międzyczasie zrealizowano ponadto dwa prezentowane wielokrotnie telewizyjne filmy dokumentalne. Warto nadmienić, że literaturę poświęconą Zadwórz uzupełnił w br. prof. Wiesław Jan Wysocki<sup>5</sup>.

Krwawe starcie batalionu piechoty kpt. Bolesława Zajączkowskiego z Konarmią Siemiona Budionnego, zakończone heroicznym, ale jednocześnie tragicznym w skutkach zwycięstwem Polaków, pomogło w zorganizowaniu obrony oddalonego o 33 km i zagrożonego wrogim przejęciem Lwowa. Świadomi okrucieństwa radzieckiego dowódcy wojskowego lwowianie przygotowali się do obrony miasta, organizując formacje ochotnicze oraz transport dzieł sztuki i zbiorów archiwalnych do Krakowa. Podjęta w czasach PRL-u próba przemilczenia pamięci o zadwórzeńskich bohaterach szczęśliwie dała ujemny rezultat.

W bogato ilustrowanej książce pasjonata dziejów obrony Lwowa w latach 1918–1919 i 1920 G. Hetnara i publicysty, dziennikarza i pisarza S.M. Jankowskiego zawierającej ponad 60 fotografii (m.in. ze zbiorów



Kurhan w Zadwórz, stan z czerwca 2019 r., po remoncie wykonanym w 2015 r., fot. Grzegorz Hetnar

<sup>1</sup> J. Białynia Chołodecki, *Zadwórze i okolice. (Polskie Termopile)*, Lwów 1924; idem, S. Rayski, *W dziesiątą rocznicę bitwy pod Zadwórzem, Horpinem i Firtlejówką! Ku uczczeniu pamięci poległych w ofiarą boju z najazdem bolszewickim Bohaterów 1920–1930*, Lwów 1930.

<sup>2</sup> S. Faliński, *Tragedja Zadwórze. W czwartą rocznicę walki*, Kamionka Strumiłkowa 1924; idem, *Rycerze zadwórzeńscy*, Lwów 1927.

<sup>3</sup> S.S. Nicieja, *Zadwórze – polskie Termopile. Z dziejów obrony Lwowa przed bolszewikami w 1920 r.*, Opole 1990. Zob. również idem, *Cmentarz Obrońców Lwowa*, Wrocław–Warszawa–Kraków 1990, s. 234–252.

<sup>4</sup> Idem, *Kresowa Atlantyd. Historia i mitologia miast kresowych*, t. 10, Opole 2017, s. 161–202.

<sup>5</sup> W.J. Wysocki, *Zadwórze 1920*, Warszawa 2020.



własnych autorów, Wojskowego Biura Historycznego im. gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego w Warszawie – dalej WBH) zamieszczono również wartościowy pod względem historycznym wykaz (s. 97–111) polskich uczestników bitwy. Na tle dotychczasowej literatury historycznej jest to pierwsze tak kompletne zestawienie poparte wieloletnimi badaniami. Spis podzielono



Mogily oficersów poległych pod Zadwórzem, Cmentarz Orlą Łwowskich, stan z sierpnia 2012 r., fot. Grzegorz Hetnar

na listę żołnierzy, którzy przeżyli (83 osoby) i poległych (294 osoby). Wydawnictwo posiada oczywistą wartość naukową. Obok istniejącej literatury przedmiotu autorzy wykorzystali dokumenty z Centralnego Państwowego Archiwum Historycznego Ukrainy (Центральний державний історичний архів України), Archiwum Państwowego Obwodu Lwowskiego we Lwowie (Державний архів Львівської області) i będącego komórką wewnętrzną WBH – Centralnego Archiwum Wojskowego w Warszawie-Rembertowie. Skorzystali ponadto z bogatych archiwów rodzinnych Z.J. Zajączkowskiego i Tadeusza Żepielskiego, które do powstającego dzieła wniosły wiele cennych informacji. Za inne ważne fragmenty książki uważam *Wspomnienia zadwórczan* i część *Wyrwani z zapomnienia*, w której przybliżono sylwetki por. Stanisława Stacha-Zaleńskiego, ppor. Ludwika Liszki, por. Krzysztofa Obertyńskiego, pchor. Andrzeja Pawlaczka i Włodzimierza Widta. Wykorzystując archiwalia lwowskie, autorzy wskazali przyczynę zagłady batalionu kpt. B. Zajączkowskiego. W tym celu zamieścili raporty rotm. Tadeusza Krynickiego, rotm. Romana Abrahama i płk. Karola Szemioty (s. 71–85). Oddzielną część ich pracy stanowi przedruk z monumentalnego kalendarium Agnieszki Biedrzyckiej<sup>6</sup> i wybranych czasopism lwowskich, w których pisano o Zadwórczu (s. 87–96). W posłowie

celnie zauważyli, że ich badań nie można uznać za zakończone. Zważywszy, że wielu poległych nadal nie zidentyfikowano, a grupę ocalałych wywieziono w głąb Rosji, poszukiwania żołnierzy biorących udział w bitwie pod Zadwórzem wymagają kontynuacji.

Książkę uważam za sumiennie przygotowaną pracę popularyzatorską zawierającą treści naukowe. G. Hetnar i S.M. Jankowski, bazując na archiwaliach różnego pochodzenia i uwzględniając źródła drukowane, w setną rocznicę bitwy pod Zadwórzem podarowali miłośnikom Kresów i czytelnikom literatury historycznej interesujące wydawnictwo, wypełniając lukę w dotychczasowym stanie wiedzy. Na podstawie lektury dzieła kompetencje merytoryczne i warsztatowe autorów oceniam jako odpowiednie. Dobór i sposób wykorzystania źródeł nie budzi zastrzeżeń. Wśród innych zalet książki można wskazać tak ważną w przypadku tekstu pisanego poprawność językową, jak również oryginalnie ujęcie tematu, starannie zaprojektowaną szatę graficzną. W kontekście jej słabych stron wymienię lapidarne omówienie niektórych wątków. Przykładowo fragment *Ocaleni przez przypadek* należałoby uzupełnić o sylwetki innych walczących, którzy przetrwali atak Konarmii S. Budionnego. Konkludując, pozycja z powodzeniem może być wykorzystywana do edukacji historycznej i patriotycznej młodzieży i dorosłych, stanowi przyczynek do dalszych badań i jest wartościowym wkładem w upamiętnienie legendy „polskich Termopil”.

<sup>6</sup> A. Biedrzycka, *Kalendarium Lwowa 1918–1939*, Kraków 2012.

# Błędy zebrane

To chyba oczywiste, że jako wnuk zadwórzaka (czyli uczestnika bitwy pod Zadwórzem) byłem jedną z tych nielicznych osób, które z niecierpliwością czekały na zapowiadane od dłuższego czasu wydanie *Zadwórze 1920* Wiesława Jana Wysockiego. Jako badacza tematu dręczył mnie jednak niepokój i najgorsze przeczucia, bo dotychczasowe opracowania – z naprawdę nielicznymi wyjątkami – mają jedynie mitotwórczy charakter i daleko im do jakkolwiek rozumianej naukowości.

Już pierwsza strona części poświęconej bitwie pozbawiła mnie jakichkolwiek złudzeń. Lista błędów merytorycznych jest tak duża, że zrezygnowałem z klasycznej formy recenzji na rzecz wypunktowania tych najbardziej znaczących. Oto ich niepełna lista i to w telegraficznym skrócie.

**s. 25:** Autor podaje, że w dniach 15–18 VIII 1920 r. aktywny 3 dywizjon lotniczy zrzucił na oddziały kawalerii nieprzyjaciela około 810 ton bomb. Zważywszy na maksymalny udźwig 300 kg bomb, choć wiele samolotów miało zaledwie 60 kg, jest to niemożliwe. W dniach 16–18 zrzucano 8 ton bomb przy 191 lotach (Bellona, 1922, t. 5, z. 2).

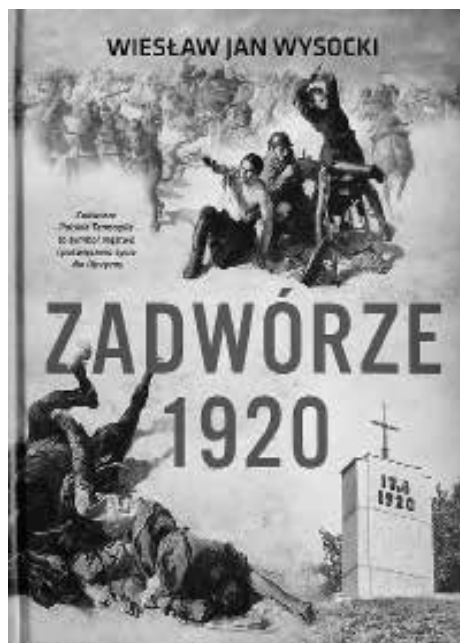
**s. 33:** Por. dr Aleksander Domaszewicz w 1920 roku w MOAO nie był lekarzem batalionu. Dr medycyny Aleksander Domaszewicz był oficerem w stopniu podpułkownika i dowódcą I batalionu 240 pułku piechoty.

**s. 38:** Major Roman Abraham był awansowany na stopień podpułkownika dopiero 1 XI 1921 roku ze starszeństwem z dniem 1 czerwca 1919 roku.

**s. 43:** 54 pułk piechoty nie został rozbity pod Zadwórzem 16 sierpnia, lecz 17 przed 14:00.

Kapitan Zajączkowski nie był dowódcą Detachementu. Ranny rotmistrz Abraham przekazał tę funkcję rotmistrzowi Krynickiemu.

\* Wnuk plutonowego Franciszka Szpaka z I kkm w det. rtm. Abrahama.



Cel wymarszu Zajączkowskiego jest doskonale znany. O 14:45 Krynicki dostał rozkaz pułkownika Szemiota, nakazujący marsz baonu północną stroną toru na cotę 222.

Detachment Abrahama nie maszerował do Kutkorza w celu wyłapywania morderców. 16 sierpnia Detachment walczył o Kozłów, a 17.08 o 10:00 pozostawał w rezerwie w okolicach Kutkorza, czekając na dalsze rozkazy.

**s. 44:** Bitwa nie mogła się rozpocząć o 12:00, choć ten błąd powtarza wielu historyków. Szemiota o 14:00 wydał rozkaz wymarszu, Krynicki otrzymał go o 14:45.

**s. 46–47:** Mapki sugerują, że o 8:00 rano batalion Zajączkowskiego stał na torach przed Zadwórzem. To oczywiście nieprawda, o czym piszę wcześniej.

Pod Zadwórzem nie było bolszewickich samolotów. To często powtarzany błąd, przytaczany za relacją Kazimierza Wolffa, pełną przeinaczeń i całkowicie niewiarygodną. W żadnym innym źródle tej wiadomości nie znajdziemy. Jako źródła rozumiem raporty sztabowe lub relacje świadków.

**s. 49:** Baon liczył znacznie więcej niż 330 żołnierzy. Faliński, na którego się zresztą Wysocki powołuje, mówi o prawie 500. Gazety z 1920 roku wspominają o przeszło

400. Obecnie znamy nazwiska 294 poległych i prawie stu (sic!) ocalonych z bitwy.

**s. 55:** Kapral Budnik nie istniał. Budnik to inaczej dróżnik (pracownik kolei), to na jego relację powołuje się Zofia Kossak.

**s. 57:** Relacja Kazimierza Wolffa raczej nie wskazuje na to, by jego ojciec brał udział w bitwie. Lwów np. nie mógł wysłać posłańca do Zadwórze, bo miasto nie wiedziało, co się tam dzieje. Żaden historyk znający temat nie może traktować Wolffa jako źródła.

**s. 58:** Władysław Targalski był szeregowcem w Szkole Sienkiewicza. Nie było wówczas 1 pułku Strzelców Lwowskich, w którym autor go umieszcza. Pułk ten powstał po oswoobodzeniu Lwowa po 22 listopada 1918 r.

**s. 59:** To nieprawda, że przedstawione relacje i nazwiska „to wszystkie, skąpe ślady po poległych i nielicznych ocalonych”. To wszystkie, do których dotarł autor, a dotarł niestety do niewielu.

**s. 61:** Pociąg pancerny Pionier 20 sierpnia znajdował się przynajmniej od 4 rano do 17:30 pod Drohowyżem, więc raczej nie mógł pojawić się w Zadwórze.

To nieprawda, że znaleziono 318 ciał. Aż do 1926 wszystkie media zgodnie podawały liczbę 200–210 ciał w kurhanie. Liczba 300 i 318 pojawia się nagle na przełomie 1926/27 prawdopodobnie jako wynik procesu mitotwórczego.

**s. 65:** Autor błędnie podaje, że w kurhanie leżą kpt. Krzysztof Obertyński, por. Jan Demeter, chor. Władysław Marynowski, por. Tadeusz Hanak i Eugeniusz Szarek, pochowani przecież na Cmentarzu Łyczakowskim.

**s. 66:** Przy nazwisku poległego plutonowego Konstantego Zarugiewicza jest wprowadzający w błąd zapis: syn „Matki Nieznanego Żołnierza”. Zarugiewiczowa wskazała trumnę żołnierza pochowanego w Grobie Nieznanego Żołnierza. Nie był to ani jej syn, ani też żaden inny uczestnik bitwy zadwórzeńskiej.

**s. 65–66:** W kurhanie nie spoczywają również, bo polegli w innych miejscach i w innym czasie: porucznik Kazimierz Krzywda-Bogucki (nazwany przez autora oficerem Kazimierzem Boguckim), Jan Kolpa, Adam Kordecki i Tadeusz Presch.

Poprawne zapisy poległych zadwórzeńców to Rafael RAMERT i Władysław MARYNOWSKI. Nie wiadomo czemu autor dodaje

warianty Romert i Martynowski – oryginalną pisownię naprawdę łatwo zweryfikować w źródłach.

**s. 67:** To nieprawda, że nie znamy listy ofiar, bo dokumenty Detachementu zaginęły w 1939. Dokumenty te nie istniały już w latach 20., o czym wspominają gazety lwowskie i np. *Jednodniówka* z 1926 roku.

W rocznice nocą z 14 na 15 sierpnia nie odbywały się marsze z Zadwórze do Lwowa.

**s. 68:** To nieprawda, że niewiele wiemy o I Marszu Zadwórzeńskim. Znamy datę, program, wyniki, listę nagród do 22 miejsca, listę drużyn zdyskwalifikowanych – trudno o bogatszą wiedzę.

**s. 72 i 77:** Kapral Gromnicki miał na imię Julian, nie Stefan, to kawaler Orderu Wojennego *Virtuti Militari* klasy V.

**s. 77:** Porucznik Tadeusz Hanak nie został odznaczony Krzyżem Bojowników o Niepodległość, bo taki nie istniał.

**s. 79:** To nieprawda, że Krzyż Zadwórzeńców przyznawany był głównie pośmiertnie. Prawo do krzyża mieli – z drobnymi wyjątkami – wyłącznie ci, którzy przeżyli bitwę i zostali zweryfikowani. Wystarczy przeczytać rewers legitymacji. Mój dziadek miał krzyż nr 66, co daje pewne pojęcie o liczbie zweryfikowanych.

**s. 86:** Mieczysław Iwanicki, twórca 12 pocztówek o Zadwórze, zmarł 24 III 1984 r. i spoczywa na Cmentarzu Witomińskim w Gdyni, sektor 12, rząd drugi, mogiła nr 49. Widać go na zdjęciu z szablą (s. 87) – zasługuje z pewnością na podpis.

**s. 97:** Pani Izabel Fac nie jest wnuczką kpt. Bolesława Zajązkowskiego, który był kawalerem i nie miał dzieci.

Jak już zaznaczyłem – to nie jest recenzja, bo książka w tym kształcie na nią nie zasługuje. To praca, którą powinni wykonać konsultanci i oczywiście sam autor. Historyczne opracowanie znanego tematu wymaga badań, a nie jedynie bezkrytycznej kompilacji dotychczasowych opracowań. Smutne, że książka wydana z taką pompą – ze wstępem Prezydenta RP – ma poziom merytoryczny kiepskiej strony internetowej.

**Wiesław Jan Wysocki,  
Zadwórze 1920, Warszawa 2020**

**Kazimierz Wierzyński*****Kufer****Marii Dąbrowskiej*

Na strychu śpi mój powrót,  
 Kufer blachą okuty, walizy,  
 Cała moja ojczyzna,  
 Paszporty, obywatelstwa,  
 Emigracyjne wizy.

Kufer, mój wielki majątek,  
 Którego tutaj mam bronić,  
 Normalny nieszczęścia początek  
 I obłąkany koniec.

Kufer starych zjełczałych dzieci,  
 Gotowych dalej dziecinnieć i głupieć  
 I wśród niezdatnych na nic rupieci  
 Samotność dzika, gorycz nostalgii,  
 Najrozpaczliwszy rupieć.

Psie wycie za moją ziemią karpacką,  
 Spazm, do którego wstyd mi się przyznać –  
 I przeprowadzka za przeprowadzką,  
 Z Ameryki do Europy,  
 Z Europy do Ameryki,  
 Kufer na plecach,  
 Schodzone stopy,  
 Ojczyzna.

Taki jest bagaż. Taki wojaż,  
 Taki mój rozkład jazdy:  
 Wszystkie strony świata otwarte,  
 A wyjścia z żadnej.

Taki jest potrzask. Ani co wziąć stąd,  
 Ani z czym dobiec na koniec:  
 Strych mój i powrót,  
 Zguba i miłość,  
 Której zabić nie umiem  
 Ani obronić.

**Mariusz Olbromski*****Wierzyński***

Tyle zebrał słońca Drohobycza,  
 zapachu karpackich połonin,  
 tyle szumów i blasków na Dniestrze,  
 że później nawiedzały jego wiersze.  
 Tańczyły jak wolność z młodością,  
 świeciły tęczą fantazji na wietrze.

Tyle rąk z księgi zdarzeń stamtąd  
 wersy mu przynosiło, że układał  
 je w bukiety radością kwitnące.  
 I rozrzucał hojnie „Pod Pikadorem”,  
 porywał ich czarem słuchających.

Po laury sięgnął Olimpu tak prosto  
 jak się zbiera na wiosnę kaczeńce.  
 I serc zdobywał coraz więcej – biegacz  
 wspaniały, z każdym okrażeniem roku  
 biegnący z pochodnią poezji.



Prof. Maria Dłuska i Kazimierz Wierzyński  
 podczas spotkania we Włoszech

**Sławomir Gowin**

# TOWARZYSZ WIESZCZ

**Dzieje pomnika Adama Mickiewicza we Lwowie uczą, że także granit i brąz, by przetrwać, kłaniają się czasem wiatrom historii.**

**P**olacy odwiedzający Lwów bywają zdumieni, że zachował się tu pomnik polskiego poety. Mieszkańcy i przybysze przywykli do widoku romantycznej kolumny w sercu miasta, ale refleksja nie jest błaha, bo prawdą jest, że wieszcz nie zawsze mógł tu trwać spokojnie w odwiecznej harmonii z muzami. Zwłaszcza, że w czasie ostatniej wojny we Lwowie starły się nie tylko potęgi militarne. Przez miasto przeszły wielkie nawałnice polityczne i narodowe wstrząsy, które bywają nie mniej niszczące niż bomby. A jednak, paradoksalnie, Adam Mickiewicz wykazał się w tym zamęcie, wprawdzie niezamierzoną, lecz niezwykłą omnipotencją, dzięki której pozostaje na swoim miejscu od blisko 120 lat.

Pierwszy okres istnienia pomnika nie przyniósł nic nadzwyczajnego. Ot, codzienność statui obciążonej patriotycznymi obowiązkami: tysiące zniczy, wieńców i kwiatów złożonych z okazji setek uroczystości społecznych i państwowych. Defilady, msze, demonstracje, wiece, przemówienia, modły, protesty albo zamieszki. Zdarzało się, że u jego stóp przemawiali, często tuż po sobie, zwolennicy i przeciwnicy jakiejś sprawy. Zatem przez ponad trzy dekady poeta, dość dowolnie obierany patronem najrozmaitszych idei, spełniał doraźne potrzeby historii.

W 1939 roku zamierzano świętować 35-lecie odsłonięcia monumentu. Na 30 października zaplanowano uroczystości, których polski Lwów, jak wiadomo, nie doczekał. Wybuchła wojna i 22 września miasto zajęła Armia Czerwona, która w sojuszu z Trzecią Rzeszą wdarła się w granice przedwojennego państwa polskiego, włączając jego wschodnie terytoria do Związku Radzieckiego.

I tu nastąpił osobliwy przełom w pośmiertnej karierze poety. Już 15 października 1939 roku, w samo południe, odbyły się manifestacje pod pomnikiem Mickiewicza i nad grobem innego pisarza, Iwana Franki, na Cmentarzu Łyczakowskim. Nazajutrz „Czerwony Sztandar”, który zastąpił całą dotychczasową prasę, ogłosił wiersz Leopolda Lewina „Mickiewiczowi w hołdzie”:

Dzisiaj ludowy trybunie  
Wysłuchany w piosenki gminne  
Pochód przed pomnik Twój sunie  
Ludu zastępy dziękczynne.

Dzisiaj przed Twoim pomnikiem  
Przy greckiej, smukłej kolumnie  
Żołnierz i chłop z robotnikiem  
Śpiewają wzniosłe i dumnie.

I słyszysz echa Twej Ody  
„Pryskanie nieczułych lodów”  
Witaj jutrzeńko swobody,  
I pojednania narodów!

Ten na pozór banalny panegiryk anonsował wszystkie szachrajstwa rytualnej sowietyzacji, jakiej wkrótce poddano życie i twórczość Mickiewicza. Kult poety jako koryfeusza komunizmu miał być upaństwowiony, a jego pomnik w centrum Lwowa znakomi-



Pomnik radzieckiej konstytucji, 1940 r.

Czołówka „Czerwonego Sztandaru” z fotografią prezydium obchodów jubileuszu Adama Mickiewicza, 1940



cie ten zamysł fetyszyzował. Wprowadzie na początku ulicę jego imienia, także położoną w śródmieściu, przemianowano na Woroszyłowa, ale szybko się z tego wycofano. Miasto obiegł też gorzki żart, że Mickiewicza zastąpi na cokole Stalin, jako prawdziwy twórca dziadów, ale w rzeczywistości pocie nic nie zagrażało. Uroczystości urządzone 15 października oznaczały, że partia bolszewicka symbolicznie przyjęła go w swoje szeregi.

## WŚRÓD „PRZYJACIÓŁ MOSKALI”

Wraz z armią do Lwowa przybyli propagandyści, którzy mieli przeprowadzić bezwzględną stalinizację życia publicznego. Sowiecka administracja brutalnie instalowana przez wojsko, terror NKWD i ordynarna komunistyczna propaganda, także kreowana i nadzorowana przez bezpiekę – to trzy filary, na których Stalin wznosił kolejne atrapy republik przyłączających się – oczywiście „z woli ludu” – do ZSRR. Bolszewizm miał bezpowrotnie wchłonąć tę część świata, wraz ze Lwowem, który uważano, skądinąd słusznie, za bastion niesmacznej sowietom przeszłości.

Reguły były proste, acz twarde. Elity należało zniszczyć, zostawiając przy życiu tych, których uda się zdemoralizować na tyle, by wespół z regularną agenturą chcieli budować „radziecką ojczyznę”. Tak zmobilizowane zastępy kremlofskich apostołów miały porwać i prowadzić ku bolszewickiemu szczęściu robotniczo-chołopskie masy Polaków i Ukraińców.

Polskie i ukraińskie losy bynajmniej nie biegly równolegle. Wśród Ukraińców byli tacy, którzy z zapałem budowali Ukrainę radziecką. Inną politykę uprawiali ci, którzy mieli ambicje władać przyszłym, niezawisłym państwem ukraińskim. Jedni i drudzy ko-

rzystal tymczasem z beneficjów sowieckiej *pierekowki*. Proklamowano przeciw ukraińskiej republikę, którą przedstawiano jako wolną, a w każdym razie wyzwoloną z jarzma „pańskiej Polski”.

Na mocy tego „aktu historycznej sprawiedliwości” Polacy mieli zostać jedną z wielu mniejszości połączonych w „naród radziecki”. Dlatego Lwów, gdzie Polaków było najwięcej, ukraiinizowano demonstracyjnie, ale fasadowo. Kreml zgadzał się, póki co, urządzić Ukraińcom pewne narodowe dekoracje i chociaż radzieckie pozory posłużyły do budowy kolejnych wersji ukraińskiej tożsamości i państwowości, aż po współczesną, to wówczas prawdziwym celem była *urawniłowka* z ukraińską masą od dawna żyjącą w Związku Radzieckim.

Inaczej wyglądała sprawa „polskiej mniejszości”. Myśl stalinowska powiadała, że ukraińskiemu ludowi gnębiomemu przez „szlachecką dyktaturę II RP” przynieśli wolność szczęśliwi radziecy Ukraińcy, dojrzała komuniści, duchowi sukcesorzy rewolucyjnych pragnień Szewczenki i Franki. Zjednoczenie wyzwolonej w ten sposób zachodniej Ukrainy z radziecką macierzą było więc naturalnym i radosnym procesem. Ale uwolnienie Polaków z Polski trudno było ująć w równie bajeczną opowieść. Trzeba było znaleźć proroków, którzy jakoby przewidzieli zbawienne skutki paktu Ribbentrop–Mołotow i tę rolę powierzono Mickiewiczowi. Przebierano go za heroda panslawizmu, rewolucyjnego idealistę, który co prawda nie posiadał skutecznych instrumentów do urzeczywistnienia swych idei, ale jego marzenia znalazły pragmatyczny wyraz w państwie radzieckim i „proletariackim internacjonalizmie” jego twórców.

Ubarwiano jego biografię, korzystając z faktów z zaiste rewolucyjną swobodą. Ideologicznie zakłamaną przyjaźnię z dekabrystami, przypisując mu czynną lub wręcz przywódczą rolę w ich nieszczęsnym przewrocie. W ten sposób przyjmowano Mickiewicza niejako do sowieckiego kanonu propagandowej mistyfikacji, bo dekabryści, których polityczne znaczenie wyolbrzymiano przy łada okazji, w kremlofskiej hagiografii uchodzili za prabolszewików.

Z życia i poglądów Mickiewicza wybierano jednakże to, co dało się łatwo przenieść na partyjny slogan czy wiecowy frazes.



Tytuł pisma, które wydawał w Paryżu, „Trybuna Ludów”, był w tej agitacji nadzwyczaj poręcznym rekwizytem, bowiem czy to preromantyczny sentymentalizm, czy ludowe inspiracje rozwiniętego romantyzmu interpretowano wyłącznie „klasowo”. Wszelkie ruchy lewicowe i rewolucyjne budzące się w XIX stuleciu, wszelką socjalną aktywność społeczną bolszewizowano, zatrudniając do tego setki partyjnych blagierów, którzy dowodzili, że wszystkie te nurty zjednoczyły się w myśli stalinowskiej.

Upozowani w ten sposób poeci – również Franko czy Szewczenko – mieli, wedle tych legend, dawno wskazywać „robotniczo-chłopskie masy” jako napędową siłę nowego świata. Mickiewicz, podobnie jak tamci, wyrażał zbiorowe pragnienia, które oto, na oczach uradowanego ludu, spełniał Związek Radziecki. Wszystko, co czynił Stalin i jego kamaryla, miało temu służyć, także pakt Ribbentrop–Mołotow, na mocy którego czerwoniarmieści „wyzwalali zachodnią Ukrainę”.



U mogiły wielkiego ukraińskiego poety i pisarza Iwana Franki odbył się dnia 15-go października wieś pracujących w Lwowie. Na zdjęciu: ukraiński dramatysta, wydawca, „Bogactwo” do Nabywania Rady ZSRR „tow. Kornijczuk” podczas przemówienia. Foto CyfrowyLwów

## „ROMANTYK BOJOWY”

W 1940 roku przypadała 85. rocznica śmierci Mickiewicza. Przygotowania do jej obchodów rozpoczęto już w grudniu 1939. Przez wiele miesięcy napędzano „kampanię Mickiewiczowską”, której główną trybuną był „Czerwony Sztandar”. Polskojęzyczna gazeta, choć uczciwiej byłoby mówić: gadzinówka, która we Lwowie zaczęła wychodzić jako dziennik Zarządu Politycznego Frontu Ukraińskiego, by w grudniu 1939 stać się organem Lwowskiego Komitetu Obwodowego Komunistycznej Partii Bolszewików Ukrainy.

Na jej łamach uprawiano publicystykę koordynowaną z akcjami w szkołach, zakładach pracy, związkach twórczych i instytucjach kulturalnych. Nową „mickiewiczologię” kreowali sprawdzeni bolszewicy – Zofia Dzierżyńska, Wiktor Grosz, Paweł Hoffman. Rolę ideologa, ale także, jakbyśmy dziś powiedzieli, animatora, odgrywał Jerzy Borejsza.

Poziom panującego wtedy opętania dziś można pojąć tylko aplikując sobie próbkę oryginalnego tekstu. Oto, rzecz można, kliniczny cytat z Zofii Dzierżyńskiej: *Teraz, kiedy znaczne zastępy polskich mas pracujących, robotników, chłopów, pracującej inteligencji wyzwolone zostały spod jarzma kapitału i ręka w rękę z innymi narodami Związku Radzieckiego pod wodzą partii Lenina–Stalina budują przepiękny gmach komunizmu, genialna twórczość Adama Mickiewicza w prawdziwym, marksistowsko-leninowskim oświeceniu może i powinna być doniesiona do jak najszerzych mas pracujących.*

Jakkolwiek niewiarygodnie to brzmi, w tak wyznaczonych kierunkach, z mniejszą lub większą ostrożnością, szli polscy pisarze, którzy w tym czasie znaleźli się we Lwowie. Tadeusz Boy-Żeleński, Julian Przyboś, Mieczysław Jastrun, Adam Ważyk, Julian Strykowski, Juliusz Kleiner, Stanisław Wasylewski czy kilkudziesięciu innych – każdy na swój sposób powielał tę retorykę. Oglaszali, chcąc nie chcąc, kolejne kuriozalne odkrycia i interpretacje, pośród których uderzająca teza Przybosia, że „dzięki Mickiewiczowi poezja polska dźwignięta została na szczyty rewolucyjnego romantyzmu bojowego”, zdaje się nieledwie zabawna. Aby uwiarygodnić podobne igraswa



Pisarza radzieccy słuchali wczoraj wieżono u stóp pomnika Adama Mickiewicza. Na zdjęciu poeta ukraiński Maksym Rylski wygłasza wieść, poświęcony wielkiemu poecie. Foto Rapaport

teksty Mickiewicza wikłano w fantastyczne teorie, sięgając po odpowiednio spreparowane fragmenty wykładów lub do znudzenia wertowano artykuły choćby słowem zatracające o socjalizm.

Poetyckich utworów propaganda używała bez analitycznych ceregieli. Wiersz *Do przyjaciół Moskali* uznawano za proklamację przyszłej komunistycznej wspólnoty Słowian i wygłaszano go przy każdej okazji. Specjalną rolę pełniła *Oda do młodości*. Tę cytowano równie często, choć wybiórczo. Pomijano niegodne proletariusza „rajskie dziedziny uludy”, skupiając się na frazach służących za apel do młodych, którzy mieli, pod wodzą Stalina, *wysadzić z posad bryłę świata i nowymi pchnąć ją tory*. Wszystkich, starych i młodych, obowiązywał dogmat, że wieszcz, gdyby żył, byłby radzieckim patriotą, bowiem Związek Radziecki urzeczywistniał jego historyczne i polityczne ideały.

W Moskwie powstał centralny komitet obchodów. Na czele stanął Aleksander Fadijew, przewodniczący Związku Pisarzy ZSRR. Obok niego zasiadali między innymi naukowcy Dymitr Błagoj i Anatolij Winogradow, pisarze rosyjscy – Aleksy Tołstoj i Nikołaj Tichonow, ukraińscy – Maksym Ryłski i Pawło Tyczyna, białoruscy – Janka Kupała i Maksym Tank. Polaków reprezentował Tadeusz Boy-Żeleński, Julian Przyboś, Juliusz Kleiner, Wanda Wasilewska i przywieziona z Moskwy Helena Usijewicz, córka Feliksa Kona, wprawdzie polonistka, ale twarda, zrusyfikowana bolszewiczka. Podobne ciała powołano w Leningradzie, Kijowie i Charkowie.

Oczywiście specjalne znaczenie miały obchody lwowskie – tutaj „Komitet ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza” działał w składzie: Boy – przewodniczący, zastępca – Borejsza, sekretarz – Dawid Kenigsberg (tłumacz Mickiewicza na jidysz). Ścisły skład uzupełniali Aleksander Desniak, Petro Karmanski, Juliusz Kleiner i Julian Przyboś oraz wszechobecna Wanda Wasilewska. Wśród pierwszych owoców prac komisji była decyzja o wydaniu książki pamiątkowej *Mickiewicz-rewolucjonista*.

Mickiewicz trafił zatem do grona „partyjnych proroków”, gdzie czekali już inni „towarzysze literaci”. „Wśród wielkiej, bratniej rodziny postaci literackiej przeszłości – napisał w „Wilnej Ukrainie” profesor Serhij Rodziewicz – imię Mickiewicza – dla wolnych

i szczęśliwych narodów ZSRR, stoi na równi z imieniem Puszkina, Szewczenki i Franki.

Słowa pisarzy, choć cenne, szły jednak tylko za głosem ludu, bowiem to masy robotniczo-rolnicze, jak we wszystkim, również w bolszewizacji Mickiewicza spełniały przewodnią rolę. Wśród niezliczonych, oczywiście „szczerych i spontanicznych” wystąpień ludzi pracy, codziennie ogłaszanych w gazetach, wyróżnił się na swój sposób głos niejakiej Polutrenko, robotnicy lwowskiej fabryki – innych szczegółów nie podano – opublikowany w „Wilnej Ukrainie”: *Polscy panowie starali się przedstawić nam Mickiewicza jako bojownika za sprawę takiej Polski, jakiej oni sami pragnęli – pańskiej, szlacheckiej, a twórczość wielkiego poety chcieli wykorzystać dla rozpalania nienawiści narodowościowej. My, robotnicy, wiemy, że Mickiewicz, tak samo jak Szewczenko, Franko, jak Puszkina, jak Tołstoj, jak wszyscy sławni rewolucyjni pisarze innych narodów świata, był współtwórcą wielkiej międzynarodowej kultury, która jest wspólna dla wszystkich pracujących bez różnicy ich przynależności narodowej czy rasowej. I dlatego Mickiewicz – nasz.*

## NA SŁUŻBIE U MAS

Główne uroczystości zaplanowano na 24–26 listopada, ale od kilku dni nadawano niezliczone audycje radiowe, przeprowadzono dziesiątki wykładów, odczytów, prelekcji i „entuzjastycznych wieców”. Nie ryzykując przesady, można powiedzieć, że każda instytucja, od przedszkola, przez urzędy, fabryki i uczelnie czciła w tych dniach „wielkiego proroka proletariatu” – Adama Mickiewicza.

W Ossolineum – już jako Lwowskiej Filii Biblioteki Akademii Nauk USRR – otwarto wielką wystawę, Polski Teatr Dramatyczny – sftoczony teraz w pomieszczeniu teatru Gimplów – wystawił sztukę, w auli uniwersyteckiej przez trzy dni trwała konferencja naukowa. Od wielu tygodni o wszystkim obszernie informowała prasa – zarówno uchodząca za specjalistyczną „Literaturna-Gazeta”, jak wszystkie partyjne dzienniki.

We Lwowie najważniejsza ceremonia zaczęła się 25 listopada od złożenia wieńców pod pomnikiem. Wieczorem w gmachu Teatru Wielkiego, przemianowanego na Teatr Opery i Baletu, rozpoczęła się centralna

akademia. *Scena teatru tonie w szkarfacie sztandarów, na których tle widnieją wizerunki budowniczych kraju socjalizmu, Lenina i Stalina. W górze, nad sceną, widnieje natchniona twarz poety – relacjonował „Czerwony Sztandar”.*

W prezydium, pod portretami „patronów”, zasiadło kilkadziesiąt osób, przede wszystkim przedstawiciele sowieckich władz, sekretarz partyjnego „obkomu” Leonid Hryszczuk i Wasyl Siergijenko, naczelnik lwowskiego NKWD. Obok nich m.in. Tadeusz Boy-Żeleński, Juliusz Kleiner, Julian Przyboś, Jerzy Borejsza, Stanisław Łempicki, Elżbieta Szemplińska. Dalej profesorowie Kyrył Studynski, Dymitr Błagoj, Wiktor Czernobajew, pisarze Lew Nikulin, Paweł Antokolski, Maksym Rylski.

Najpierw uroczyste odczytano listy od Stalina i Chruszczowa, później przemówił Aleksander Desniak, przewodniczący Związku Pisarzy Radzieckich Ukrainy. *Idea braterstwa ludów, którą tak płomiennie głosił Mickiewicz, a którą wcielił w życie Związek Radziecki, jest podstawą, na której masy pracujące zwycięsko budują socjalizm – powiedział. Przemawiający po nim Boy-Żeleński był skromniejszy w propagandowej ekspresji, oznajmił jednak, że sprawa polska zawiodła Mickiewicza do międzynarodowego socjalizmu i kazała mu szukać zbliżenia z tymi, którzy w Europie reprezentują ideę socjalistycznego przewrotu.*

Cokolwiek padło ze sceny, widownia hucała od braw. Po oficjalnych przemówieniach pojawili się artyści. Po polsku wiersze czytała m.in. Wanda Siemaszkowa, po ukraińsku Wołodymyr Bławackij, a w jidysz Ida Kamińska.

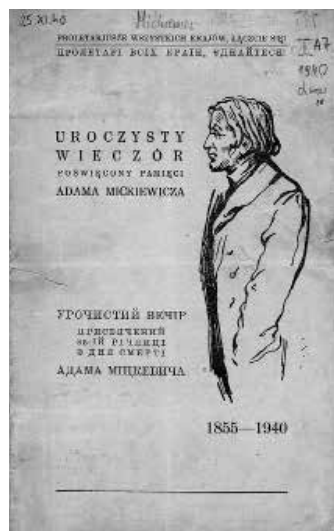
Lwowskiej akademii nadano nadzwyczajną rangę, transmitowało ją radio, wzmianki, relacje, recenzje, omówienia, wywiady można było znaleźć we wszystkich mediach państwowych i na tysiącach obowiązujących w ZSRR gazetkach ściennych.

Drugi dzień obchodów rozpoczął także pochód pisarzy pod pomnik Mickiewicza. Według „Czerwonego Sztandaru” w czasie tego wiecu Boy wznosił okrzyk *na cześć narodu polskiego, który Adam Mickiewicz tak ukochał, na cześć jego brata – wielkiego narodu rosyjskiego, na cześć zjednoczonego, wielkiego narodu ukraińskiego, stalinowskiej przyjaźni ludów i socjalistycznej kultury.*

Jeśli komuś trudno wyobrazić sobie Boya wykrzykującego te słowa w centrum Lwowa, zapewne jeszcze trudniej uzmysłowić sobie, że w tamtych dniach ów konformistyczny wiwat należał do umiarkowanych. Gdzież bowiem Boyowi do Zofii Dzierżyńskiej, która na marginesie lwowskich obchodów wytożyła pogląd, dale-

bóg, niedościgniony. *Znajdujemy odpowiedź z kim byłby dziś – gdyby żył – Adam Mickiewicz. Piłsudczycy i ich agenci, stosując w walce ze Związkiem Radzieckim i z ruchem rewolucyjnym w Polsce nikczemne metody prowokacji – próbowali szalbiernie ostłaniać je imieniem Mickiewicza, tendencyjnie i fałszywie interpretując dzieło Mickiewicza „Konrad Wallenrod” jako apoteozę zdrady. W ślad za tą osobliwą filipiką ogłosiła światu, że odtąd słowa Mickiewicza z „Ody do młodości” będą brzmiały jak wezwanie do zdobycia zwycięstwa mas pracujących na całym świecie. Przy podobnych rarytasach konstatacja Ilii Selwńskiego, że w zwycięstwie Rewolucji Październikowej jest również jego – Mickiewicza – zasługa brzmi już jak belferska pogwarka.*

„Towarzysz wieszcz” w swoim monumentalnym wcieleniu także nie mógł się czuć osamotniony. Lwów już w 1939 roku stał się zagłębiem radzieckiej rzeźby ideologiczno-propagandowej. Dziennie wytwarzano tu sto różnych posągów. W styczniu 1940 samych Stalinów wykonano 1400. Były to tandetne gipsowe odlewy, którymi zapamiętanie zdobiono „wolną Ukrainę”. We Lwowie wzdłuż Wałów Hetmańskich ustawiono szereg gipsowych i cementowych bohaterów partyjnych, zasłużonych proletariuszy, kołchoźników, których zamierzano z czasem zastąpić rzeźbami w kamieniu. Przed Teatrem Wielkim położono fundament pod statuetę Lenina (odsłonięcie zapowiedziano na



Zaproszenie do Opery na uroczysty wieczór poświęcony Adamowi Mickiewiczowi, 1940

„Kwiatny Kreml” postawiony w miejscu, w którym stał pomnik Jana III Sobieskiego, lata 60. XX w.



7 listopada 1942 roku). Sobieskiego przesłonięto gigantycznym pomnikiem konstytucji Stalinowskiej. Była to, póki co, makieła gigantycznego, płonącego czerwonym ogniem znicza z drewna i betonu. U dołu umieszczono cementowe posągi czerwonoarmisty, robotnika, kobiety z dziewczynką, studentki i Hucuła z chłopcem. Parę kroków dalej, obok figury Matki Boskiej, wzniesiono drewniano-gipsową konstrukcję pod tytułem *Pomnik Stalinowskiej Przyjaźni Ludów*. Dziewczynę i chłopca spowitych czerwonym sztandarem otaczały herby sowieckich republik. Górowała nad nimi 20-metrowa iglica z czerwoną gwiazdą na szczycie.

Poeta i jego geniusz wytrwali w tym pantoptikum do dnia, w którym Armia Czerwona uciekła ze Lwowa przed swoim niedawnym sojusznikiem III Rzeszą.

## NIEMIECKA ZAGADKA

Wraz z wkroczeniem Niemców do Lwowa los kolumny Mickiewicza zdawał się przesądzony, tym bardziej że jego krakowski monument zniszczono już przed rokiem, w sierpniu 1940 roku. Wprawdzie pomnik w Warszawie przetrwał aż do 1944, zniszczono go ostatecznie dopiero po upadku powstania, ale trudno wyciągać z tego jakieś oczywiste wnioski, może taki tylko, że

niemiecka biurokracja nie stosowała w tych sprawach ścisłych instrukcji. W kwestii zażytków, dzieł sztuki, w tym także pomników, naziści kierowali się przede wszystkim ich germańskim – lub nordyckim – rodowodem. Na przykład pomnik księcia Józefa Poniatowskiego w Warszawie oszczędzono, bo jego twórcą był Duńczyk, Bertel Thorvaldsen.

Pomniki Mickiewicza nie miały jednak takiego alibi. Co zatem przesądziło, że kolumna dłuta Antoniego Popiela we Lwowie miała więcej szczęścia niż dzieło Teodora Rygiera w Krakowie? Nie sposób tłumaczyć to li tylko przypadkiem, „ważniejszymi sprawami” lub przeoczeniem, zwłaszcza gdy miałyby ono dotyczyć 21-metrowego obiektu stojącego na szczycie Adolf Hitler-Ring, jak nazwano Wały Hetmańskie. Ustawione tam radzieckie monumenty rozbito i spalono natychmiast po zajęciu miasta. Później, na rozkaz Niemców, Żydzi tłukli na kawałki niezliczone posągi i popiersia, gipsowym gruzem wypełniając uliczne dziury po bombardowaniu.

Za rozmyślnym ocaleniem Mickiewicza przemawia też fakt, że pomnik w Krakowie niszczone, w czasie kiedy gubernatorem dystryktu krakowskiego był Otto Wächter. Ten sam, któremu w lutym 1942 powierzono gubernatorstwo Dystryktu Galicja. Nie warto się łudzić, że SS-Gruppenführer, nieustępliwy nazista, sprawnie administrujący hitlerowską ekspansją, miałby czegoś po prostu, ot tak, zaniechać. O tym, że Mickiewicza tolerowano w miejskim pejzażu, pośrednio świadczy również to, że najpierw w 1941, a później w 1943 roku wydano oficjalne pocztówki z pomnikiem na pierwszym planie, choć landszaft opisano tylko: *Lemberg. Marienplatz*. W tym samym 1943 roku hitlerowska gospodarka gwałtownie szukała surowców i wiele cennych obiektów przeznaczono na złom. Lwowska AK odnotowała w raportach obawy, że taki los może spotkać również galicyjskie pomniki. Na szczęście tak się nie stało i Mickiewicz, wraz ze swoim geniuszem, trwali niewzruszeni.

Do rozwiązania zagadki tej niemieckiej pobłażliwości prowadzi pewien, na pierwszy rzut oka niewyraźny i lekceważony, trop ukraiński. Co ciekawe, okoliczność ta ujawniła się, zresztą niejedoznacznie, dopiero w radzieckich, powojennych przewodnikach, które do lat 80. podawały, iż autorem monumentu, obok Antoniego Popiela, był

Ukraińiec nazwiskiem Paraszczuk. Polaków ta informacja, łagodnie mówiąc, irytowała. Witold Szolginia, który na początku lat 90. XX wieku pierwszy wspomniał o ukraińskim rzeźbiarzu, ustalił co nieco na jego temat i napisał, że *wcześniej nikomu nieznaną, deus ex machina został współtwórcą pomnika dopiero około roku 1950*. Ostatecznie Szolginia, zapewne mając dostęp jedynie do lakonicznych zapisów w przewodnikach, pokpiwał, że Paraszczuk, w chwili gdy Antoni Popiel wygrał konkurs na budowę pomnika, miał 13 lat, i uznał, że cała sprawa to „jawne fałszerstwo”.

Rzecz jest jednak dużo bardziej zawiła i dzisiaj warto dociec, jakaż to „machina” wprowadziła na scenę Paraszczuka. I jak wpłynął on na losy Mickiewicza we Lwowie.

Mychajło Iwanowycz Paraszczuk urodził się niedaleko Trembowli w 1878 roku. Zatem, wbrew wyliczeniom Witolda Szolgini, w roku 1898, kiedy rozstrzygnięto konkurs na pomnik wieszca, miał 20 lat. Natomiast jako trzynastolatek zaczął terminować u Stanisława Wójcika, polskiego rzeźbiarza, który zdołał cerkiew w Strusowie pod Tarnopolem. Wójcik zwrócił uwagę na jego talent, w 1893 roku sprowadził chłopca do Krakowa i polecił Julianowi Szopińskiemu, który wziął go do pomocy przy restauracji rzeźb Kaplicy Zygmuntońskiej na Wawelu. Posłano go także na wykłady Stanisława Barabasza w krakowskiej Szkole Przemysłowej, a w 1896 roku promotorzy wsparli jego naukę w Wiedniu. Wróciwszy po dwóch latach znalazł miejsce w lwowskiej pracowni Antoniego Popiela, któremu asystował przy zdobieniu Teatru Miejskiego, Biblioteki Uniwersyteckiej i Muzeum Przemysłowego. Tak oto znalazł się u boku Popiela w zespole wznoszącym pomnik Mickiewicza, w którym opracował głowicę kolumny i wieńczący ją szczyt.

## SZTUKA I SZTUCZKI

Asystując o trzynaście lat starszemu Popielowi, Paraszczuk rzeczywiście był artystą początkującym. Trzeba jednak pamiętać, że do współpracy przy tak ważnych i niełatwych zadaniach jak kolumna Mickiewicza nie angażuje się byle rzemieślników. Antoni Popiel także, w jakimś sensie, był na początku drogi. Zgłaszając się do konkursu miał w dorobku wiele mniejszych prac, ale

tylko jeden pomnik – Józefa Korzeniowskiego w Brodach, odświeżony dopiero w 1898 roku. Popiel świetnie wiedział, jak dzieło tej miary co Mickiewicz we Lwowie zaważy na jego karierze i bez wątplenia dobierał zespół uważnie. Wolno zakładać, że po prostu doceniał umiejętności młodego rzeźbiarza.

W 1902 roku – a więc dwa lata przed odświeżeniem pomnika – Paraszczuk pojechał do Warszawy, gdzie przez kolejne cztery kierował artystycznym warsztatem Sabina Barańskiego. Dużo też rzeźbił oświadczenie – z tamtego czasu pochodzi m.in. portret Wandy Siemaszkowej. Po powrocie do Lwowa otrzymał pracownię w Ukraińskim Domu Akademickim, a ponieważ związał się z literacko-artystyczną grupą „Młoda Muza”, przez dwa lata rzeźbił głównie popiersia jej członków – Petra Karmanskiego, Mychajły Jackiwa, Wasyla Paczowskiego, Stanisława Ludkewycza. W tym okresie powstały też biusty Wasyla Stefanyka, Mychajły Hruszewskiego czy Iwana Franki.

W 1907 roku Paraszczuk wyjechał do Paryża i – z polecenia Antoniego Popiela – zamieszkał u Władysława Mickiewicza. Studiował wtedy w atelier Augusta Rodina, który zachęcił go, żeby wrócił do Lwowa i skończył, a następnie wystawił kilka rozpoczętych rzeźb. Z sukcesem zadebiutował na ekspozycjach Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych i znów pojechał do Paryża. Tam ukończył Akademię, uzyskując złoty medal za *Popiersie starca*, entuzjastycznie przyjęte przez Rodina. W kolejnych latach wykładał i rzeźbił w Monachium, gdzie, prócz wielu innych, sportretował Stanisława Przybyszewskiego. Od 1910 znów pracował we Lwowie – między innymi nad pomnikami Juliusza Słowackiego i Tarasa Szewczenki. W Kijowie rzeźbił Mykołę Łysenkę, Bohdana Łepkiego i kolejny raz Szewczenkę.

Przed pierwszą wojną światową zdobył niemały rozgłos jako artysta, miał też istotną pozycję jako działacz Związku Wyzwolenia Ukrainy. W 1918 roku wrócił do Galicji, angażował się czynnie w politykę, w 1920 podejmując się nawet misji dyplomatycznych. Ostatecznie w 1921 roku wyemigrował do Bułgarii i zamieszkał w Sofii, gdzie mieszkał do śmierci w 1963 roku.

Jak widać, kariera Paraszczuka bynajmniej ani Popielowi, ani Mickiewiczowi ujmę nie przyniosła, chociaż jego udział



Okladka książki, z której pochodzi prezentowany tekst

w lwowskim arcydziele istotnie był niewielki. Czas jednak zapytać, jak się to, u licha, wiąże z „być albo nie być” pomnika stojącego przy „Marienplatz w Lemberg”?

Otóż los w podobnych przypadkach lubi się poruszać krętymi ścieżkami. Zięciem Mychajły Paraszczuka był mieszkający i działający we Lwowie Iwan Iwaniec. Ukraiński malarz, dziennikarz, działacz narodowy, żołnierz Strzelców Siczowych. To on, w latach 1942–44 kierował Związkiem Ukraińskich Artystów Plastyków. Iwaniec miał opinię człowieka osobiście przyzwoitego. Bywało, że korzystał ze swojej pozycji, pomagając znajomym artystom. Chwalił go choćby Henryk Streng, żydowski malarz, któremu Iwaniec pomagał ukrywać się tyleż przed Niemcami, co Ukraińcami. Dla pokolenia Iwańca Paraszczuk był legendą i autorytetem, wzorem Ukraińca, który kształcąc się i pracując przeważnie w polskim środowisku, nie tylko się nie spolonizował, ale pozostał jednym z filarów kultury narodowej. Jego opinie traktowano z całą powagą.

Oczekując, że zięć obejmie opieką dzieło jego mistrza i nauczyciela, Paraszczuk wykorzystywał fakt, że kierowany przez Iwańca związek podlegał Ukraińskiemu Komitetowi Centralnemu rezydującemu w Krakowie. Na czele tej instytucji, będącej oficjalną, koncesjonowaną przez III Rzeszę reprezentacją ukraińskich nacjonalistów, stał Wołodomyr Kubijowycz, naukowiec i działacz nacjonalistyczny, formalnie polityczny partner Otona Wächtera. Niemcy traktowali organizację ukraińskie podlegającą Komitetowi Kubijowicza jak struktury sojusznicze i na ogół tolerowali ich działalność, o ile nie miały ambicji państwowych, bo te uważali za groźne fantazje.

Choć w polskim uchu brzmi to jak ciężka herezja, prawdą jest, że udział Michajły Paraszczuka w budowie pomnika Adama

Mickiewicza i wpływy jego zięcia w ukraińskich władzach współpracujących z Niemcami spowodowały, że wybitne osiągnięcie Antoniego Popiela przedstawiono jako dzieło ukraińskie na tyle, iż należy je oszczędzić.

Nie ma powodów, aby ten zbieg okoliczności służył do roztrząsania głębszych dziejowych racji. Niech wynika z niego tyle tylko, że losem ludzi, spraw i rzeczy często kierują paradoksy, które, choć nieeleganckie historycznie, w rezultacie przynoszą przyzwoity skutek.

## W „RADZIECKIEJ OJCZYŹNIE”

Iwaniec został po wojnie aresztowany przez Smersz i zastrzelony w Moskwie w 1946 roku. Paraszczuk dożył sędziwego wieku i nigdy nie podawał się za autora pomnika Mickiewicza. Miał zresztą własną bogatą twórczość, w Sofii był ceniony, a nawet rozchwytywany. Nie musiał się podpisywać pod cudzym sukcesem. Antoni Popiel zaważył na jego życiu, twórczości i poglądach. Artystyczny świat, z którego pochodził Paraszczuk, kształtował się w atmosferze, by tak rzec, imperialno-kosmopolitycznej. Panujące w nim relacje były na swój sposób autonomiczne i trwalsze niż te w świecie polityki, wojny i rewolucje nie zrywały ich tak łatwo. Dla pokolenia Paraszczuka – a był typowym przedstawicielem generacji – bez względu na narodowe emocje, maestria wielkich nauczycieli stanowiła przedmiot nieprzemijalnego kultu. Antoni Popiel był dlań wybitnym artystą, dopiero w dalszej kolejności artystą polskim. Nie kwestie narodowe, lecz więzi zrodzone w sztuce skłoniły go do ocalenia *opus vitae* swego mistrza.

Kiedy w 1944 roku Armia Czerwona wróciła do Lwowa, taki sentymentalizm stracił swą moc, jak wiele innych „burżuazyjnych zabobonów.” Mickiewicz nie pełnił już tak ważnej roli jak za „pierwszych sowietów”. Polacy mieli być deportowani, propaganda nie musiała ich łudzić zanadto żarliwie, ale wieszcz pozostawał w panteonie poetów-rewolucjonistów walczących z caratem, nadał był przecież towarzyszem Puszkina i „przyjacielem Moskali”. Stalinizm nie miał powodów, by zmieniać kostiumy, przeciwnie, w latach wojennych okrzepł i z tym większym impetem zamierzał wrócić do spraw zaniechanych, ale nie zapomnianych. Nikita



Chruszczow pomny niedawnych obrzędów oświadczył, że „ukraiński naród zna i lubi poezje Mickiewicza”, i pomnik został. W dodatku poeta stał teraz na placu swojego imienia, bo Plac Mariacki musiał oczywiście zniknąć z mapy radzieckiego Lwowa.

W stronę Teatru Wielkiego biegła teraz ulica 1 Maja, którą defilowano w pochodach pod sztandarami i transparentami sławiącymi chwałę zwycięskiej Armii Czerwonej i jej potężnego wodza. Nadal było to miejsce ze wszech miar reprezentacyjne, czyżby więc naród ukraiński aż tak znał i lubił wiersze „towarzysza Adama”?

Nic podobnego, „Czerwony Sztandar” dawno już zapowiadał, że w mieście *jest wiele do zrobienia, by usunąć smutną spuściznę pozostawioną przez rząd byłej pańskiej Polski*. Niejaki A. Kasjanow, podpisujący się „architekt”, wzywał wszystkich do *socjalistycznej rekonstrukcji miasta, która jest warunkiem przeistoczenia Lwowa w jedno z najpiękniejszych miast Ukrainy Radzieckiej*. W ramach „socjalistycznej rekonstrukcji” powojenne plany stalinowskich architektów przewidywały pozostawienie placu Mickiewicza na uboczu nowego, proletariackiego Lwowa. Ten dawny w głębi swej kilkusetletniej duszy zdawał się milcząco drwić ze szmacianej estetyki, w jakiej go pograżano. Uroda i charakter miasta – głęboko zatopiona w sztuce, architekturze, w utrwalanej przez stulecia strukturze urbanistycznej i społecznej – dla Sowietów była groźna jak okno, przez które można się wychylić z szarego, siermiężnego raj. Należało je czym prędzej zabetonować.

Miasto miała przeciąć, a w istocie zrujnować, trzykilometrowa arteria przeprowadzona kosztem ogromnej części starej zabudowy śródmieścia. W miejscu Rynku Krakowskiego zamierzano zbudować centralny plac miejski o powierzchni 4 hektarów. Dla porównania – moskiewski Plac Czerwony i plac Niepodległości w Kijowie mają po niespełna 2,5 hektara. Projektowano tam gmach partyjno-rządowy i ogromny pomnik Stalina. Z placu centralnego wytyczono „magistralę bulwarową”, biegnącą z zachodu na wschód przez ponad kilometr, miazdzącą pod drodze Stary Rynek i kilkadziesiąt budynków, w tym kościół Jana Chrzciciela. Prowadzono ją na kopiec Unii Lubelskiej, który miał zostać kopcem Lenina z jego po-

mnikiem o wysokości 50 metrów na szczycie. Cóż przy takiej potędze znaczyłaby zaledwie nieco ponad dwudziestometrowa kolumna Mickiewicza stercząca gdzieś na uboczu.

Plany przeistoczenia starego Lwowa w nowy, stalinowski Lviv rozwijano jeszcze długo. Pod koniec lat 40. zapadła decyzja o likwidacji większości przedwojennych pomników. Aleksandra Fredrę, Jana III Sobieskiego i Kornela Ujejskiego zabrali Polacy, pozostałe monumenty przeważnie zniszczono. Adam Mickiewicz, „stary, zasłużony towarzysz”, został.

Przebudowy, a właściwie budowy nowego centrum Lwowa szczęśliwie nie przeprowadzono. Po śmierci Stalina, kiedy masy ludowe tłoczono w chruszczowkach, a sowiecka megalomania coraz boleśniej zdebrała się z realiami ekonomicznymi, partyjni historycy musieli zweryfikować niewygodne doktryny. Opisywano Lwów jako odwieczny matecznik rewolucyjnego postępu, nieustanna walka klasowa trwała tu już od... XV wieku! Stare mury, które „to wszystko widziały”, należało uszanować i „postępowo” zdobić, tu i ówdzie narzucając pyszałkowsaty radziecki empire, przetykany standardową propagandą. Sercem miasta pozostały dawne Wały Hetmańskie, a pomnik Lenina zamiast na szczycie kopca stanął tam, gdzie planowano już w roku 1940 – na tle Teatru Wielkiego. Imię wodza rewolucji, wcześniej niejako rezerwowane dla którejś z wielkich niezrealizowanych arterii, w 1959 roku trzeba było wreszcie znaleźć uchronować. Ulicę 1 Maja przeniesiono więc na Gródecką,



Wieża ku czci Adama Mickiewicza, 1940 r.

a Lenin stanął na ulicy Lenina, która prowadziła wprost na plac Mickiewicza.

Wtedy także, w ramach łechtania ambicji Ukraińców dozwolonego przez Kreml Chruszczowa, przypomniano sobie o Paraszczuku i, nie zważając na fakty, zaczęto wymieniać go w publikacjach jako współautora, a nawet autora pomnika. Była to jednak tylko czkawka historii, która w latach 50. biegnie już całkiem innym torem.

## WOLNOŚĆ I SWOBODA

Tak oto Mickiewicz dotrwał do końca Związku Radzieckiego, zrzucił rewolucyjny kostium i nie ruszając się z miejsca, znalazł się w wolnej Ukrainie. Politycznie znów mu się poszczęściło, był przecież poetą narodu, który jako pierwszy uznał niepodległość ukraińskiego państwa. Nawet gdyby ktoś wpadł na pomysł, by go usuwać „z wolnej ukraińskiej przestrzeni”, byłby to gest, łagodnie mówiąc, toksyczny dyplomatycznie.

Wieszcz znalazł się teraz na szczycie prospektu Wolności, który zastąpił ulicę Lenina. Spod gmachu Teatru Wielkiego zniknął także pomnik Włodzimierza Iljicza, rozebrany niemal natychmiast po upadku radzieckiej władzy. Przybył natomiast Taras Szewczenko, a to dla poety towarzystwo, jeśli nie wymarzone, to całkiem znośne, zwłaszcza w porównaniu z Leninem czy szpalerem gipsowych komsomolców.

W ciągu niemal 120 lat istnienia *Poeta i geniusz* – bo tak swoje dzieło zatytułował Antoni Popiel – tylko raz, w 1924 roku był, powiedzmy, w obiektywnym niebezpieczeństwie. Inżynierowie alarmowali, że konstrukcja cokołu, dość skomplikowana ze względu na płynącą pod ziemią Pełtew, jest uszkodzona i Mickiewicz może runąć na bruk. Problem rozwiązano i później geniusz musiał stawiać czoło tylko rozkapryszonej polityce.

Czy to już koniec historii? Jeśli wniknąć w nią głębiej, można dostrzec, że za kulisami codzienności wciąż gra swoją komedię, a obsadzony w niej Mickiewicz przez dziesięciolecia nie schodzi ze sceny. W latach 50. Stefan Żółkiewski, naczelny szarlatan socrealizmu, ogłosił akademicką rozprawę *Spór o Mickiewicza*. Przez lata był to rezerwuar, z którego garściami czerpali oświatowi kanonicy PRL. Za ich sprawą kilka powojennych pokoleń oglądało Mickiewicza w klatce

stereotypów, którą wykuto ongiś we Lwowie, w obłędzie „radzieckiej ojczyzny”. W literaturze ukraińskiej czy rosyjskiej do dziś, jeśli mowa o Mickiewiczu, nierzadko z całą powagą cytuje się teksty z lat 40. Czegóż zresztą oczekiwać, skoro *Lwów. Portret utraconego miasta*, książka Lutza C. Klevemana, dopiero co z dumą godną lepszej sprawy wydana przez „Znak”, wśród wielu paradnych andronów autora przynosi i taki, że *sowieci zdawali się nie mieć zastrzeżeń do poety, który wiele napisał o cierpieniu prostych chłopów*. Nie mniej od chybionej uwagi na temat Mickiewicza frapuje zawarta w tym zdaniu wiara Klevemana, że akurat niewrażliwość na cierpienie wzbudziłaby sowieckie zastrzeżenia.

O ile pomnik, objęty dziś, jak wiele innych lwowskich zabytków, opieką UNESCO, może stać spokojnie, to Adam Mickiewicz znów, całkiem niedawno, zagościł w płomiennych przemówieniach. Oto pewien lwowski rajca, w swoistym odwiecie za oprostowaną przez Ukraińców zmianę nazwy jednej z ulic w Przemyślu, zażądał od lwowskiej rady nazwania Placu Mickiewicza na powrót Placem Mariackim, co miałoby zwieńczyć dekomunizację lwowskich nazw, albowiem imię poety nadali temu miejscu sowieci. Sprawa, zdaje się, ucichła, ale historyczne licho sen ma raczej płytki.

Losy pomnika uważanego za najpiękniejsze na świecie upamiętnienie niezwykłego poety są, jak widać, powikłane. Jednych poruszają, innych oburzają. Pamiętajmy jednak, że jakkolwiek ocenimy fakty, dają one odpowiedź na pytanie: „Dlaczego on tu jeszcze stoi?”.

W końcu pamięć nie zawsze musi podążać za wiedzą. Może także bezkarnie błędzić za sentymentem, a ten ukazuje nam zdarzenia może nie najważniejsze, ale pełne uroku. Jak to, rzucone gdzieś w otchłań literatury emigracyjne wspomnienie Romana Makarewicza, także poety, który zapamiętał pędzące wokół Mickiewicza... rydwany. *Rydwany to była dwukonna dorożka. Za parę złociszów dorożkarz oddawał nam wodze i zadowalał się ryzykowną rolą pasażera. Kto z nas pierwszy okrążył pomnik dwanaście razy, klękał przed wieszczem, a zniechęcony, zbrązowiała mu symbolicznie kładła mu wieniec na skronie*.

Niech zatem, da Bóg, „towarzysz wieszcz” przez kolejne dziesięciolecia stoi na straży tylko takich wspomnień.

# Kresowe sanktuarium

Słynne kiedyś sanktuarium kresowe, warowny klasztor karmelitów bosych w Berdyczowie, zwano przez stulecia całe Fortecą Najświętszej Maryi Panny. Jego rangę i znaczenie – głównego sanktuarium maryjnego rozległych ziem ruskich, po unii lubelskiej należących do Korony, porównywano z Częstochową dla centralnej Polski, Ostrą Bramą dla Litwy czy podkaminską Górą Różańcową dla Wołynia. U genezy Fortecy Maryi w Berdyczowie kontekst metafizyczny i niepodległościowy niespokojnych tych kresowych ziem zespolony był bodaj najściślej, a przy tym nader wyraziście. Sławny z czasem wizerunek Marii z Dzieciątkiem, utrzymany w typie ikonograficznym Matki Bożej Śnieżnej, był – jak podaje prastara tradycja – od czasów niepamiętnych (w rzeczywistości od XVI wieku) własnością możnej rodziny Tyszkiewiczów i cieszył się znacznym kultem w ich kaplicy na zamku berdyczowskim.

Fundator słynnego berdyczowskiego klasztoru Janusz Tyszkiewicz (1590–1649) był synem Teodora Fryderyka Tyszkiewicza. Jego matką była Zofia księżniczka z Ostroga Zasławska, wojewodzianka wołyńska. Odziedziczył po ojcu klucz berdyczowski oraz liczne kresowe majątki. Dwaj jego bracia Samuel i Hieronim polegli w wojnie moskiewskiej w 1611 roku. Miał też dwie siostry: Barbarę i Krystynę. Był prawdopodobnie wychowankiem któregoś kolegium jezuickiego, przeszedł do historii jako człowiek zasłużony, prawy i mądry. W wielu poczynaniach, w tym także fundacyjnych, wspierała go małżonka Jadwiga z Jazłowieckich Bełżecka. Był hojnym donatorem zarówno w odniesieniu do fundacji religijnych, jak i społecznych oraz patriotycznych, uczestniczył w licznych wyprawach wojennych, piastował prestiżowe

funkcje, dostępował wielu znaczących publicznie godności. W 1623 roku uczestniczył jako komisarz w zawarciu układów z Kozakami zaporoskimi w sprawie zaciągów na wojnę, a także podpisania traktatu pokojowego z Moskwą w miejscowości Polanówka k. Kamieńca Podolskiego. Brał czynny udział u boku hetmana Stanisława

Żółkiewskiego w wojnie z sułtanem tureckim Osmanem, w 1620 roku został ranny w bitwie pod Cecorą, walczył pod Chocimiem w 1621 roku, u boku Stanisława Koniecpolskiego i Jerzego Wiśniowieckiego uczestniczył w rozgromieniu baszy Abazego w bitwie pod Paniowcami. Nazywano go „pogromcą Tatarów i kozackich rebeliantów”<sup>1</sup>.

W Berdyczowie prace przy budowie w obrębie zamkowej warowni kościoła klasztorowego trwały od 1634 roku. 25 marca tego roku biskup kijowski Andrzej Szoldrski dokonał poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę dolnego kościoła klasztorowego. Budowa trwała 8 lat. Kierował nią nieznanymi z imienia i nazwiska architekt związany z rodziną fundatora. Uroczyste poświęcenie kościoła dolnego i inauguracja życia zakonnego karmelitów bosych w Berdyczowie nastąpiło 22 lipca 1642 roku. Janusz Tyszkiewicz ofiarował tego dnia do kościoła obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem – kopię znanego wizerunku Matki Bożej Śnieżnej z rzymskiej bazyliki papieskiej Matki Bożej Większej (Santa Maria Maggiore). Obraz ten, namalowany na płótnie przyklejonym do cy-



Tablica na kościele św. Barbary w Berdyczowie upamiętniająca ślub Honoriusza Balzaka z Ewelina Ҁańską w 1850 r.

\* Artykuł jest wersją skróconą tekstu *Forteca Najświętszej Panny (Berdyczów)* opublikowanego w „Roczniku Kresowym” nr 6(8), z. 2, Warszawa 2020. Prezentowane w tekście fotografie pochodzą z książki Beginusa Józefa Wanata *Klasztor Karmelitów Bosych w Berdyczowie na Ukrainie*, Kraków 2007.

<sup>1</sup> Benignus Józef Wanat OCD, *Klasztor Karmelitów Bosych w Berdyczowie na Ukrainie. Studium monograficzne*, Kraków 2007, s. 17.



Kościół św. Barbary w Berdyczowie

prysowej deski, uznawany był przez rodzinę Tyszkiewiczów za cudowny. Od kilku pokoleń przechowywali oni w swoim domu ten wizerunek i byli do niego ogromnie przywiązani.

Zanim w 1648 roku doszło do powstania Chmielnickiego, wojen kozackich i napałów tatarskich, berdyczowski warowny klasztor zasłynął jako miejsce święte, a sława łaskami słynnego wizerunku znalazła kanoniczne potwierdzenie: biskup kijowski Stanisław Zaręba 23 maja 1647 roku ogłosił obraz za cudowny. W burzliwych latach 1648–1649 klasztor berdyczowski padł pastwą nieprzyjaciela. Karmelici w 1648 roku opuścili berdyczowski klasztor, uwożąc sławny wizerunek do Lwowa. Tam umieszczony został w kościele karmelitanek bosych. We Lwowie cudowny obraz znalazł przystań na 73 lata. W 1663 roku karmelici powrócili do Berdyczowa. Odrestaurowali kościół i klasztor, a kiedy już odnowili zniszczony klasztor, zostali w 1684 roku siłą wyrzuceni przez spadkobierców fundatora, Janusza Tyszkiewicza.

*Spadkobiercy Janusza Tyszkiewicza, [nie pozostawił on potomstwa – S.D.] żałując zapisów poczynionych karmelitom przez fundatora, zamierzali ich wyrugować z Berdyczowa. W tym celu namawiali Kozaków zamieszkałych w Berdyczowie i pułkownika ich ordy do napaści na klasztor. Kiedy Kozacy nie dali się do tego skłonić i nie chcieli gnębić zakonników i bezcześcić miejsca świętego, wtedy komisarz berdyczowski Świdorski i oficjalista Michał Grabowski, oficerowie i żołnierze starosty poznańskiego napadli na klasztor i kościół złupili dnia 19 marca 1684 r.<sup>2</sup>*

Do podobnych aktów napaści na klasztor i zakonników doszło z inspiracji spadko-

bierców także w następnych miesiącach, w wyniku czego i kościół, i klasztor zostały dotkliwie ograbione, a mieszkający tam karmelici – wyrzuceni. Zakonnicy rozpoczęli proces, uznając te akty napaści i grabieży za oczywiste bezprawie. Dopiero dekret Trybunału Lubelskiego z 1716 roku nakazał właścicielom Berdyczowa oddanie zakonnikom zagarniętych dóbr i zobowiązał ich do zapłacenia odszkodowania za wyrządzone krzywdy. Wówczas karmelici ponownie odbudowali klasztor i sprowadzili do Berdyczowa łaskami słynący wizerunek Matki Bożej i wznowili jej kult<sup>3</sup>.

Sprowadzony w 1721 roku ze Lwowa wizerunek Maryi służył ożywieniu ruchu pątniczego i rozwijaniu ofiarności na cele odbudowy i rozwijaniu ofiarności na cele odbudowy i kontynuacji przerwanych prac budowlanych. Nie mniej ważne były w tych niespokojnych czasach wydatki związane z umocnieniem militarnym klasztornej fundacji, tak aby mogła ona skutecznie stawiać opór w przypadku zagrożenia. Kiedy w 1732 roku tamte ziemie ogarnięte zostały buntem hajdamackim, karmelici nie opuścili warownego klasztoru, ale zdołali wywieźć do Lublina, do tamtejszego kościoła karmelitanek bosych, wsławiony cudami obraz Matki

<sup>3</sup> B.J. Wanat OCD, *Drukarnia Karmelu Fortecy Najświętszej Maryi Panny w Berdyczowie*, Kraków 2002, s. 18.



Fasada sanktuarium Matki Boskiej Berdyczowskiej

<sup>2</sup> Op. cit., s. 53.



*In Actum Coronationis Beatissime Virginitatis MARIE, apparatus in pilarum sub cuppola Templi Berdyczowensis Carmelitarum. Dispositum Structure Templi accommodatus variis circumstantiis appropiatis.*



*Anno incognito, opere telarum Templi Berdyczowensis S. O. P. B. V. A. L. die Martis Curia. In capite in actum introductionis Theotokos VIRGINIS MARIE. Curia. In fine. In. Occasionem data separataque et virtualibus Regalia trina peractum. 1734.*

Bożej Berdyczowskiej. Po czterech latach w 1736 roku obraz powrócił do Berdyczowa.

W roku 1739 karmelici, dzięki ofiarności dobrodziejów berdyczowskiego sanktuarium oraz własnym oszczędnościom podjęli ważne, ale i wysoce kosztowne dzieło budowy kościoła górnego, opartego w architektonicznym obrysie na zbudowanym wcześniej kościele dolnym. W 1734 roku decyzją Definitorium Prowincjonalnego klasztor berdyczowski, dotąd na prawach wikariatu, podniesiony został do godności przeoratu. Przeor berdyczowski jeszcze jako przełożony kamienieckiego klasztoru karmelitów poznał tam młodego architekta fortecznego Jana de Witte i jemu właśnie zlecił opracowanie projektu nadbudowy kościoła górnego i rozbudowy klasztornych fortyfikacji. Według planów i pod kierunkiem Jana de Witte przystąpiono do budowy obszernej barokowej trzynawowej świątyni typu bazylikowego na planie krzyża łacińskiego, z transeptem, zwieńczonej potężną, malowniczą kopułą zbudowaną na skrzyżowaniu nawy głównej i poprzecznej. Z powodu braku funduszy świątynia ukończona została dopiero w 1754 roku.

Konsekrował ją, także w 1754 roku, biskup kijowski Kajetan Sołtyk.

Pod kierunkiem tegoż architekta Jana de Witte klasztor otoczono fortyfikacjami nowowłoskimi, obronnymi murami ze strzelnicami, bastionami w narożach, mostami zwodzonymi. Forteca wyposażona była w 60 dział ze stałą załogą wojskową, która broniła sanktuarium i klasztoru przed napadami nieprzyjaciół. Na takie zabezpieczenie klasztor otrzymał zezwolenie już 6 maja 1749 r. od najwyższych władz zakonu w Rzymie<sup>4</sup>.

Ten wielki rozmach potężnej architektury fortecznej, połączonej z okazałą bryłą kościoła, zwieńczoną okazałą, nader efektowną kopułą i widoczną z daleka, piękną, wklęsłą, bogato zdobioną elewacją, z okazałymi gmachami klasztornymi, był niemałym sukcesem Jana de Witte. Ten wybitny strateg w zakresie architektury fortecznej okazał się rychło znakomitym pomysłodawcą i realizatorem wyjątkowo efektownych i funkcjonalnych projektów, głównie obiektów sakralnych. W tym samym zasadniczo czasie, gdy zaangażowany był w klasztorze berdyczowskim, kierował budową wznoszonego wg jego zamysłu architektonicznego, kościoła Bożego Ciała (oo. Dominikanów)

<sup>4</sup> Ibidem.



Matka Boża w koronach papieża Piusa IX. Staloryt Antoniego Oleszczyńskiego z 1854 r.

we Lwowie (1749–1764), jednego z najwspanialszych obiektów barokowo-rokokowych na ziemiach Rzeczypospolitej. Kompetencje zdolnego architekta i stratega w zakresie sztuki militarnej zostały docenione: w 1767 roku mianowano go generałem majorem, a w roku następnym komendantem twierdzy kamienieckiej i pogranicznych fortec.

W połowie XVIII wieku, po latach klęsk wojennych i grabie-

ży, nadeszły czasy świętości berdyczowskiego sanktuarium. Sława wizerunku Matki Boskiej, zwanej teraz powszechnie Berdyczowską, na coraz szerszą skalę zyskiwała kanoniczne potwierdzenie.

Do roku 1756 z przysięgłych zeznań urzędowo stwierdzonych zapisano 263 cuda. Z wdzięczności za łaski rozpoczęto staranie o koronację obrazu. W 1752 roku za sprawą bpa Sołtyka na Sejmie w Grodnie wyjednano od króla Augusta III i stanów Rzeczypospolitej prośbę do Ojca Świętego Benedykta XIV o pozwolenie na ukoronowanie tego obrazu jako cudownego<sup>5</sup>.

Przychylając się do tych prośb, dekretem Kapituły Bazyliki św. Piotra, Benedykt XIV w styczniu 1753 roku wydał pozwolenie na koronację sławnego wizerunku. Papież wraz z dekretem nadesłał ofiarowane przez siebie szczerozłote korony. Sama uroczystość koronacji wizerunku, z udziałem wielotysięcznych tłumów, w tym przedstawicieli wszystkich stanów Rzeczypospolitej i formacji wojskowych, odbyła się trzy lata później, 16 lipca 1756 roku. Data tej uroczystości była dostosowana do terminu zakończe-

nia prac budowlanych i wykończenia kościoła górnego, w którym wizerunek Matki Boskiej Berdyczowskiej miał być umieszczony. Koronacji dokonał następca bpa Samuela Oźgi, biskup kijowski Kajetan Sołtyk.

Uroczystości koronacyjne ściągnęły na berdyczowskie błonia ponad 50 tys. wiernych, a także około 6 tys. żołnierzy z chorągwi husarskich oraz pancernych. Rozmachem i okazałością uro-

czystości te, trwające kilka dni, ustępowały spośród kresowych koronacji obrazów tylko tym w sanktuarium w Podkamieniu (1727).

Klasztor berdyczowski stał się w tym czasie nie tylko centrum życia religijnego na dalekich Kresach, ale też prowadził wielokierunkową działalność kulturalną, edukacyjną, gospodarczą i dobroczynną.

Dwukondygnacyjny kościół klasztorny pełnił odtań rozliczne funkcje kultowe i patriotyczne. Jan de Witte zadbał o jego funkcjonalność i estetykę, służącą pomnażaniu przeżyć religijnych przybywających do Berdyczowa z odległych rejonów pielgrzymów. O walorach architektonicznych świątyni Benignus Józef Wanat pisał m.in.:

*Do górnego kościoła wiodą kamienne schody z dwóch stron okalające wejście do dolnej świątyni z kamiennymi wazonami na cokołach balustrady. Do wnętrza kościoła górnego prowadzą trzy bramy – portale prostokątne w fasadzie z obramieniami kamiennymi. Nad środkowym portalem herbowy kartusz w zwieńczeniu oraz gank z metalową, ażurową balustradą (do odprawiania nabożeństw dla pielgrzymów) na tle prostokątnego okna w obramieniu kamiennym (...) Kanelowane kolumny i pilastry dźwigają regularne belkowane z fryzem zdobionym tryglifami i wawrzynowymi*



Obrazek z wizerunkiem MB Berdyczowskiej w promieniach słońca i półksiężyca (XIX w.)

<sup>5</sup> Benignus Józef Wanat OCD, *Klasztor Karmelitów Bosych w Berdyczowie na Ukrainie. Studium monograficzne*, Kraków 2007, s. 57.



wianuszkami z palmetami oraz profilowany, rozczłonkowany gzyms horyzontalny. Elewację fasady (...) wieńczy rokokowy szczyt ze spływami w porządku tokańskim. W jego centralnym polu znajduje się płaskorzeźba Matki Bożej Berdyczowskiej na tle kotary w kształcie litery „M” ze zwisającymi zwojami i królewską koroną ponad Madonną. Poniżej na gzymsie, balkon z balustradą dla trębaczy, którzy w XVIII wieku codziennie rano grali „poranek”, czyli religijne pieśni na cześć Matki Bożej. Na szczycie kamienna rzeźba Niepokalanego Poczęcia Najśw. Maryi Panny z kandelabrami po bokach (...) Fasada ma 25,5 m szerokości oraz 24,1 m wysokość<sup>6</sup>.

Po wybudowaniu i urządzeniu kościoła górnego, który przeznaczony został na sanktuarium Matki Bożej Berdyczowskiej, dolny kościół stał się głównie miejscem nabożeństw żałobnych, w jego wnętrzu odprawiano Drogę Krzyżową, a w Wielkim Tygodniu urządzano Grób Chrystusa. W retabulum ołtarzowym, po przeniesieniu cudownego wizerunku do kościoła górnego, umieszczono dużą rzeźbę Chrystusa Ukrzyżowanego. W 1759 roku karmelici sprowadzili z Lublina zabalsamowane ciało Janusza Tyszkiewicza, które złożono w sarkofagu w osobnej kaplicy dolnego kościoła.

Nie zachował się, nawet we fragmentach, bogaty wystrój kościoła górnego z II połowy XVIII wieku, przygotowany tylko w części na uroczystości koronacyjne, a ukończony w późniejszym czasie. W 1802 roku przeprowadzono renowację pierwotnej polichromii kościoła górnego, pokrywając koszty tej restauracji z dochodów drukarni klasztornej. Wcześniej, w 1799 roku, przeprowadzono kapitalny remont wiązań dachowych, pokryto też miedzianą blachą kościół wraz z kopułą.

Polichromia w kościele uległa zagładzie podczas pożaru w 1941 roku, a następnie w ramach systemowo zaprogramowanej walki z Kościołem i zacierania śladów polskości, kiedy zniszczono z pełną premedytacją ocalałe fragmenty polichromii, rozbito wszystkie cenne sztukaterie i tynki. W bogato zdobionym rokokowym ołtarzu głównym, wykonanym w połowie XVIII wieku w pracowni snycerskiej we Lwowie, umieszczony był słynny obraz Matki Boskiej Berdyczow-

skiej w pięknej rokokowej srebrnej, wyłoczonej ramie (ważącej 75 kg), wykonanej w pracowni złotniczej we Wrocławiu na uroczystość koronacyjną. Ramy te fundowali mieszkańcy Olsztyna. W ramionach transeptu usytuowane były dwa dużych rozmiarów rokokowe ołtarze boczne. W kościele o tak wielkim rozgłosie, często i licznie nawiedzanym przez coraz liczniejsze grupy pątnicze, znajdowało się wiele cennych przedmiotów oraz wotów. Ważne miejsce w liturgii kościelnej, a także obsłudze ruchu pątniczego i turystycznego odgrywał chór z bogato rzeźbionym rokokowym prospektem organowym i miejscem przeznaczonym dla miejscowej, klasztornej kapeli.

Inwentarz z 1892 roku obejmował liczne cenne paramenty liturgiczne, głównie srebrne relikwiarze, złote papieskie korony, a także wykaz zakładanych na obraz Matki Bożej Berdyczowskiej sukienek, wśród których była również szczerozłota z emaliowanymi kwiatami.

W następnych dziesięcioleciach, tragicznych dla Rzeczypospolitej, klasztor słynął nie tylko jako licznie odwiedzane sanktuarium, ale także jako ważny ośrodek kultury i myśli chrześcijańskiej oraz patriotycznej. W 1760 roku założyli karmelici w berdyczowskim klasztorze drukarnię o trudnym do przecenienia znaczeniu i zasługach, prowadzili szkoły, zgromadzili też słynną bibliotekę. Rok 1768 miał dla forticy Maryi szczególne znaczenie: Kazimierz Pułaski, jeden z przywódców konfederacji barskiej, za zgodą przeora o. Józefa Zwolińskiego zamknął się w twierdzy-klasztorze wraz z 700 konfederatami i 800 osobami cywilnymi z zamiarem podjęcia działań obronnych wobec



Królowa i ozdoba stepów Ukrainy, wzgórzy Podola i Wołyńskich lasów przecudowna w Berdyczowskim obrazie MARYA.  
Aut. kopia w Kościele górnym w Inowrocławiu. Fid. Raben. Dürer.

MB Berdyczowska – kopia obrazu z kościoła garnizonowego w Inowrocławiu

<sup>6</sup> Ibidem, s. 59.



Obraz MB Berdyczowskiej namalowany współcześnie przez Bożenę Muchę-Sowińską

ośmiotysięczonej armii rosyjskiej pod rozkazami gen. Michała Kreczetnikowa. Klasztorne mury musiały pomieścić przybyłych z Pułaskim ludźmi: katolików, prawosławnych i Żydów, podejmujących walkę z Rosją w imię obrony niepodległości państwa, wolności i przywilejów ustrojowych oraz religii. Obłężenie trwało 17 dni (od 28 maja 1768 roku). Pu-

łaski, mimo tak wyraźnej przewagi strony rosyjskiej, trzykrotnie odparł szturm wojsk nieprzyjacielskich, organizując nawet zwycięskie wycieczki. Mimo licznych ostrzałów klasztor i sanktuarium nie poniosły większych strat. Zginęło 38 konfederatów, po stronie rosyjskiej zaś – ponad tysiąc żołnierzy. Ale brak żywności i prochu zmusił obrońców do poddania się. Po opuszczeniu klasztoru przez konfederatów (aresztowano w twierdzy połońskiej czterech dowódców, w tym także Kazimierza Pułaskiego), gen. M. Kreczetnikow wraz z 300-osobowym oddziałem żołnierzy rosyjskich wszedł do klasztoru, który obrał sobie za kwaterę. Wychodząc, po dwóch niespełna tygodniach (28 czerwca), zabrał karmelitom 48 armat i całość broni. Rosjanie dokonali rabunku skarbca, zabrali też kosztowności zdeponowane w klasztorze przez ludzi, którzy bali się je przechowywać w swoich domach, jako mniej bezpiecznych. Zamierzał też gen. Kreczetnikow rozebrać fortecę, ale na usilne prośby swego brata odstąpił od tego zamiaru. Po wycofaniu się Rosjan i ich polskich sprzymierzeńców z Berdyczowa przeor Zwoliński w okresie czterech tygodni zdołał przywrócić murom fortecy stan zadowalający, podobno lepszy niż przed obłężeniem. Bardziej dotkliwa okazała się dla ludzi zaraza, która wybuchła wkrótce po odstąpieniu Rosjan,

a która wśród samych zakonników pochłonęła 12 osób zarażonych przy postudze chorym. Do wzmocnienia twierdzy-klasztoru znacząco przyczynili się wówczas także właściciele Berdyczowa, Radziwiłłowie. Załoga karmelitańskiej twierdzy berdyczowskiej przerwała swoją służbę w 1792 roku, kiedy garnizon włączony został do regularnej armii polskiej pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego. Na potrzeby związane z wojną obronną zabrano wtedy uzbrojenie twierdzy i działa, jak i ręczną broń palną. W roku następnym (1793) Berdyczów został anektowany do soboru rosyjskiego. Nadzieje na dalsze istnienie twierdzy w rękach Polaków zostały jednoznacznie przesądzone. Pozostała co najwyżej pamięć i niszczone mury. Świątynność miejsca w czasach staropolskich, duchowy charakter, charyzmatyczny wymiar sławnego sanktuarium, ale i jego codzienna służba narodowi, wreszcie architektoniczny powab fortecy Maryi, ścigały wciąż możliwych tego świata, a także ludzi wszystkich stanów i społecznych posłań. Nawiedzali to miejsce w tamtych czasach m.in.: Kazimierz Pułaski, duchowy opiekun konfederatów barskich – ojciec Marek Jandołowicz (Jandowicz), dwukrotnie był tu, w 1781 i 1787 roku, król Stanisław August Poniatowski, wielki książę, a z czasem car Paweł z małżonką (pod nazwiskiem hr. du Nord)<sup>7</sup>, a pół wieku później Honoriusz Balzak z poślubioną wówczas w 1850 roku Ewelina z Rzewuskich Hańską.

Wizerunek Matki Boskiej Berdyczowskiej zyskał dodatkowy rozgłos za sprawą o. Marka Jandołowicza, karmelity, mocno związanego z ideami głoszonymi przez konfederatów barskich, wspierającego ich dążenia religijne, polityczne i społeczne. Ojciec Marek, autor słynnej ongii *Wieszczby dla Polski*, jeden z twórców podstaw idei polskiego mesjanizmu, był wielkim czcicielem wizerunku Matki Bożej Berdyczowskiej i wziął z sobą kopię tego obrazu (znajduje się ona w warszawskim kościele Matki Boskiej Zwycięskiej). Wyidealizowaną postać charyzmatycznego zakonnika spopularyzowali polscy romantycy, a także późniejsi pisarze – m.in. Adam Mickiewicz, Juliusz Słowacki,

<sup>7</sup> Edward Rulikowski, *Berdyczów*, [w:] *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego*, t. 1, Warszawa 1880, s. 137.

Seweryn Goszczyński, Lucjan Siemieński, Józef Ignacy Kraszewski.

Sytuacja klasztoru berdyczowskiego po III rozbiórce Polski, podobnie jak innych klasztorów katolickich na terenach przynależnych teraz do Rosji, była bardzo złożona. Klasztor wprowadził wobec likwidacji wielu karmelitańskich domów zakonnych w prowincji ruskiej stał się w 1796 roku głównym jej ośrodkiem, otworzył nowicjat i kolegium teologiczne, a dla młodzieży świeckiej szkołę podwydziałową, ale nie dało to efektów długotrwałych. Na mocy dekretu cara Pawła I (następcy zmarłej w 1796 r. Katarzyny II i jej domniemanego syna) z dnia 3 listopada 1798 roku wszystkie zakony poddane zostały jurysdykcji miejscowych biskupów ordynariuszy.

W następnych dziesięcioleciach wobec klasztoru, który był od XVIII wieku ważnym ośrodkiem kultury polskiej, słynącego ze znakomicie zorganizowanej drukarni, w której wydano wiele cennych dzieł, z prowadzonych tam szkół oraz z szerokiej działalności patriotycznej – władze carskie wprowadziły dotkliwie formy represji. Pierwotnie ograniczały one podstawy funkcjonowania zakonnych inicjatyw i samego klasztoru, ale z czasem przybrało to charakter otwarcie prześladowczy, ukierunkowany na kasację. Probierzem dotkliwych represji był powstaniowy zakaz przyjmowania kandydatów do zakonu bez zezwolenia ministra spraw wewnętrznych (1839), a w 1844 zabroniono zakonom męskim i żeńskim prowadzenia działalności wychowawczej<sup>8</sup>. Przejęto też na rzecz skarbu państwa wszystkie dobra kościelne, a duchownym przyznano rządowe pensje. Wprowadzono także zakaz kontaktów ze Stolicą Apostolską. Te i inne, dotkliwe restrykcje ogromnie ograniczyły funkcjonowanie zakonów, w tym także klasztoru berdyczowskiego, którego ranga i kierunki działalności, społecznie wysoce przydatne, a dla kultywowania tradycji chrześcijańskich – zasadnicze, zostały całkowicie zagrożone.

*Sam klasztor berdyczowski poniósł ogromne straty. Władze carskie zlikwidowały szkołę powiatową, potem drukarnię*

*i majątki ziemskie oraz sumy funduszowe. Klasztor ogłoszony zaszczerpnym – przeznaczonym do kasaty, istniejącym tylko chwilowo do wymarcia zakonników. Zabroniono prowadzenia nowicjatu i przyjmowania kandydatów do życia zakonnego. Interwencja wpływowych ludzi, a szczególnie gorliwej Dionizji Poniatowskiej do samego cesarza spowodowała, że car Mikołaj I zmienił decyzję i klasztor zaliczono do I klasy<sup>9</sup>.*

W 1820 roku skradzione zostały z obrazu Matki Bożej Berdyczowskiej złote korony, darowane przez papieża Benedykta XIV, a także inne kosztowności kościelne. Po ich odnalezieniu skradzione zostały po raz wtóry w roku 1831. Wtedy sędzia Józef Zdziechowski sprawił nowe, złote korony, wykonane już w 1831 roku w berlińskiej firmie S. Friedeberga. Były one kopiami koron ofiarowanych przez Benedykta XIV. Koronacji dokonał bp Michał Piwnicki. Gdy i te zostały skradzione, papież Pius IX nadesłał ufundowane przez siebie korony, tym samym ukoronowano wizerunek po raz wtóry koronami papieskimi. Odbyło się to 6 czerwca 1854 roku. Aktu uroczystej koronacji obrazu dokonał bp Kasper Borowski w stulecie pierwszej koronacji. W uroczystościach uczestniczyło ok. 100 tys. wiernych, zarówno katolików, jak i prawosławnych. Korony zdobyły obraz Matki Boskiej Berdyczowskiej wraz z wymienianymi sukienkami: złotą, srebrną i „różową” bogato haftowaną, do czasu wojny bolszewickiej w 1920 roku. Wówczas zrabowano te cenne dzieła sztuki, skradziono kilka tysięcy wotów, wspaniałe rokokowe srebrne ramy wykonane na pierwszą koronację obrazu, pocięto i przetopiono. Po zniesieniu klasztornej warowni, a także rozwiązaniu garnizonu wojskowego, złodzieje przy nader ograniczonych możliwościach strzeżenia zasobów klasztoru mieli ułatwiony dostęp do jego grabieży z tego, co pozostało po ogołoceniach dokonywanych przez władze zaborcze.

Kasata klasztoru, ostatniego z dawnej prowincji litewskiej i ruskiej (wszystkie pozostałe zostały przez władze zaborcze skasowane) nastąpiła 17 września 1866 roku decyzją generała-gubernatora kijowskiego A.P. Bezaka. Zakonnicy zostali skierowani do parafii, nowicjusze i klerycy dostali się

<sup>8</sup> Szerzej: Wincenty Urban, *Kościół katolicki w Polsce pod zaborami (1815–1918)*, [w:] *Historia Kościoła w Polsce*, red. ks. B. Kumor, ks. Z. Obertyński, Poznań–Warszawa 1979.

<sup>9</sup> B.J. Wanat OCD, *Klasztor...*, op. cit., s. 171.

do seminarium duchownego diecezjalnego w Żytomierzu. Generał-gubernator Bezak zajął klasztor już w 1866 roku. Pomieszczenia klasztorne przeznaczone zostały dla różnych instytucji państwowych oraz na składy i sklepy, a do użytku wiernych pozostawiono kościół i mieszkanie dla księdza. Po śmierci o. Brydyckiego sanktuarium opiekowali się księża diecezjalni.

W 1917 roku kościół i klasztor pokarmeliński objęli jezuici, którzy podjęli prace nad odnowieniem części zabudowań klasztornych i wznowili działalność duszpasterską, ale niewiele mogli osiągnąć, bo już w roku następnym opuścili Berdyczów, gdy przybyli do swojego klasztoru karmelici bosci. W objęciu klasztoru przez karmelitów znaczący udział miała karmelitanka bosa Maria Ksawera z Grochowskich księżna Czarotorska. Do powrotu zachęcił karmelitów bosych bp Ignacy Dubowski w maju 1918 roku w Krakowie. Już w czerwcu przybyło do Berdyczowa trzech krakowskich karmelitów, którzy objęli klasztor i zwrócili jezuitom koszty poniesione przy remoncie obiektu. Karmelici odzyskali kościół i część klasztoru, ale na krótko. Prowadzili prace duszpasterskie w nader trudnych warunkach, w pierwszych latach po rewolucji bolszewickiej. W 1926 roku, po śmierci ostatniego zakonnika o. Terezjasza Sztobryna, komunistyczne władze przejęły klasztor wraz z kościołem na rzecz skarbu państwa. Górny kościół zamieniony został na muzeum ateizmu, w dolnym urządzono kino. Do kościoła górnego wpuszczano za biletami. Obraz Matki Bożej Berdyczowskiej pozostawiono w nim jako zabytek, relikwinię minionych czasów ciemnoty. Inwazja niemiecka na ZSRR w 1941 roku, mimo zawartego w 1939 roku paktu Ribbentrop–Mołotow, była dla Sowietów niemiłym zaskoczeniem. Przed nadejściem wojsk niemieckich do Berdyczowa i opuszczeniu budynków poklasztornych podłożyli oni ogień na wieży (w rzeczywistości w obu wieżach). Najpierw spłonęła wieża nad furką klasztorną, nieco później wieża północna, z której ogień dotarł przez chór kościelny do wnętrza świątyni. Niemcy byli już świadkami pożaru, bo wieża południowa spłonęła przed ich wkroczeniem do klasztoru.

*Charakterystyczne było to, że nikt ognia nie gasił. Niemcy z całym spokojem przypatrywali się, jak niszczyły cenny zabytek*

*(...) Przykro było patrzeć, jak ta wspaniała świątynia padała na naszych oczach pastwą płomieni. Ogień wychodził przez szczyt kopuły. Wieżyczka-latarnia na górze przechyliła się, a potem z łoskotem runęła. Blacha na kopule zwiwała się jak papier, szyby pękały i co chwila padały z brzękiem odłamki szkła na ziemię<sup>10</sup>.*

Rosjanie przed podpaleniem sanktuarium dokonali jego penetracji i grabieży. Niemcy po zajęciu Berdyczowa w kościele górnym urządzili tymczasowe więzienie dla urzędników oraz wojskowych sowieckich, a także dla polskich więźniów politycznych, których przywieziono do Berdyczowa z lwowskich „Brygidek”. W latach 1953–1979 władze sowieckie podjęły, obliczone na szereg lat, prace remontowe i konserwatorskie. Podobno<sup>11</sup> przyczyną tej decyzji była pogłoska, że rodzina słynnego powieściopisarza Honoriusza Balzaka, który przed wiekiem – jak już wspomniano – brał ślub w berdyczowskim kościele św. Barbary, a także nawiedził wraz z małżonką sławne karmelińskie sanktuarium i był nim oraz zgromadzonymi tam zbiorami: wydawnictwami z miejscowej drukarni i archiwaliami w najwyższym stopniu zachwycony – miała teraz zaproponować odbudowę na własny koszt dawnego sanktuarium. Wtedy władze sowieckie, na tak spreycyzowaną propozycję z Francji, uniesione honorem miały odpowiedzieć, że Związek Sowiecki stać też na odbudowę tego zabytku i po swojemu do tego przystąpiły. Chociaż bardzo zniszczone i nadwątlone w swej statyce, ocalały mury świątyni. Na kościele i klasztorze położono nowe więzienia, dachy pokryto blachą, wieże otrzymały utrzymane w dawnym kształcie hełmy. W odnowionym, historycznym gmachu klasztornym umieszczona została szkoła muzyczna i plastyczna. W dolnym kościele, odrestaurowanym niesolidnie i bez niezbędnych prac osuszających, gdzie pozostawiono mocno zawilgoczone mury, urządzono teraz halę sportową, kościół górny zaś, bez jakichkolwiek pozostałości dawnego wystroju wnętrza, bez tynków, posadzki i okien – w całym kompleksie dawnej twierdzy najcenniejszy – czekał na

<sup>10</sup> Józef Kalasanty Paygert, *Dwa razy w niewoli bolszewickiej. Wspomnienia z lat 1939–1941*, Warszawa 1994, s. 128.

<sup>11</sup> B.J. Wanat OCD, *Klasztor...*, op. cit., s. 317.



Warowny klasztor oo. Karmelitów Bosych w Berdyczowie

lepsze czasy. Po rozpadzie ZSRR Stolica Apostolska reaktywowała struktury organizacyjne Kościoła katolickiego, przywracając dawne biskupstwa. Biskupem diecezjalnym w Żytomierzu został mianowany ks. prałat Jan Purwiński. Karmelici boscy z Polski już w ostatnich latach istnienia ZSRR podejmowali pracę duszpasterską na tych terenach, a w 1991 roku zarówno władze zakonne karmelitów bosych, jak i mieszkańcy Berdyczowa podjęli zabiegi o rewindykację świątyni i klasztoru. 15 grudnia 1991 roku władze państwowe w Żytomierzu i Berdyczowie oficjalnie zwróciły mieszkańcom miasta do religijnego kultu zrujnowany gmach kościoła górnego. Pomimo kompletnie zniszczonego wnętrza sanktuarium już od 16 listopada tego roku rozpoczęto tam sprawowanie liturgii. Klucze do kościoła dolnego zostały przekazane 4 grudnia. Poświęcenie kościoła górnego i dolnego odbyło się w uroczystość odpustową Niepokalanego Poczęcia – 8 grudnia, a dokonał tego bp Jan Purwiński, ordynariusz żytomierski. On też przewodniczył uroczystej koncelebrze pierwszej mszy św. w zamkniętej przez 65 lat świątyni. Karmelici boscy z krakowskiej prowincji zakonnej przystąpili do pracy duszpasterskiej, objęli przyklasztorną parafię, obsługę kilku pobliskich odzyskanych bądź wybudowanych od podstaw kościołów i zajęli się niełatwym dziełem restauracji dotkliwie zdewastowanego sanktuarium.

Podczas uroczystości poświęcenia sanktuarium biskup Purwiński zwrócił się do zebranych o przekazanie informacji, a także o pomoc w poszukiwaniu obrazu Matki Bożej Berdyczowskiej. W lipcu następnego roku przybył do Berdyczowa z Krakowa o. Tomasz Zarzecki, któremu zakonny prowincjał zlecił, obok działalności duszpasterskiej, kierowanie pracami remontowo-budowlanymi oraz we współpracy z urzędem generalnego konserwatora zabytków w Kijowie – pracami konserwatorskimi. Miejscowe władze, wbrew zgłaszanym deklaracjom, niespiesznie udzielały pomocy w kwestiach podstawowych – m.in. wyrażenia zgody na przydzielenie zakonnikom pustej oficyny i pomieszczeń dawnej klasztornej drukarni na potrzeby przyklasztornej parafii i skromnych pomieszczeń dla kilku karmelitów. W tej sytuacji zakon zmuszony był zakupić w 1994 roku niewielkie mieszkanie w bloku, w przeświadczeniu, że będzie to stan przejściowy.

Restauracja i rewaloryzacja kościoła była zadaniem nader trudnym i złożonym. Wysokiej klasy zabytkowej i architektonicznej obiekt był nie tylko głęboko zaniedbany i wyniszczony zębem czasu, działaniami wojennymi, strasznym pożarem, ale także bezprzykładną grabieżą i systemowym wyniszczeniem wszystkiego, co znajdowało się w jego wnętrzach. Rabunek bezcennych zasobów kulturalnych w srebrze, złocie

i drogich kamieniach naturalnych stanowi w tym względzie odrębne miejsce. Należało, pod okiem ukraińskich służb konserwatorskich, ale i w oparciu o wskazania polskich, znacznie lepiej na ogół przygotowanych merytorycznie fachowców, przygotować dokumentację o charakterze wielozadaniowym, z szerokim uwzględnieniem potrzeb stwierdzonych na miejscu. Program restauracji dolnego kościoła opracowała Politechnika Kijowska, a wykonawstwo prac zlecono ekipie budowlano-remontowej z uprawnieniami konserwatorskimi z Żytomierza. Dolny kościół – do niedawna hala sportowa – odsłonił rychło stan katastrofalnego zawilgocenia murów, spotęgowanego zasypaniem podziemi kościoła i pierwotnych kanałów wentylacyjnych. Skutki zwilgocenia były dotkliwe i różnorodne, a i niebezpieczne dla życia ludzkiego. Pod kierunkiem fachowców, m.in. z Polski, i nadzorem konserwatorskim prace te zostały wykonane w 1995 roku. Równocześnie prowadzono prace przy wymianie pokrycia dachowego, a w 1996 roku otynkowano oraz pomalowano wewnątrz kościoła dolnego, w którym w miejsce podłogi założono posadzkę. W odniesieniu do kościoła górnego najpierw w latach 1994–1995 dokonano restauracji fasady i pozostałych zewnętrznych elewacji świątyni, a następnie podjęte zostały prace tynkarskie i sztukatorskie w jego wnętrzu. Kosztowne te prace, z uwzględnieniem wymogów konserwatorskich przy kamieniarce i sztukateriach wysokiej rangi artystycznej, a bardzo zniszczonych, wykonane zostały przy znaczącej pomocy finansowej zagranicznych podmiotów kościelnych oraz indywidualnych darczyńców. Prace te w wielu przypadkach miały charakter interwencji konstrukcyjnej, bo stan świątyni był katastrofalny. Podjęte zostały – zgodnie z wcześniej ustalonym harmonogramem – prace nad wyposażeniem kościoła górnego: malowanie ścian, ułożenie marmurowej posadzki, instalacja pełnego wystroju, tak aby latem 2008 roku sanktuarium mogło być gotowe do sprawowania w nim czynności kultowych. Władze miejskie Berdyczowa przeprowadzały na własny koszt restaurację murów obronnych twierdzy-klasztoru od strony fasady kościoła. Zakon odzyskał po długich staraniach plac kościelny i niewielką liczbę pomieszczeń wymagających kapitalnego remontu, dla

funkcjonowania sanktuarium bardzo przydatnych.

Daremne – jak dotąd – okazały się próby odnalezienia wizerunku Matki Bożej Berdyczowskiej czy ustalenia okoliczności jego zagłady. W tej sytuacji prowincjał karmelitów bosych już jesienią 1990 roku zlecił namalowanie kopii cudownego obrazu, celem umieszczenia go w sanktuarium. Autorką kopii była artystka malarka i konserwatorka Bożena Mucha-Sowińska z Krakowa – Nowej Huty, mająca w tym względzie dobre przygotowanie warsztatowe i doświadczenie konserwatorskie. Nowy obraz, namalowany na płótnie naklejonym na jednolitej płycie – wodoodporną sklejkę, jest większy (o wymiarach 143×93 cm) od oryginalnego wizerunku.

*Artystka – stwierdza o. Benignus J. Wanał – nie trzymała się niewolniczo oryginału. Dokonała udanej trawestacji z własną interpretacją tła obrazu, wzbogacając je figuralnymi kompozycjami aniołów wokół głowy Madonny i Dzieciątka Jezus oraz umieszczając w zwieńczeniu oko Opatrzności Bożej w trójkącie*<sup>12</sup>.

Obraz ten został uroczysto poświęcony przez papieża Jana Pawła II podczas jego pielgrzymki do Polski 9 czerwca 1997 roku w kościele św. Jadwigi Królowej – w obecności delegacji karmelikańskiej parafii z Berdyczowa. 20 lipca tego roku został on uroczysto intronizowany w sanktuarium berdyczowskim przez bp. Żytomierskiego ks. Jana Purwińskiego. Biskup ogłosił publicznie, że Jan Paweł II dekretem z dnia 10 marca 1997 roku wyraził zgodę na koronację na prawie papieskim i wyznaczył datę koronacji: 19 lipca 1998 roku. Wobec trwających, a obliczonych na kilka jeszcze lat prac remontowych i konserwatorskich w kościele górnym – historycznym sanktuarium Matki Bożej Berdyczowskiej, wizerunek umieszczony został tymczasowo w kościele dolnym. W uroczystościach koronacyjnych, poprzedzonych dziewięciodniową nowenną, uczestniczyło ok. 15 tysięcy osób przybyłych do Berdyczowa z różnych rejonów Ukrainy, a także z zagranicy. Miejscem tych uroczystości był rozległy plac przed murami fortecznymi klasztoru.

<sup>12</sup> Ibidem, s. 146.

**Dominik Filipek**

# O. Wenanty Józef Katarzyniec OFMConv (1889–1921)

**S**ejm Rzeczypospolitej Polskiej ustawa z dnia 7 kwietnia 2017 roku podjął decyzję o organizacji narodowych obchodów setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości. W nowelizacji tejże ustawy z 4 lipca 2019 roku podjęto decyzję o przedłużeniu działalności Komitetu Narodowych Obchodów Setnej Rocznicy Odzyskania Niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej do 2022 r. Do tej pory podjęto się organizacji szeregu bardzo cennych przedsięwzięć mających na celu przypomnienie zasług ojców niepodległości, podkreślenie znaczenia walki orężnej, niezastąpionej roli dyplomatów, wreszcie wysiłku i ofiary milionów obywateli w trudnych latach I wojny światowej oraz wojny polsko-bolszewickiej. Na ocalanie od zapomnienia wielu wybitnych postaci tamtego okresu, nieznanych szerszemu gronu odbiorców, warto poświęcić w tym kontekście nieco uwagi.

Na odzyskanie niepodległości po 123 latach zaborów złożyło się wiele czynników szeroko opisywanych przez badaczy. Wybitną rolę w przetrwaniu i rozwoju tożsamości narodowej odegrał Kościół katolicki. Parafie, klasztory i sanktuaria, zwłaszcza na tzw. prowincji, scalały małe społeczności, niekiedy poddawane presji obcej kultury. Do grona szerzej znanych duchownych z tamtego okresu dołącza w ostatnich latach o. Wenanty Katarzyniec OFMConv. Żyjący na przełomie stuleci syn ziemi lwowskiej coraz wyraźniej przyciąga uwagę czytelników, pielgrzymów i osób przemierzających okolice położonej tuż nad polsko-ukraińską granicą Kalwarii Paclawskiej. 31 marca 2021 roku minie sto lat od jego śmierci.

## **OBYDÓW – KAMIONKA STRUMIŁOWA – LWÓW**

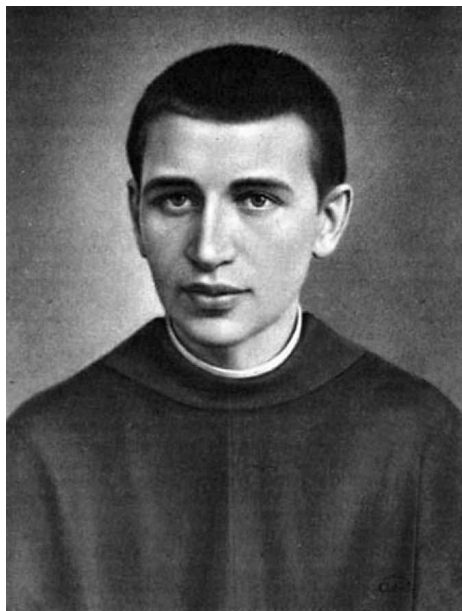
Józef Katarzyniec przyszedł na świat 7 października 1889 roku w miejscowości Obydów. Kilka dni później został ochrzczony w kościele parafialnym w Kamionce Strumiałowej (obecnie Kamionka Bużańska). Jego



rodzice Jan i Agnieszka (z domu Kozdrowicka) zajmowali się niewielkim gospodarstwem rolnym, które nie przynosiło dochodów stosownych do potrzeb rodziny. Dlatego Jan Katarzyniec dorabiał jako krawiec. Razem tworzyli w domu bardzo religijną atmosferę, która ukształtowała charakter syna.

Okolice Obydowa i Kamionki Strumiałowej były zróżnicowane wyznaniowo i narodowo. Oprócz Polaków zamieszkiwali je grekokatolicy (uczęszczający do cerkwi św. Mikołaja) oraz Żydzi, posiadający tam od setek lat bożnicę.

Dzieciństwo Józefa Katarzynca nie różniło się zasadniczo od tego, które było udziałem innych wiejskich dzieci. Jak wskazują badacze, w tamtych czasach dzieci chłopów bardzo wczesnie angażowano we wspólny wysiłek utrzymania rodziny. Wynikało to z surowych warunków życia oraz z optyki społecznej zasadniczo odmiennej od współczesnej. Człowieka postrzegano bardziej jako część rodziny, społeczności, w której nabywa tożsamości i ją kształtuje. Indywidualne cechy i charakter jednostki wzrastały w bardziej zdecydowanych powiązaniach społecznych.



W 1896 roku Józef przystępuje do I komunii św. i po raz pierwszy oznajmia rodzicom chęć zostania księdzem. Pomimo trudnych warunków życia rodzice postanawiają pomóc chłopcu w realizacji śmiałych planów. W 1898 r. posyłają go do pięcioklasowej szkoły w Kamionce. Po jej ukończeniu stanęli przed dylematem, ponieważ do realizacji planów syna konieczne było ukończenie przynajmniej gimnazjum albo niższego seminarium duchownego, te zaś znajdowały się we Lwowie – nieosiągalnym finansowo. Postanowili posłać go do trzyletniej szkoły wydziałowej w Radziechowie, gdzie naukę rozpoczął od razu w trzeciej klasie. Ukończenie szkoły wydziałowej dawało możliwość podjęcia nauki w seminarium nauczycielskim. Katarzyńcowie upatrywali w tym szansy dla syna na wyrwanie się z kręgu biedy i awans społeczny. Józef jednak konsekwentnie dążył do realizacji pierwotnego zamierzenia. Na kolejnych etapach edukacji doświadcza trudnych warunków życia, wynikających z konieczności pokonywania sporych odległości piechotą oraz z ubóstwa (skromna stancja, brak funduszy na realizację podstawowych potrzeb). W 1904 roku wstępuje do męskiego seminarium nauczycielskiego we Lwowie. Tutaj sytuacja materialna nieco się poprawia (choć nadal nie jest zadowalająca), ponieważ uczniowie

otrzymują skromne stypendia od państwa. Seminarium mieściło się przy ulicy 29 Listopada; natomiast internat, w którym mieszkał Józef – przy ulicy Leona Sapiehy 33. Nadal zasadniczym źródłem motywacji dla Józefa pozostaje wiara. Systematycznie odwiedza kościół Sióstr Franciszkanek od Najświętszego Sakramentu przy ul. Kurkowej.

Rok 1907 przynosi Józefowi nowe trudności natury finansowej. W nauce zaczyna odnotowywać słabsze niż dotychczas wyniki. W tym również roku podejmuje pierwszą próbę wstąpienia do Zakonu Braci Mniejszych Konwentalnych. Prowincjał (o. Peregryn Haczela, który swoimi kazaniem nakłonił Rajmunda Kolbego do wstąpienia do lwowskiego Małego Seminarium) oddał jednak jego prośbę o przyjęcie, polecając dokończenie nauki w seminarium nauczycielskim, zdanie matury i dostateczne opanowanie języka łacińskiego. Rok później – po wypełnieniu postawionych warunków – zgłasza się ponownie. Wówczas zostaje przyjęty do zakonu i zgłasza się do lwowskiego klasztoru franciszkanów konwentalnych w sierpniu 1908 r. Tutaj spotyka po raz pierwszy późniejszego świętego i swojego przyjaciela, Maksymiliana Kolbego.

25 sierpnia, po odbyciu wstępnych rekolacji, Józef Katarzyniec przyjmuje franciszkański habit, a wraz z nim zakonne imię Wenanty. W nowicjacie współbracia obserwują ponadprzeciętną gorliwość młodego nowicjusza. W wypełnianiu codziennych obowiązków zakonnych oraz wykorzystaniu czasu na modlitwę i osobiste studium wyraźnie wyróżnia się pośród współbraci. Po ukończeniu rocznego nowicjatu i złożeniu trzyletnich ślubów zakonnych Wenanty rozpoczyna kolejny etap zakonnej formacji w Krakowie.

### **KRAKÓW – LWÓW – KALWARIA PACŁAWSKA**

Pod koniec 1909 r. Wenanty wraz ze współbraćmi rozpoczyna studia w odrodzonym w 1892 r. Franciszkańskim Studium Filozoficzno-Teologicznym. Pierwsze lata życia zakonnego Wenantego przypadają na okres intensywnej reformy wspólnoty franciszkańskiej na ziemiach polskich, której kondycja duchowa wyraźnie osłabła w latach zaborów. W krakowskim klasztorze Wenanty uczy się na wykłady m.in. kapłanów, którzy zdo-



byli odpowiednie kwalifikacje teologiczne w Rzymie w czasie renesansu tomizmu i scholastyki. Neoscholastyka była trafną odpowiedzią na sceptycyzm filozoficzny, zdobywający szerokie poparcie wśród ówczesnych intelektualnych elit. Wielkość myśli św. Tomasza z Akwinu tkwi m.in. w docenieniu ludzkiego intelektu i szerokich możliwości ludzkiego rozumu otwartego na Boże Objawienie. Młody adept zakonu św. Franciszka z pewnością zapoznawał się z tematami najistotniejszych dysput teologicznych tamtych czasów.

8 grudnia 1913 r. Wenanty składa wyczystą profesję zakonną. 2 czerwca 1914 r. w kaplicy Matki Bożej Bolesnej bazyliki franciszkańskiej w Krakowie przyjmuje święcenia kapłańskie. Szafarzem święceń jest ks. Anatol Nowak, biskup pomocniczy diecezji krakowskiej. Tym samym zostaje zwieńczona jego długa i trudna droga do realizacji postanowienia powziętego przed laty. Krótko po tej uroczystości, w lipcu 1914 r., Wenanty zostaje skierowany na krótko do Kalwarii Pałacowskiej. Następnie odwiedza rodzinny Obydów, gdzie dowiadyuje się o wybuchu wojny. Prędko w te okolice docierają wojska rosyjskie, których przybycie budzi powszechne przerażenie miejscowej ludności, która ma zamiar salwować się ucieczką. Wenanty pozostaje w tym czasie ze swoimi rodakami i jako duchowny dodaje im otuchy, sprawując dla nich sakramenty i głosząc słowo Boże. Z relacji świadków tamtych wydarzeń wynika, że w oddziałach rosyjskich znajdowało się sporo Polaków, którzy z entuzjazmem przyjęli obecność o. Wenantego wśród ludności okolic Obydowa.

W sierpniu 1914 r. Wenanty dociera do Lwowa. Z polecenia przełożonych podejmuje się pracy duszpasterskiej w parafii w Czyszkach, której tradycje sięgają roku 1420 i czasów abpa lwowskiego Jana Rzeszowskiego. Tutaj odznacza się niezwykłą gorliwością w wypełnianiu dusz-

pasterskich obowiązków. Bierze na siebie główny ciężar i niebezpieczeństwo związane z odwiedzinami chorych parafian, których dotyczą szerzące się choroby zakaźne: czerwonka i cholera. W pamięci parafian pozostają również jego płomienne kazania, w których nie stroni od wyjaśniania najważniejszych kwestii teologicznych.

We wrześniu 1915 r. o. Wenanty obejmuje funkcję magistra nowicjatu we Lwowie. Wśród nowicjuszy powierzonych jego pieczy znajduje się Józef (Alfons) Kolbe. Oprócz tej funkcji, zostaje mu powierzona formacja braci zakonnych. Regularnie głosi kazania i spowiada w lwowskim kościele braci franciszkanów.

W klasztorze sióstr franciszkanek Rodziny Maryi udziela lekcji katechizmu oraz spowiada w zakładzie dla niepełnosprawnych prowadzonym przez siostry józefitki. Po roku intensywnej pracy w wyżej wymienionych miejscach przełożeni powierzają mu również formację intelektualną braci, którzy ukończyli nowicjat, ale z racji działań wojennych nie mogli dotrzeć na studia do Krakowa. Rok 1917 jest czasem pierwszych poważnych problemów zdrowotnych zakonnika, który mimo stopniowej utraty sił nie rezygnuje z wytrwałej pracy. W 1918 r. przełożeni stopniowo ograniczają zakres jego obowiązków. We wrześniu tego roku pełni zaszczytną i odpowiedzialną rolę delegata na kapitułę prowincjalną. W tym również roku do klasztoru lwowskiego przybywają z Krakowa kolejni wykładowcy, a o. Wenanty pozostaje magistrem braci nowicjuszy i kleryków.



Pamiętka mszy świętej Prymicyjnej o. Wenantego

Zdiagnozowana u o. Katarzyńca gruźlica postępuje, stopniowo pozbawiając go sił. Dzięki podejmowanym działaniom medycznym udaje mu się prowadzić wiele działań duszpasterskich. W ostatnim okresie życia zaczyna korespondować z o. Maksymilianem Kolbem, angażując się w tworzenie Rycerstwa Niepokalanej. Jego udział w tym przedsięwzięciu to nie tylko znajdowanie nowych członków Rycerstwa na terenie Lwowa, ale również sugestie merytoryczne i wsparcie modlitewne w chwilach finansowych kłopotów o. Maksymiliana.

W sierpniu 1920 r. o. Wenanty, osłabiony postępującą chorobą, wyjeżdża do Kalwarii Paclawskiej. Tam umiera 31 marca 1921 r. 2 kwietnia odbywa się jego pogrzeb, w którym uczestniczą nieliczni wierni i współpracownicy.

## PRZESŁANIE

W 1950 r. rozpoczął się proces beatyfikacyjny o. Wenantego Katarzyńca. W 2016 r. papież Franciszek zaaprobował publikację dekretu o heroicznosci cnót kandydata na ołtarze, któremu od tej pory przysługuje tytuł Czcigodnego Sługi Bożego. Miejscem rozwijającego się kultu o. Katarzyńca jest położona obecnie na Podkarpaciu (tuż przy granicy z Ukrainą, około 120 km od Lwowa) Kalwaria Paclawska.

Ze świadectw wiernych odwiedzających jego grób i proszących go o wstawiennictwo wynika, że o. Wenanty szczególnie wstawia się za osobami przeżywającymi kłopoty finansowe, dezintegrację rodziny lub uwikłanie w grzech. Są to obszary, w których sam wiele doświadczył: bieda, oddalenie od rodziny już w młodym wieku oraz wytrwałość w spowiadaniu niezliczonych wiernych. Zaskakujące, że człowiek sprzed stu lat może inspirować współczesnych. Skoncentrowani na pomnażaniu zasobów finansowych i pogoni za wyższym statusem społecznym wierni mogą odkryć w o. Wenantym towarzysza ich finansowych strapiień, odnajdując jednocześnie drogę do wiary i stosownej hierarchii wartości.

W kontekście przywołanej na wstępie rocznicy odzyskania niepodległości warto zauważyć, że liczne zakony i organizacje kościelne wybitnie przyczyniły się do zachowania narodowej tożsamości i kulturowego

dziedzictwa Polaków. Wśród nich z pełnym przekonaniem można wymienić o. Wenantego Katarzyńca, który wiernym wypełnianiem obowiązków swojego stanu oddał Kościołowi i Polsce pełnię entuzjastycznego i heroicznego zaangażowania, realizując wzniosłą pracę w obszarze ludzkiej duszy.

Papież Benedykt XVI w 15. numerze encykliki *Spe salvi* pisze:

*Według [św. Bernarda z Clairvaux] mni- si mają zobowiązanie wobec całego Ko- ściola, a w konsekwencji również świata. (...) Odnosi do nich słowa Pseudo-Rufina: „Rodzaj ludzki żyje dzięki nielicznym; gdy- by ich nie było, świat przestałby istnieć...”. Mówi: prowadzący życie kontemplacyjne – contemplantes, powinni stać się rolnika- mi – laborantes. Uszlachetniająca funkcja, przejęta przez chrześcijaństwo z dziedzic- twa judaizmu, pojawia się już w regułach monastycznych Augustyna i Benedykta. (...) Bernard mówi wyraźnie, że nawet klasz- tor nie może na nowo ustanowić raju, ale też utrzymuje, że klasztor, niejako miejsce, gdzie orze się ziemię i kształtuje ducha, ma przygotowywać nowy raj. Obszar dzikiego lasu staje się żyznym gruntem, gdy zostają powalone drzewa pychy, gdy wy- korzenia się to, co dzikie w duszy, i w ten sposób przygotowuje się teren, na którym może wyrosnąć chleb dla ciała i dla duszy. Czyż patrząc na współczesne dzieje, nie przychodzi nam stwierdzić, że nie uda się stworzyć pozytywnego porządku świata tam, gdzie dziczej dusze?*

## Bibliografia

- T.P. Terlikowski, *Wenanty Katarzyniec. Polski Szarbel*, Kraków 2018
- A.S. Jasiński OFM, *Prorok ze Lwowa. Rzecz o Wenantym Katarzyńcu*, Kraków 2020
- C. Niezgoda, *Cichy bohater. O. Wenanty Katarzyniec (1889–1921)*, Kraków 1995
- P. Paradowski OFMConv, *Ojciec Wenanty Józef Katarzyniec OFMConv (1889–1921) jako ka- znodzieja*, Kraków 2020
- Wenanty Katarzyniec. Zwyczajne życie – niezwy- kły człowiek. Biografia* (opr. E. Staniukiewicz OFMConv), Kraków 2017
- Wenanty Katarzyniec (1889–1921). Świadectwa* (opr. Piotr Paradowski OFMConv), Kraków 2019
- Wenanty Katarzyniec (1889–1921). Listy* (opr. E. Staniukiewicz OFMConv), Kraków 2020

Antoni Wilgusiewicz

# Batak semper fidelis

p. Annie Woś, jednej z osób, dzięki którym batak wciąż żyje, poświęcam

Z czasem wykształciła się lwowska wspólnota przedmiejsko-plebejska i jej mowa. Pod koniec XIX w. gwara miejska Lwowa była już w rozkwicie. Lwów wtedy stał się europejską aglomeracją miejską ze swoim miejskim folklorem i ulicznymi piosenkami. Po II wojnie światowej gwara ta zniknęła z miasta w wyniku drastycznego spadku liczby ludności mówiącej po polsku na tych terenach.

WIKIPEDIA:

A

Ajnbruch – włamanie

Aliwo – ale skąd

Amant – kochanek

Akademik – student uczelni wyższej

Andruty – wafle

Ancug – garnitur

Aus – koniec

Tak do niedawna mówiono... gdzie? W Bytomiu, Gliwicach, we Wrocławiu. Teraz co najwyżej w rezerwacie dla kresowian pod nazwą Lwowska Fala. Radio Katowice... O lekcje batak dla dzieci i młodzieży – w odróżnieniu od śląskiej godki – nikt nie zabiega, choć czasem organizuje się jakiś przegląd czy festiwal piosenki kresowej, gdzie się on pojawia w wykonaniu młodych ludzi. Nie oszukujmy się, batak jest już zabytkiem językowo-historycznym, podobnie jak gwara warszawska utrwalona przez Wiecha czy Grzesiuka – i nie jest to tylko wina nieszczęsnej Jałty. Komu tym bardziej przyszyłoby do głowy szukać go tam, gdzie się narodził i skąd został przepędzony, jak stwierdza cytowana na wstępie Wikipedia? Na miejsce ekspatriowanych ze Lwowa Polaków napłynęła ludność ze wschodu, o często niesprecyzowanej świadomości narodowej – tak zwani ludzie sowieccy (opisał to w swojej znakomitej książce *Anatomia strachu* młody historyk Damian Markowski). Z tradycją miejską Lwowa mieli oni tyle wspólnego co z kulturą prekolumbijską; dotyczy

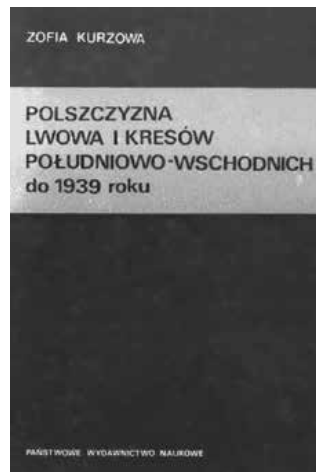
to oczywiście także gwary, czyli batak Lwowskiego. Tak to ogólnie rzecz wygląda, ale... no właśnie, pojawia się „ale”. Przy okazji jednego z pobytów we Lwowie nabyłem niewielką książeczkę, której tytuł w tłumaczeniu na język polski brzmi: *Pamiętka ze Lwowa. Przyjechałeś do Lwowa – naucz się kilku lwowskich słów*. Autorka

Lubow Panczyszyn, wydawnictwo Centrum Europy. Dla wszystkich umiejących odczytać współczesny alfabet ukraiński – nie ten sam co rosyjski! – książeczka stanowi sporą niespodziankę. W formie bogato ilustrowanej pogadanki zapoznaje przybyłych do Lwowa Ukraińców z językiem lwowskim (?), a przynajmniej jego słownictwem. I co się okazuje? Język ten brzmi dziwnie znajomo nie tylko dla starych lwowiaków, ale i dla wszystkich Polaków. W tekście ukraińskim słowa „lwowskie” są podane wytłuszczonym drukiem; wygląda to mniej więcej tak (w przekładzie tekstu ukraińskiego na polski): Starszy pan czy pani **w pantoflach i paradnym szlafroku** będzie siedzieć w **wygodnym fotelu** stojącym niedaleko od **pieca**. Tatko na pewno będzie w **kamizelce** czy **marynarce**, mamcia w **sukience** i **mesztach na obcasach...**

Tekstowi towarzyszy słowniczek, gdzie znajdujemy wyjaśnienie słów użytych w tekście, na przykład:

**koc**: przeważnie wełniany wyrób do przykrywania się podczas snu;

**tapczan**: dywan (co po rosyjsku i ukraińsku oznacza oczywiście tapczan!) lub bardziej swojsko: kanapa;



**pokój:** kimnata;

**przedpokój:** korytarz;

**nakaslik** (zapomniany już w polszczyźnie nabytek z niemieckiego) – tumboczka.

Swojsko brzmi **dziadzio**, **ciocia**, **wujko** i **stryjko** – przy czym te dwie kategorie rozróżnia się, o czym we współczesnej polszczyźnie praktycznie zapomniano – wujek to wujek!

**Lody** to moroziwo, **prezenty** – podarunki, **zabawki** – igraszki, a **od bidy** – w gorszym przypadku, jak nie ma innego wyjścia.

Od razu nasuwa się pytanie: czy jest to język używany we współczesnym Lwowie – nie przez miejscowych Polaków, oczywiście? Wygląda na to, że tak, bo autorka zapewnia nas, że **dzieciska** bawiące się na **tapczanie** są ubrane w wyszywanki z niebiesko-żółtymi **kutasikami!**

Książeczka nie jest jednorazowym wytworem fantazji autorki, jak ktoś mógłby sądzić. Tego rodzaju słowniki lwowsko-ukraińskie są publikowane w Internecie; jest to związane szczególnie z tzw. Świętem Batiara, co opisuje Jacek Jan Pawlik w artykule *Lwowskie „Święto Batiara” – nowa kultura miejska na kanwie tradycji* [w:] *Journal of Urban Ethnology*, nr 14/2016.

Artykuł jest próbą odpowiedzi na pytanie, na ile *Święto Batiara* jest przywróceniem starej tradycji, a na ile wytworem całkiem nowym. Figura *batiara*, w historii międzywojennego trzydziestolecia ściśle związana ze Lwowem, miała wydzźwięk narodowy. Dziś, kiedy Lwów należy do Ukrainy, fakt ten jest siłą rzeczy przemilczany. *Batiar* przybiera charakter ponadnarodowy, a *Święto Batiara* daje okazję do zabawy i promocji miasta. Zastąpienie obchodów 1 Maja przez *Święto Batiara* oznacza również przesunięcie akcentu z pochwały klasy robotniczej na *wspólnotę rozrywki*.

Bałak, język używany przede wszystkim przez *batiarów*, znakomicie wpisuje się w tę konwencję. We Lwowie, po odrzuceniu sowieckości, przy niemożliwym do wprowadzenia na szerszą skalę odwołaniu się do ukraińskiej tradycji ludowej, pozostaje polska tradycja miasta, ukryta za „galicyjskością”, a także *batiarem* i jego *bałakiem*, oderwanymi od swoich polskich korzeni. Dla nas Polaków jest to jednak dowód, że *Bałak Semper Fidelis*, bo *Leopolis Semper Fidelis!* A ja osobiście, ubierając w niedzielę przed wyjściem do kościoła *meszty*, jak czynił to mój śp. Ojciec, odczuwam małą, prywatną satysfakcję...



Kamil Woźniak

# Do Kosowa, tłusty bracie!

W ramach 5. Dni Kultury Polskiej w Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego w Iwano-Frankiwsku, dawnym Stanisławowie, pokazano wystawę „Do Kosowa, tłusty bracie!” autorstwa Natalii Tarkowskiej. Celem wystawy było ukazanie dziedzictwa historyczno-kulturowego, architektonicznego, przyrodniczego i kulinarnego dawnego Zakładu Przyrodoleczniczego doktora Apolinarego Tarnawskiego w Kosowie na Pokuciu. Niedysiejsza doniosła rola lecznicy w kształtowaniu polskiej kultury odeszła niemal zupełnie w zapomnienie. To z pozoru zwykłe uzdrowisko, a właściwie niewielka lecznica, która musiała konkurować z setkami innych, popularnych wówczas uzdrowisk, odegrało niebagatelną rolę w kształtowaniu kultury polskiej. Od momentu powstania



w 1893 roku aż do roku 1939 lecznica pełniła rolę ważnego ośrodka kulturalnego skupiającego środowiska patriotyczne. Ignacy Wieniewski, historyk literatury i filolog klasyczny, dawny pacjent doktora Tarnawskiego, pisał po latach: *Bo Kosów nie był zwykłym uzdrowiskiem, jak Krynica czy Truskawiec. Był on cegiełką w gmachu kultury narodowej – piękną, wartościową, oryginalną i bardzo polską.* Lecznica doktora Tarnawskiego była bez wątpienia ze wszech miar wyjątkowym zjawiskiem, które odcisnęło swoje piętno na



nurcie myślowym, stylu życia i twórczości ówczesnego społeczeństwa.

Wielu z nas nie ma świadomości, że prawie sto lat temu na Kresach II RP istniało miejsce, w którym propagowano trendy zyskujące współcześnie coraz większą liczbę zwolenników. Oglądając wystawę, odbędziecie podróż w czasie, która przekona Was, że wegetarianizm, joga, aerobik i solarium to nie są współczesne wynalazki. Takie metody już pod koniec XIX wieku stosował doktor Apolinary Tarnawski. Aktualność idei propagowanej przez doktora Tarnawskiego sprawia, że staje się nam bliska. Przynajmniej z tego powodu powinniśmy się pochylić nad tym dziedzictwem i otoczyć je swoją opieką. Zatem „Do Kosowa, tłusty bracie! Tam zwitczesz na sałacie” – jak mawiali żartobliwie kosowscy pacjenci.





Domek Mazurski, 1936, fot. Henryk Poddębski,  
Narodowe Archiwum Cyfrowe

Natalia Tarkowska

## Zagrożone skarby architektury uzdrowiskowej. Pożar w dawnej lecznicy doktora Tarnawskiego

**Pożar częściowo strawił zabytkowy „Domek Mazurski” będący częścią zabudowy dawnego Zakładu Przyrodoleczniczego doktora Apolinarego Tarnawskiego we wsi Smodna, nieopodal Kosowa na Pokuciu.**

Zakład Przyrodoleczniczy doktora Apolinarego Tarnawskiego powstał w 1893 roku. Stanowił popularne miejsce wypoczynku elit i był ważną placówką odwołującą się do kultury i patriotyzmu. Celem doktora Tarnawskiego było duchowe i fizyczne uzdrowienie społeczeństwa. Leczył pacjentów słońcem, wodą, ruchem i dietą jarską. Na kurację przyjeżdżali tu m.in.: Gabriela Zapolska, Maria Dąbrowska, Ferdynand Ossendowski, Lucjan Rydel, Juliusz Osterwa, Hanka Ordonówna,

Roman Dmowski, Wojciech Korfanty, Ignacy Daszyński oraz inni przedstawiciele świata kultury i polityki.

Lecznica funkcjonowała aż do 17 września 1939 roku, kiedy to Tarnawscy zostali zmuszeni do opuszczenia Kosowa i udali się na emigrację. Po wojnie nigdy już tam nie powrócili. Doktor Tarnawski zmarł w 1943 roku w Jerozolimie, a jego żona i dzieci w Wielkiej Brytanii. Za sowieckiej Ukrainy w miejscu dawnej lecznicy utworzono sanatorium dziecięce, które działa do dziś.

22 października tego roku o godzinie 17:32 na numer alarmowy ukraińskiej Państwowej Służby Ratowniczej Ukrainy zatelefonowano z informacją, że na terenie Sanatorium „Kosów” płonie jeden z budynków. Płonąca drewniana willa, częściowo oszalowana deskami, wyróżniała się krytą zewnętrzną klatką schodową oświetlaną rzędem kwadratowych okienek umieszczonych schodkowo. Przez doktora Tarnawskiego została nazwana „Domkiem Mazurskim”. Strażacy ugasili pożar, który zniszczył piętro i poddasze. Jako oficjalną przyczynę pożaru podano zwarcie instalacji elektrycznej.

W związku z tym incydentem warto wspomnieć, że w czerwcu tego roku decyzją Ministerstwa Ochrony Zdrowia Ukrainy został wyburzony murowany budynek „Łazienek”. W opinii dra inż. arch. Włodzimierza Witkowskiego – członka Izby Architektów RP i Polskiego

Pożar Domku Mazurskiego, październik 2020, fot. materiały prasowe Departamentu Państwowej Służby Ratowniczej Ukrainy w obwodzie iwanofrankińskim, fot. Wasyl Kowaluk

Komitetu Narodowego Międzynarodowej Rady Ochrony Zabytków ICOMOS oraz historyczki sztuki Katarzyny Tur-Marciszuk – pracownicy Wydziału Inspekcji Zabytków Ruchomych Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Zabytków w Lublinie, budynek mieszczący łaźienki był najbardziej interesującym i unikalnym obiektem sanatoryjnym, jaki kiedykolwiek spotkali, zarówno ze względu na zastosowane rozwiązania architektoniczne, jak i użytkowe.

Zabytek już od wielu lat był w opłakanym stanie i zdaniem pracowników ministerstwa stwarzał zagrożenie dla bezpieczeństwa dzieci przebywających na kuracji w sanatorium. W 2016 roku podjęto pierwszą próbę wyburzenia, lecz dzięki interwencji lokalnych władz została ona wstrzymana. Zrebrana została jedynie drewniana weranda okalająca budynek. Zadeklarowano wówczas, że budynek nie będzie wyburzony, jeśli znajdą się środki na jego zabezpieczenie, a elementy drewnianej werandy obiecano uchronić przed zniszczeniem do czasu ewentualnej renowacji. Tymczasem budynek zrównano z ziemią i nie zadano sobie trudu, by zabezpieczyć i zachować dla potomnych choćby cenne elementy zabytku, takie jak ozdobne kafle z attyki budynku, które wg inwentaryzacji przeprowadzonej przez wyżej wymienionych badaczy posiadały sygnatury fabryki Jana Lewińskiego.

Te smutne i bulwersujące zdarzenia mają miejsce pomimo tego, iż w 1993 r. cały zespół budynków dawnej lecznicy został wpisany do rejestru jako zabytek architektury lokalnego znaczenia. Ze smutkiem należy skonstatować, że wpis do rejestru nie uchronił cennej zabudowy od systematycznej degradacji, nie tylko w wyniku warunków atmosferycznych i zaniedbania, lecz także z powodu niekorzyst-



Wyburzenie łaźienek, czerwiec 2020,  
fot. Bohdan Pawluk



nych przekształceń. Tak postąpiono z willami „Białą”, „Celiną”, „Główną” oraz halą gimnastyczną. Budynek ten bezpowrotnie pozbawiono oryginalnych elementów drewnianej snycerki.

Słowa oburzenia cisną się na usta również w kierunku polskich władz, które nie podejmują żadnej interwencji, by zachować ten wartościowy kompleks zabytków. Z 12 wybudowanych przez Tarnawskiego z wielkim trudem budynków pozostało 10. Z czego w prawie niezmiennym, choć tragicznym stanie, trwają do dziś zaledwie 4 budynki. Są to wille „Koliba”, „Jasna”, „Teresa” i „Jadalnia”. Niegdyś tworzyły harmonijną kompozycję z otaczającym je parkiem i sadem, przywołując na myśl klimat wiejskiego dworu. Dziś są ostatnimi świadectwami dawnej świetności tego miejsca.

To ostatni dzwonek, by podjąć działanie. Każdy kolejny rok przynosi ze sobą ryzyko utraty tych cennych zabytków architektury. Jeśli sam fakt istnienia tych kruchych, drewnianych budynków na przekór niekorzystnym wichrom historii nikogo nie wzrusza, to może poruszy kogoś przypuszczenie, że budynki te mogły być zaprojektowane przez wybitnych architektów i teoretyków sztuki, takich jak Kazimierz Mokłowski czy Stanisław Witkiewicz. Na tego pierwszego wskazuje we wspomnieniach córka Tarnawskiego oraz to, że mieszkał nieopodal lecznicy i był jej częstym gościem. Na tego drugiego zaś wskazują ślady w korespondencji, według której miał naszkicować projekt nieistniejącej już kaplicy zakładowej, a być może też innych budynków.

Pośród pacjentów Tarnawskiego nie brakowało wybitnych twórców i rzemieślników. Choć temat wymaga jeszcze pogłębionych badań, to wiele wskazuje na to, że mieli oni swój wkład w „dopieszczanie” wymarzonych budynków ekscentrycznego doktora, co znacząco podnosi ich wartość w oczach historyków sztuki i wszystkich miłośników zabytków.

Czas nieubłaganie działa na ich niekorzyść, nie pozostawiamy obojętni wobec kolejnych zniszczeń.

Łazienki, 1936, fot. Henryk Poddębski,  
Narodowe Archiwum Cyfrowe

# Nauki przyrodnicze na Uniwersytecie Lwowskim. Zarys problematyki

Celem artykułu jest zwięzła charakterystyka etapów rozwoju nauk przyrodniczych na Uniwersytecie Lwowskim od lat 80. XVIII w. do chwili pojawienia się w stolicy Galicji jednego z najwybitniejszych polskich podróżników i zoologów – Benedykta Dybowskiego (1884 r.). W niniejszej pracy przybliżyłem sylwetki mniej znanych przyrodników, których działalność w interesującym mnie przedziale czasu doprowadziła do wzrostu znaczenia na studiach akademickich biologii, geografii fizycznej i geologii.

## NAUKI PRZYRODNICZE NA UNIWERSYTECIE FRANCISZKAŃSKIM WE LWOWIE. NATURALIŚCI OKRESU JÓZEFIŃSKIEGO

Treści z zakresu przyrody ożywionej i nieożywionej na Uniwersytecie we Lwowie układano właściwie od początku założenia uczelni na Wydziałach Filozoficznym i Medycznym, podobnie zresztą sytuacja przedstawiała się w Krakowie. Za historię naturalną, geografii fizyczną oraz technologię połączoną z rolnictwem w latach 1784–1792 odpowiadał wiedeńczyk Antoni Hiltenbrand (1721–1798). Przed przybyciem do Lwowa w prestiżowym, kształcącym szlachetnie urodzoną młodzież Collegium Theresianum zajmował się filozofią, historią i geografią. W okresie wiedeńskim przygotował rozprawę *Historia phisica* (1780) oraz podręcznik *Versuch einer Katechismus der natürlichen Religion* (1784). W przekonaniu Stanisława Brzozowskiego, pomimo powierzchownej wiedzy dotyczącej rolnictwa, z powodzeniem potrafił zjednywać sobie wychowanków<sup>1</sup>. Opuściwszy Katedrę Historii Naturalnej, od 1792 do 1794 pracował w Katedrze Fizyki, po czym w 1796 r. wydał *Oesterreichischer Weinbaukatechismus oder kurzer Unterricht*

*vom Weinbaue in Oesterreich* i przeszedł na emeryturę<sup>2</sup>.

Od połowy lat 80. XVIII w. funkcję profesora botaniki i chemii we Lwowie sprawował wykształcony w Fuldzie, Würzburgu i Wiedniu (doktorat w 1775 r.), a pochodzący z Westfalii, Swibert Burkhard Schiverek (1742–1806 lub 1807), wcześniej związany z Uniwersytetem w Innsbrucku, w którym bezskutecznie próbował założyć ogród botaniczny<sup>3</sup>. W 1781 r. przystąpił do Tyrolskiego Towarzystwa Nauki i Sztuki. Znany był jako badacz roślinności alpejskiej i według niektórych zoologii, czemu jednak nie dowierzał Gabriel Brzęk. Dwukrotnie wybierany na rektora (1786–87, 1798–99), pozostawił po sobie wspomnienie nie najlepsze, lekceważyć miał bowiem obowiązki akademickie. Nie wszystkim podobała się również sympatia S. Schivereka do środowiska masońskiego, w którym jeszcze przed przybyciem do Lwowa aktywnie działał, przynależąc do loży Zu den drei Bergen<sup>4</sup>. Według innej zachowanej relacji, ceniony za umiejętność przekazywania wiedzy (choć obdarzony trudnym charakterem), z powodzeniem prowadził tacińskie kursy *Praxin botanicam in vivis stirpibus* oraz *Fundamenta systematis sexualis Linnaei tempore veris, hisque finitis*. Przez 3 dekady tworzył kolekcje zielnikowe, dodatkowo zajmując się ilustrowaniem grzybów. Ten bogaty zbiór swego czasu oglądał związany z liceum krzemienieckim Willibald Besser, utrzymujący, że brakowało w nim informa-

<sup>1</sup> S. Brzozowski, *Studia rolnicze, leśne i weterynaryjne Polaków w Wiedniu od XVIII do XX wieku*, Wrocław 1967, s. 45.

<sup>2</sup> В. Качмар, Перші кафедри у Львівському університеті. 1784–1805 рр. [W:] Історія та історики у Львівському університеті: традиції та сучасність (до 75-ліття створення історичного факультету), Л. Зашкільняка, П. Серженги (ред.), Львів 2015, с. 30.

<sup>3</sup> Szerzej: H. Huber, *Geschichte der Medizinischen Fakultät Innsbruck und der medizinisch-chirurgischen Studienanstalt (1673–1938)*, Böhlau, Wien 2010.

<sup>4</sup> G. Brzęk, *Historia zoologii w Polsce do 1860 roku*, „Prace Komisji Historii Nauki Polskiej Akademii Umiejętności”, t. 3, red. A. Strzałkowski, Kraków 2001, s. 149.



cji o pochodzeniu okazów. Prawdziwość tej opinii podawana jest jednak w wątpliwość<sup>5</sup>.

Prawdopodobnie najbarwniejszym lwowskim przyrodnikiem ostatniej ćwierci osiemnastego stulecia pozostawał Balthazar Hacquet de la Motte (1739–1815). Interesował się szczególnie Karpatami, które w części północnej przemierzył dokładnie na linii wschód-zachód<sup>6</sup>. Prowadził badania geograficzne, geologiczne, mineralogiczne, antropologiczne i etnograficzne, których polem była doceniona przez Stanisława Staszica wielotomowa rozprawa *Neueste physikalisch-politische Reisen in den Jahren 1788 und 1789 durch die Dacischen und Sarmatischen oder Nördlichen Karpathen*<sup>7</sup>. W okresie lwowskim od 1787 r. prowadził zajęcia ze specjalnej historii naturalnej oraz w ograniczonym stopniu botaniki. Sprawując obowiązki radcy górniczego, opiniował kwestię wykorzystania złóż torfu zlokalizowanych w pobliżu Lwowa. W 1805 r. przeniósł się do Krakowa, gdzie kierował Katedrą Historii Naturalnej, a w 1810 r. wyjechał do Wiednia.

#### PRZYRODNICY UNIwersYTETU CESARZA FRANCISZKA I

Z chwilą powołania w 1817 r. Uniwersytetu Cesarza Franciszka I (Universitas Franciscæ) nauki przyrodnicze do 1823 r. rozwijał Franciszek Divald (1781–1823). Dysponując skromnym wyposażeniem pracowni, zaczął w miarę możliwości pozyskiwać eksponaty. Jego następcą pochodzący z Wiednia Michael Stecker (1785–1856) specjalizował się w rolnictwie, które na Uniwersytecie Wiedeńskim studiował pod kierunkiem Leopolda Trautmanna (1766–1825). W czasie, gdy we Lwowie działało liceum, prowadził niemieckojęzyczny kurs rolniczy, a przy końcu lat

20. XIX w. pomyślnie połączył katedrę historii naturalnej z rolniczą i technologiczną. Od tamtej pory realizował zajęcia z botaniki, mineralogii, zoologii, chemii i fizjologii roślin, leśnictwa i technologii. Wielką zasługą M. Steckera było wystaranie się o pierwszy w historii Uniwersytetu we Lwowie gabinet przyrodniczy, w którym znalazły się zbiory pozyskane przez F. Divalda, łącznie około 8 tys. eksponatów. Z czasem poświęcił się M. Stecker niemal wyłącznie rolnictwu, rozwijając swą pasję w Wiedniu, dokąd przeniósł się w 1831 r., obejmując właściwą katedrę i przystępując później m.in. do Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarczego i Towarzystwa Rolniczego Wiedeńskiego<sup>8</sup>.

Obok F. Divalda i M. Steckera w latach 1821–1829 zajęcia z botaniki dla rolników realizował pracujący wcześniej na Uniwersytecie Wiedeńskim Ernst (Ernest) Dominik Wittman (1780–1836). Z początkiem XIX w. był profesorem nadzwyczajnym w Wiedniu. Niespełnionym pragnieniem E. Wittmana – uznanego specjalisty w zakresie flory galicyjskiej – było kierowanie katedrą mykologii. Wsławił się jako pomysłodawca oryginalnej serii przyrodniczej tzw. *Biblioteki drzewnej* i traktujących o terminologii botanicznej *Tablic*<sup>9</sup>. Będąc członkiem korespondentem Warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, nosił się z zamiarem zorganizowania wyprawy badawczej do południowej części Cesarstwa Rosyjskiego. Pomysł ten nie trafił jednak na podatny grunt i nie doczekał się realizacji. Badania botaniczne tego obszaru zrealizował później geobotanik krakowski Antoni Rehman. W okresie lwowskim mianowano E. Wittmana krajowym fitografem. Bolesław Hryniewiecki, powołując się na relację austriackiego biografa Constantina von Wurzbacha, zwrócił uwagę na oryginalny sposób przekazywania przezeń wiedzy biologicznej, przykładowo na odby-

<sup>5</sup> S. Krzemieniewski, *Kartka z dziejów botaniki w Polsce*, „Acta Societatis Botanicorum Poloniae” 1934, vol. 11, s. 14–15.

<sup>6</sup> D. Boghian, *The works of Balthazar Hacquet – sources for the study of the natural resources used by the pre-historical and historical communities from the North-Eastern Carpathian area*, [w:] red. B.P. Niculicã, D. Boghian, *Semper Fidelis. In Honorem Magistri Mircea Ignat*, Suceava 2013, s. 46–55.

<sup>7</sup> P. Daszkiewicz, R. Tarkowski, *Wpływ francuskiej myśli przyrodniczej na rozwój nauk o ziemi w Polsce i na Litwie. od końca XVIII wieku po rok 1830*, Kraków 2012, s. 110–112.

<sup>8</sup> O. Arkusza, *Michał Stecker*, [w:] *Internetowy Polski Słownik Biograficzny*, dostęp: <http://www.ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/michal-stecker>; Z. Federowicz, *Ewolucjonizm na Uniwersytecie Wileńskim przed Darwinem*, Wrocław–Warszawa 1960, s. 105.

<sup>9</sup> Ch. K. André, *Oekonomische Neuigkeiten und Verhandlungen. Zeitschrift für alle Zweige der Land und Hauswirthschaft, des Forst und Jagdwesens im Oesterreichischen Kaiserthum*, vol 3, Prag 1813, s. 144.



Budynek „starego Uniwersytetu” we Lwowie. Źródło: fot. P. Brzegowy (2019)

wanie spotkań ze studentami w prywatnym ogródku. Niewątpliwie obdarzony był autentycznym zamiłowaniem do świata przyrody i jak sugerują zachowane relacje, należał do nauczycieli akademickich szczególnie lubianych przez studentów. Utraciwszy z końcem lat 20. XIX w. możliwość wykładania na Uniwersytecie Franciszkańskim, z powodu pogarszającej się sytuacji materialnej opuścił Lwów i wyjechał do Wiednia<sup>10</sup>.

W latach 30. XIX stulecia opiekę nad Katedrą Historii Naturalnej i Rolnictwa sprawowali pochodzący ze Śląska Cieszyńskiego Franciszek Hlubek – od 1834 r. związany z Uniwersytetem w Lublanie, i uczonego austriacki Dominik Gotfryd Columbus. W materiałach drukowanych o postaciach tych nie odnotowano właściwie nic więcej, można zatem przypuszczać, że do rozwoju nauk przyrodniczych we Lwowie wybitnie się nie przyczynili. Dowodzą tego słowa G. Brzęka, który D. Columbusa scharakteryzował lapidarnie jako *miernej jakości uczonego*<sup>11</sup>.

W czwartej dekadzie XIX w. działał we Lwowie lekarz austriacki Rudolf Kner (1810–1869), który jako ostatni historię naturalną wykładał z rolnictwem i technologią. W miarę możliwości finansowych uzupełniał zbiorami

ry gabinetu, dodatkowo nosząc się z zamiarem nowatorskiej idei wydawania czasopisma poświęconego przyrodzie. Owego pomysłu jednak nie urzeczywistnił. Pozostawał niewątpliwie zamiłowanym paleozoologiem i współtwórcą wysoko cenionej rozprawy ichtiologicznej<sup>12</sup>. Podobnie jak niektórzy wcześniej wzmiankowani naturaliści, Lwów ostatecznie pozostawił dla Wiednia, gdzie w 1849 r. zaczął pracować w charakterze profesora zoologii. Przywołujący jego postać

Henryk Barycz pisał, że zapamiętano R. Knera z *życzliwego stanowiska wobec potrzeb umysłowych społeczności galicyjskich*<sup>13</sup>.

## REORGANIZACJA UNIwersYTETU WE LWOWIE

Smutnym epizodem w historii Uniwersytetu Lwowskiego było zniszczenie przez Austriaków podczas Wiosny Ludów budynku głównego wraz ze zbiorami przyrodniczymi i ufundowaną w 1785 r. bogatą w zbiory biblioteką. W szalejącej pożodze, jak zliczył Franciszek Jaworski, z ponad 51 tys. dzieł ocalało zaledwie 13 tys. Przepadło wiele opracowań drukowanych, dyplomów, pieczęcie i insygnia uniwersyteckie. Gmach uczeni runął 20 XI 1848. W obliczu zaistniałej sytuacji wykłady zawieszono na okres półroczny. Zimą 1850 r. zajęcia przeniesiono do ratusza, który udostępnił 13 pomieszczeń, z czego 2 przeznaczono na gabinety historii naturalnej oraz fizyki i rolnictwa. Warunki kształcenia były jednak mało komfortowe<sup>14</sup>.

Słusznie odnotowała Krystyna Aleksandra Harasimiuk, że wydarzenie roku 1848 już na zawsze zmieniły oblicze uniwersytetów w monarchii austriackiej. Przeszarzałe metody organizacyjne poczęły odchodzić do lamusa. Środowisko studenckie coraz głośniej poczęło domagać się wykładów w językach

<sup>10</sup> B. Hryniewiecki, *Botanika w Warszawskim Towarzystwie Przyjaciół Nauk*, „Acta Societatis Botanicorum Poloniae”, 1951, vol. 20, s. 7–9 oraz F. Herzbich, *Beiträge zur Flora von Galizien*, „Verhandlungen der Kaiserlich-Königlichen Zoologisch-Botanischen Gesellschaft in Wien”, X. Band, Wien 1860, s. 632.

<sup>11</sup> G. Brzęk, *Historia zoologii w Polsce...*, op. cit., s. 152.

<sup>12</sup> K. Maślankiewicz, *Z dziejów nauk przyrodniczych w Polsce*, Warszawa 1983, s. 348.

<sup>13</sup> H. Barycz, *Z dziejów polskich wędrówek naukowych za granicę*, Wrocław 1969, s. 159.

<sup>14</sup> F. Jaworski, *Uniwersytet Lwowski*, Lwów 1912, s. 80–82.

narodowych<sup>15</sup>, a w ofercie studiów pojawiły się nie tylko nowe kursy, lecz i dyscypliny. Na zmiany wyczekiwał również Lwów, w pierwszej kolejności Uniwersytet musiał jednak uporać się z problemami lokalowymi. Ponieważ zbombardowane budynki przy ul. Krakowskiej nie nadawały się do użytkowania, trzeba było wystarać się o nową siedzibę, którą wyszukano przy ul. św. Mikołaja (ob. М. Грушевського). Na potrzeby akademickie przekazano gmach dawnego konwiktów jezuickiego, który odpowiednio zaadaptowany latem 1851 r. stał się główną siedzibą Uniwersytetu Franciszkańskiego. Pomimo że od tamtych wydarzeń upłynęło przeszło 170 lat, budynek ten, nazywany obecnie „starym Uniwersytetem”, nie zmienił się szczególnie. Podobnie jak w czasach galicyjskich wypełniają go gwarne rozmowy studentów, współcześnie adeptów biologii i geologii. Osadzone na podłużnym pagórku, gmach ceglany, tynkowany (niedawno odnowiony), dwupiętrowy, z rozplanowaniem wewnętrznym typu korytarzowego; mieści ważne uniwersyteckie muzea przyrodnicze z bogatymi kolekcjami przyrodniczymi. Najbardziej znanym jest Narodowe Muzeum Zoologiczne działające przy Katedrze Zoologii Wydziału Biologicznego Lwowskiego Narodowego Uniwersytetu im. Iwana Franki, założone przez B. Dybowskiego w 1884 r., jako kontynuacja istniejącego od 1784 r. Gabinetu Historii Naturalnej<sup>16</sup>.

<sup>15</sup> K.A. Harasimiuk, *Dzieje Instytutu Geograficznego w Uniwersytecie Lwowskim w latach 1883–1939*, Kraków 2012, s. 33.

<sup>16</sup> Muzeum znajdujące się w gmachu Wydziału Biologiczno-Geologicznego zajmuje powierzchnię ok. 470 m<sup>2</sup>. Zgromadzona kolekcja przyrodnicza obejmuje ponad 180 tys. obiektów, z czego 10 tys. tworzy ekspozycję prezentującą faunę wszystkich kontynentów i obszarów wodnych świata. Muzeum dzieli się na galerię, salę osteologiczną, pomieszczenia z ptakami i ssakami, gabinet przeznaczony dla pracowników oraz magazyn. W Muzeum znajdują się zbiory m.in. austriackiego entomologa Ernsta Friedricha Germara, Otto Staudingera, Jana Sztolcmana, Stanisława Konstantego Pietruskiego, Michała Jankowskiego, Jana Kalinowskiego, Ludwika Layasot'ea, Fedira Strautmanna, Adama Sulimy von Ulanowskiego i in. Źródło: informacja uzyskana od dra Igora Szydłowskiego – kustosza Narodowego Muzeum Zoologicznego Lwowskiego Narodowego Uniwersytetu im. Iwana Franki we Lwowie.

Przez niemal 70 lat budynek ten był sercem lwowskiej wszechnicy, która w 1920 r. przeniosła się (przyjmując imię Jana Kazimierza) do obiektu będącego wcześniej siedzibą Sejmu Krajowego. W początkach II RP rozpoczął się nowy i, jak czas szybko pokazał, ostatni rozdział w polskiej historii najważniejszej kresowej uczelni.

## PIERWSZY POLAK NA KATEDRZE HISTORII NATURALNEJ WE LWOWIE

Od 1850 r. Katedrą Historii Naturalnej zaczął kierować Hiacynt Łobarzewski (1814–1862) – prawnik po studiach we Lwowie oraz zamiłowany przyrodnik, co potwierdzał zdobyty w Wiedniu dyplom<sup>17</sup>. Zajmując się przyrodą, zgłębiał tajemnice fykologii, fizjologii, mineralogii i geograficznego rozmieszczenia roślin na kuli ziemskiej. Stosunkowo szybko stał się cenionym ekspertem obeznanym z florą karpacką. Ponadto był pierwszym w historii uczelni naszym rodakiem, stojącym na czele wspomnianej katedry. Prowadzone zajęcia obejmowały geografie roślin, demonstracje mikroskopowe (później praktyczne ćwiczenia mikroskopowe) – na Uniwersytecie Franciszkańskim kurs zupełnie wówczas nowatorski, organografię, historię botaniki, terminologię botaniczną. Utrzymywał kontak-



Fragment kolekcji szkieletów ssaków w Muzeum im. B. Dybowskiego we Lwowie. Fot. P. Brzegowy (2019)

<sup>17</sup> W ukończeniu przez H. Łobarzewskiego właściwych studiów w Wiedniu powątpiewa S. Krzemieniecki, wzmiankując tylko, że „był przyrodnikiem z zamiłowania”. S. Krzemieniecki, op. cit., s. 24.



Fragment Ogrodu Botanicznego we Lwowie. Źródło: fot. P. Brzegowy (2019).

ty z przyrodnikami warszawskimi i wileńskimi. Zgodnie z obowiązującym porządkiem, czynności te wykonywał w j. niemieckim<sup>18</sup>. Skupiając uwagę na mchach, wątrobowcach i porostach, stał się jednym z ich pierwszych badaczy i słusznie przez Zofię Maślankiewiczową zaliczony został do grona najwybitniejszych polskich biologów<sup>19</sup>. Część mszaków zebranych w czwartej dekadzie XIX w. w Karpatach Wschodnich i Tatrach znajduje się obecnie w Zielniku Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego. Do stolicy trafiły za sprawą Tadeusza Wiśniewskiego<sup>20</sup>. Wielką zasługą H. Łobarzewskiego było zgromadzenie obszernej kolekcji zielnikowej składającej się z ok. 10 tys. okazów<sup>21</sup>. Niestety zbiór ten tylko po części doczekał się opracowania<sup>22</sup>. Bezpośrednio przed ob-

jęciem katedry w 1849 r. własnym nakładem wydał nieobszerne, dzisiaj trudno osiągalne dzieło *Pojęcie geografii roślin i rzut oka na roślinność kuli ziemskiej*, w którym opisał przeszłe i współczesne rozmieszczenie wybranych gatunków. Z tego samego roku pochodzi studium *Musci hypnoidei Haliciae rariores*.

Że był to przyrodnik zgłębianej materii prawdziwie oddany i człowiek przedsiębiorczy zarazem, poświadcza fakt, iż w 1852 r. doprowadził do utworzenia na przy-

legającej do gmachu Uniwersytetu, zajmującej 2 ha parceli, ogrodu botanicznego. Współcześnie miejsce to przy ul. św. Cyryla i Metodego nazywane „starym ogrodem” (Ботанічний сад Львівського університету імені І. Франка) o powierzchni 2,5 ha, szczyści się ciekawym arboretum i przyjmowane jest za jeden z ważniejszych ukraińskich obiektów przyrodniczych. Bezskuteczne starania o założenie takowego ogrodu czynił 25 lat wcześniej E.D. Wittman.

W połowie lat. 80. XVIII stulecia pierwszy gubernator Galicji Joseph Brigido von Bresowitz obiecał wystarać się dla uczelni o działkę pod rośliny lecznicze. Z przeznaczeniem na ten cel w dzielnicy Zamarstynów zaproponowano parcelę zlikwidowanego w wyniku kasaty józefińskiej zakonu misjonarzy ze zgromadzenia św. Wincentego à Paulo. Ogród jednak nie powstał. W kolejnych latach pod uwagę brano fragment ziemi należącej do dominikanek (ob. ul. Kopernika) oraz działkę w sąsiedztwie szpitala wojskowego, której również nie wykorzystano. Lata zamieniły się w dekady, a złożona niegdyś gubernatorska przysięga pozostała niespełniona. Dopiero H. Łobarzewski ponad 60 lat później wykorzystał teren na stoku wzniesienia Kalecza Góra, stanowiący w przeszłości własność zakonu trynitarzy. Podziwiane dzisiaj dorodne okazy cisa pospolitego, sosny wejmutki czy orzecha czarnego pamiętają jeszcze dziewiętnaste stulecie.

<sup>18</sup> G. Brzęk, *Złoty wiek ornitologii polskiej*, „Memorabilia Zoologica”, 1959, nr 3, s. 12.

<sup>19</sup> Z. Maślankiewiczowa, *Biologowie polscy*, „Biblioteczka biologiczna”, 1922, z. 6, s. 22.

<sup>20</sup> T. Wiśniewski (1905–1943), botanik wyspecjalizowany w mchach, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego, *Tadeusz Wiśniewski*, Zielnik Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, dostęp: [http://www.zielnik.biol.uw.edu.pl/?-page\\_id=534#wisniewski](http://www.zielnik.biol.uw.edu.pl/?-page_id=534#wisniewski)

<sup>21</sup> A. Taborski, *Geneza i dzieje Muzeum Przyrodniczego im. Dziejuszyckich we Lwowie*, „Opuscula Musealia” 2013, t. 21, s. 197.

<sup>22</sup> P. Köhler, *Zarys historii badań botanicznych Podkarpacia (do 1939 r.)*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki”, 2016, r. 61, nr 1, s. 67.

Od 1855 r. w prowadzeniu ogrodu pomagał współcześnie właściwie zapomniany Karol Bauer (1818–1894), znany z wybudowania szklarni ogrzewanych systemem kanałowym. Ten wykształcony we Lwowie botanik i architekt zieleni, później wraz z Tytusem Tchorzewskim odmienił oblicze Cmentarza Łyczakowskiego, zamieniając nekropolię w bogaty w drzewa ogród podziwiany do dzisiaj<sup>23</sup>. W bibliografii polskiej XIX w. wzmiankowana jest jedna tylko publikacja K. Bauera *Cennik nasion, roślin warzywnych gospodarskich i pastewnych w zakładzie ogrodniczym Karola Bauera we Lwowie. Wiosna 1871*<sup>24</sup>. Zrządzeniem losu został H. Łoborzewski swego czasu nauczycielem dorastającego Włodzimierza Dzieduszyckiego, który w przyszłości Lwów w propagowaniu przyrody rozślawił miał na cały świat. Organizując ogród, jego kreator mógł liczyć na wsparcie Agenora hr. Gołuchowskiego. Według relacji Józefa Wiczowskiego po niespełna dekadzie funkcjonowania, miejsce to posiadało wzniesioną na żelaznej konstrukcji wysoką szklarnię i 4 mniejsze obiekty zbudowane w identyczny sposób<sup>25</sup>. W 1911 r. w dzielnicy Cetnerówka zakupiono 4,5 ha terenu przynależącego niegdyś do majątku Ignacego Cetnera, wraz z pozostałościami okazałego w przeszłości parku<sup>26</sup>, inicjując nowy rozdział w historii charakteryzowanego ogrodu. Wyprawy krajoznawcze H. Łoborzewski odbywał w towarzystwie Wincentego Pola. W pierwszej kolejności w latach 40. XIX w. przemierzali wspólnie cały niemal łuk Karpat, dalej zaś Styrię i fragment Alp Wschodnich. Pokośiem odbytych podróży było przygotowane przez H. Łoborzewskiego w 1847 r. i wydane w Wiedniu *Muscorum frondosorum species novae halicienses* i późniejsze *Musci hypoidei Haliciae rariores* (Lwów 1849).

## ALEKSANDER ZAWADZKI I STANISŁAW KONSTANTY PIETRUSKI

Od lat 20. XIX w. z Uniwersytetem Franciszkańskim związany był najbardziej utalentowany wychowanek E.D. Wittmana, Aleksander Zawadzki (1798–1868). W latach 1847–1852 był wykładowcą fizyki. Kształcił się w Cieszynie, Ołomuńcu i we Lwowie, gdzie w 1829 r. uzyskał stopień doktora. Pracował w charakterze nauczyciela matematyki i botaniki, pasjonując się dodatkowo zoologią. Uprawiając fizykę w sposób prawdopodobnie mało profesjonalny, w grudniu 1852 r. został przeniesiony do Brna Morawskiego i sprawował od tamtej pory obowiązki dyrektora szkoły realnej. Wcześniej jednak, przemierzwszy okolice Lwowa, Beskidy Śląskie, Tatry, Pieniny, fragment Karpat Południowych i Morawy, zebrał okazy roślin i owadów. Nie wiemy, jak liczna była ta kolekcja i gdzie ostatecznie trafiła. Pomimo że większość prac ogłosił po niemiecku, co w przekonaniu niektórych stanowić miało przejaw jego ziemczenia, znany był z postawy patriotycznej. Mieszkając we Lwowie, pełnił obowiązki redaktora ukazującego się w latach 1822–1824 periodyku literacko-rozrywkowego „Lemberger Miscellen zur Belehrung und Unterhaltung”, pisywał także m.in. do „Rozmaitości naukowych i literackich”<sup>27</sup>. Opublikowane w nich teksty *Postrzeżenia w podróży podjętej we względzie botanicznym w r. 1823 przez południowo-wschodnią część Galicji i Bukowiny i drogą pod Karpaty idącą* oraz *Żurawniki*, Irena Sawczyn błędnie przypisała E.D. Wittmanowi<sup>28</sup>. Problematykę botaniczną popularyzował A. Zawadzki w poddawanej później krytyce i niewątpliwie nie wolnej od błędów *Enumeratio plantarum Galiciae Bucovinae, oder die in Galizien und der Bukowina wildwachsenden Pflanzen mit genauer Angabe ihrer Standorte* (Breslau 1835), zaopatrzonej w polskie nazwy *Flora der Stadt Lemberg* (Lemberg 1836) oraz *Fauna der galizischbukowinischen Wirbelthiere. Eine systematische Uebersicht der in diesen Provinzen vorkommenden Säugthiere, Vögel, Amphibien, Fische...* (Stuttgart

<sup>23</sup> K. Węglińska, *Wędrówki kresowe. Gawędy o miejscach, ludziach i zdarzeniach*, Warszawa 2006, s. 49.

<sup>24</sup> K. Estreicher, *Bibliografia Polska XIX. stolecia. Dopelnienia (A–O)*, t. 6, Kraków 1881, s. 38.

<sup>25</sup> J. Wiczowski, *Lwów jego rozwój i stan kulturalny oraz przewodnik po mieście*, Lwów 1907, s. 246.

<sup>26</sup> Zob. F. Jaworski, *Lwów stary i wczorajszy*, Lwów 1911, s. 296–303.

<sup>27</sup> L. Finkel, S. Starzyński, *Historia Uniwersytetu Lwowskiego*, Lwów 1894, s. 322–323.

<sup>28</sup> I. Sawczyn, *Rozwój botaniki w Uniwersytecie Lwowskim (od końca XVIII w. do roku 1941)*, „Wiadomości Botaniczne” 2000, nr 44 (3/4), s. 8.

1840). Na łamach czasopisma „Mnemosyne” przedstawił artykuły *Szczawnica eine Reise-skizze* (1832) oraz *Ueber die Vertheilung und Verbreitung der Pflanzen in Galizien und in der Bukowina* (1834)<sup>29</sup>. W latach 1837–1838 zaprezentowano we Lwowie *Galizien in Bildern* z kilkoma jego niepodpisanyimi tekstami. Podejmował ponadto tematykę geograficzną, czego dowodzi wydana w 1835 r. kilkuczęściowa praca *Das Königreich Galizien im J. 1834 in statistischer und geographischer Hinsicht*. Nieukończona rozprawa o geograficznym rozmieszczeniu roślin karpaccich datowana na ok. 1840 r. zaginęła. Na wycieczki krajoznawczo-badawcze w Tatry, Pieniny, wschodnie Karpaty, udawał się m.in. w towarzystwie Franciszka Herbicha, który w artykule z 1860 r. opisał przebieg wyprawy botanicznej, jaką odbył z A. Zawadzkiem w 1833 r., przemierzając Zaleszczyki, Czerniowce, Suczawę, odcinek rzeki Seret, Gora-Humora (Gura Humorului), Kimpolung (Kimpulung Mołdawski), przełęcz Jakobeni, rzekę Dornę, Stroschenetz (Storożyniec), Snyatin (Śniatyn), Kołomyję i Stanisławów<sup>30</sup>.

Uczniem A. Zawadzkiego był Stanisław Konstanty Pietruski (1811–1874), z Uniwersytetem Franciszkańskim związany poprzez studia przyrodnicze odbywane w latach 1828–1830. Po zakończeniu edukacji akademickiej udał się w podróż po Prusach, rozwijając zainteresowania naturalistyczne. Do kręgu jego znajomych przynależeli zoologowie: Alfred Brehm<sup>31</sup> – autor *Życia zwierząt*, Maksymilian Siła-Nowicki i Arend Friedrich Wiegmann. Część posiadanego majątku ziemskiego we wsi Podhorodce u podnóża Karpat w Małopolsce Wschodniej (ob. Piłgoroduć w obwodzie lwowskim), przeznaczony pod menażerię (ogród zoologiczny) założony w 1833 r., nazwany przez Kamila Barańskiego przedalnie nieco *pierszym na świecie wielkim prywatnym Instytutem Badawczo-Naukowym*<sup>32</sup>. Na ziemiach pol-



Strona tytułowa monografii S.K. Pietruskiego, „O niektórych rzadszych krajowych zwierzętach ssących. Wspomnienia z lat ubiegłych”, Lwów 1869. Źródło: Biblioteka Narodowa, uid repozytorium: 858526

skich podobne placówki naukowo-dydaktyczne próbowano tworzyć już wcześniej. Dobrym przykładem był ufundowany w 1756 r. należący do Karola Radziwiłła zwierzyńiec Alba z bawołami, niedźwiedziami i żubrami niedaleko Nieświeża<sup>33</sup>. Ogród stworzony przez K. Pietruskiego służył jednak nie tyle hodowaniu własnej próżności i rozrywce, co prowadzeniu obserwacji i badań przyrodniczych. W takim zamiarze trzymano w Podhorodkach przeszło 500 krajowych i obcych zwierząt ssących, ptaków, gadów i owadów, w tym afrykańskie papugi, orły, borsuki i niedźwiedzie brunatne. W zwierzyńcu, który nie miał sobie równych w całej Austrii, wielokrotnie bawili wykładowcy historii naturalnej ze Lwowa, z Krakowa i specjaliści zagraniczni. Czasy to były niełatwe, bo jak donosił K. Pietruski: *na cały kraj znajdował się tylko jeden zbiór ptaków. Nauki przyrodnicze były wówczas wykluczone z gimnazjów,*

<sup>29</sup> J. Armin Knapp, *Die bisher bekannten Pflanzen Galiziens und der Bukowina*, Wien 1872, s. XIV.

<sup>30</sup> F. Herbich, op. cit., s. 633.

<sup>31</sup> Szerzej: W. Ziembicki, *Alfred Brehm (ur. 1829 zm. 1884). W 100-letnią rocznicę urodzin*, Lwów 1929.

<sup>32</sup> K. Barański, *Przemienili zagońcy, chliborobi, chasydzi. Rzecz o ziemi stanisławowsko-kołomyjsko-stryjskiej*, Londyn 1988, s. 64.

<sup>33</sup> Zob. M. Maciejowski, *Choć Radziwiłł, ałem człowiek...” gawęda romantyczna prozą*, Kraków 1985, s. 436.

a na Wszechnicy wykładano je bardzo ogólnie<sup>34</sup>. Niestety inicjatywa ta krótkie miała trwanie, bowiem w 1848 r. wskutek pożaru ogród uległ spustoszeniu<sup>35</sup>. Przepadł wówczas także fragment kolekcji naturalistycznej jego założyciela, po którym pozostało kilka wartych przypomnienia opracowań, w znacznym stopniu będących pokłosiem ufundowanej przezeń menażerii. Przede wszystkim są to dzieła ornitologiczne<sup>36</sup> oraz rozprawy traktujące o ssakach<sup>37</sup>. Zniszczonego ogrodu zoologicznego K. Pietruski nie odbudował. W późniejszych latach uwagę skoncentrował na sadownictwie i rolnictwie, czego dowodzi publikacja z 1869 r.<sup>38</sup> Pozostawał członkiem kilku towarzystw naturalistycznych<sup>39</sup> oraz darczyńcą Zakładu Narodowego

<sup>34</sup> S.K. Pietruski, *Historia naturalna i hodowla ptaków zabawnych i użytecznych; czyli dokładne opisanie wszystkich śpiewających, naśladujących mowę ludzką, pięknie ubarwionych, domowych i użytecznych ptaków, z podaniem najnowszych sposobów i doświadczeń jak takowe łowić, przyswajać, chować, karmić, rozmnażać, od chorób chronić i w tychże leczyć*, Lwów 1861, s. XI.

<sup>35</sup> G. Brzęk, *Benedykt Dybowski. Życie i dzieło*, Lublin 1981, s. 270.

<sup>36</sup> S.K. Pietruski, *Verzeichniss der Vögel Galiziens* (1840), *Historia naturalna i hodowla ptaków zabawnych i użytecznych; czyli dokładne opisanie wszystkich śpiewających, naśladujących mowę ludzką, pięknie ubarwionych, domowych i użytecznych ptaków, z podaniem najnowszych sposobów i doświadczeń jak takowe łowić, przyswajać, chować, karmić, rozmnażać, od chorób chronić i w tychże leczyć*, Lwów 1860–1866.

<sup>37</sup> Idem, *Historia naturalna zwierząt ssących dzikich galicyjskich zawierająca dokładne opisanie zwierząt ssących krajowych tudzież ciekawe postrzeżenia nad sposobem życia i obyczajami tychże, jako skutek dwudziestoletnich badań i doświadczeń, robionych w naturze i w wielkiej przeszło 500 różnorodnych zwierząt liczącej menażeryi* (Lwów 1853) oraz *O niektórych rzadszych krajowych zwierzętach ssących*, Lwów 1869.

<sup>38</sup> Idem, *Krótki pogląd na rozwój ogrodnictwa w Europie ze szczególnym uwzględnieniem tej sztuki w Polsce*, 1869.

<sup>39</sup> Cesarsko Leopoldyńsko-Karolińskiej Akademii badaczy przyrody, Towarzystwa Lotos w Pradze, Towarzystwa badającego przyrodę w Altenburgu, Towarzystwa Naukowego Przyrody w Szwajcarii, Królewskiego Towarzystwa Ogrodniczego w Bawarii, Towarzystwa Naukowego Krakowskiego i c.k. Towarzystwa Gospodarskiego we Lwowie.

im. Ossolińskich i Gabinetu Zoologicznego w Warszawie. W akcie darowizny otrzymało Ossolineum 9 tys. sztuk dobrze zabezpieczonych owadów, motyli, kolibrów i koników morskich<sup>40</sup>.

W 1852 r. zapadła decyzja o utworzeniu niezależnej Katedry Zoologii i Anatomii Porównawczej, którą powierzono badającemu chrząszcze<sup>41</sup> entomologowi doktoryzowanemu w zakresie medycyny w Pradze, Hermanowi Maksymilianowi Schmidtowi<sup>42</sup> (1809–1882). Tym samym Uniwersytet Franciszkański otrzymał pierwszego zoologa. Był on inicjatorem powołania przy ogrodzie botanicznym szkoły Bildungsinstitut für Gartenzöglinge. W pamięci wychowanków pracujący do 1870 r. H.M. Schmidt, uczący krótko także mineralogii, zapisał się jako nieprzyjazny nauce polskiej germanizator i miernej klasy wykładowca.

#### POZOSTALI POPULARYZATORZY WIEDZY PRZYRODNICZEJ

Przez krótki okres z lwowskim środowiskiem przyrodników związany był Maksymilian Siła-Nowicki (1826–1890). Po ukończeniu edukacji gimnazjalnej zapisał się na studia prawnicze na Uniwersytecie Franciszkańskim, które w związku z czynnym udziałem w wydarzeniach Wiosny Ludów zmuszony był przerwać i stolicę Galicji opuścić. Od tamtej pory pracował w charakterze nauczyciela w Brodach, Płotycy, a po awansie zawodowym w Samborze. Początkowo okazy przyrodnicze gromadził w celu edukowania młodzieży szkolnej. W 1857 r. w Wiedniu pomyślnie zdał wyższy egzamin pedagogiczny dający pełne uprawnienia do nauczania przyrody. W okresie 1858–1863 współpracował z Gimnazjum Akademickim we Lwowie. W latach 50. XIX w., zajmując się głównie entomologią, poznał H. Łobarzewskiego. Wyrazem tych zainteresowań, członkostwa w Towarzystwie Zoologiczno-Botanicznym

<sup>40</sup> *Biblioteka Ossolińskich. Pismo historii, literaturze, umiejętnościom i rzeczom narodowym poświęcone. Poczet nowy. Tom dziesiąty*, Lwów 1868, s. 433.

<sup>41</sup> Konsekwencją tych badań była praca H. Max. Schmidt, *Dissertatio Inauguralis Zoologica De Pselaphis Faunae Pragensis. Cum Anatomia Clavigeri*, Pragae 1836.

<sup>42</sup> Również jako Hermann Maximilian Schmidt-Göebel.



W. hr. Dzieduszycki w 1875 r. Źródło: Biblioteka Narodowa, uid repozytorium: 858526

w Wiedniu i wyprawy w pasmo Czarnohory, był wykaz charakterystycznych dla wschodniej części Galicji motyli *Enumeratio lepidopterorum Haliciae orientalis* (Leopolis 1860). Zwieńczeniem okresu lwowskiego w życiu M. Siły-Nowickiego było uzyskanie w 1863 r. stopnia doktora filozofii na Uniwersytecie Franciszkańskim. Został wtedy kierownikiem Katedry Zoologii UJ, gdzie stosując się do teorii K. Darwina, z powodzeniem prowadził wykłady oraz przygotowywał rozprawy naukowe i podręczniki akademickie. Zastąpił przede wszystkim jako specjalista w zakresie fauny tatrzańskiej, inicjator powołania Krajowego Towarzystwa Rybackiego i działalności na rzecz ochrony przyrody ojczyzny<sup>43</sup>.

Innym popularyzatorem problematyki przyrodniczej był geolog, wychowanek Uniwersytetu Franciszkańskiego, Seweryn Płachetko (1835–1880). Od 1857 r. pracował jako nauczyciel w szkole realnej i Gimnazjum Akademickim we Lwowie oraz w szkole rolniczej w Dublanach, zajmując się botaniką, geologią i mineralogią. W 1860 r. związał się z lwowskim II Gimnazjum, prowadząc zajęcia z historii naturalnej, matematyki i fizyki.

<sup>43</sup> Z. Federowicz, Z. Kawecki, *Maksymilian Siła Nowicki. Na 600-lecie Uniwersytetu Jagiellońskiego*, „Memorabilia Zoologica” 1962, t. 8; Z. Federowicz, *Dzieje zoologii na Uniwersytecie Jagiellońskim w latach 1780–1960*, Kraków 1965, s. 41 i nast.

Następnie uczył w Brzeżanach. Od 1873 do 1880 r. sprawował obowiązki dyrektora gimnazjum złoczowskiego. W połowie lat 60. XIX w. we Lwowie rozpoczął serię interesujących prywatnych wykładów geologicznych ilustrowanych wielkoformatowymi planszami<sup>44</sup>.

### WŁODZIMIERZ HR. DZIEDUSZYCKI – MECENAS LWOWSKICH NATURALISTÓW

Jednym z najciekawszych przyrodników galicyjskich był związany ze Lwowem zamożny ziemianin Włodzimierz hr. Dzieduszycki (1825–1899). Jego ojciec Józef Kalasanty hr. Dzieduszycki wstąpił się jako kapitan wojsk galicyjskich w 1809 r. i fundator w 1815 r. Biblioteki Poturzyckiej, w której zgromadził 50 tys. dzieł drukowanych i wiele innych wartościowych materiałów, w tym inkunabuły, manuskrypty, jak również przysłowiowe białe kruki związane z historią Polski. Z pozycji przyrodniczych warto wspomnieć szesnastowieczne zielniki Hieronima Spiczynskiego. Co więcej biblioteka posiadała obrazy Artura Grottgera, Juliusza Kossaka i innych znanych artystów malarzy. Ta cenna kolekcja w 1847 r. trafiła do lwowskiej posiadłości rodowej przy ul. Kurkowej 17<sup>45</sup>.

Już w dzieciństwie W. Dzieduszycki, przejawiając autentyczne zainteresowanie rodzimą przyrodą, zaczął zbierać chrząszcze, ślimaki, motyle i rośliny. Jego największą zasługą było założenie w 1880 r. we Lwowie, a następnie przekazanie narodowi polskiemu specjalistycznego muzeum z działami: botanicznym, etnograficznym, geologiczno-mineralogicznym, paleontologicznym, przedhistorycznym i zoologicznym. Poprzez przemyślany zapis w ordynacji rodzinnej z 1893 r., fundator zabezpieczył działalność instytucji na długie lata, która otrzymawszy nowe zbiory w okresie dwudziestolecia międzywojennego, stała się największą tego typu placówką w II RP.

<sup>44</sup> Z. J. Wójcik, *Seweryn Płachetko*, [w:] *Internetowy Słownik Biograficzny*, dostęp: <https://www.ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/seweryn-plachetko>

<sup>45</sup> Na temat rodziny Dzieduszyckich zob. K. Karolczak, *Dzieduszyccy. Dzieje rodu. Linia poturzycko-zarzecka*, Kraków 2000 oraz M. Iłowiecki, *Okrety na oceanie czasu. Historia nauki polskiej do 1945 roku*, Warszawa 2001, s. 173.



Pomimo słabego zdrowia W. Dzieduszycki do końca życia z prawdziwą pasją oddawał się katalogowaniu i porządkowaniu kolekcji przyrodniczej. Rozmiałowany w ornitologii przygotował katalog fauny ptaków<sup>46</sup>, pracę poświęconą bezkręgowcom oraz przewodnik muzealny<sup>47</sup>.

Dodatkowo na przestrzeni lat sfinansował wydanie 20 publikacji z zakresu nauk przyrodniczych, historii i etnografii oraz udzielał się jako polityk w Sejmie Krajowym i parlamencie wiedeńskim. Wychowany w duchu patriotycznym zaangażował się w działalność Ruskiego Soboru (Руський Собор), Rady Narodowej Galicji Wschodniej i organizacji wspierającej powstanie styczniowe. Dbając o dziedzictwo kulturowe narodu polskiego, pozyskiwał przedmioty związane z przemysłem domowym, zachęcając (z pozytywnym skutkiem) do tworzenia szkół przemysłowych i rękodzielniczych. Pozostawał ponadto protektorem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Muzeum Przemysłowego, Krajowej Szkoły Gospodarstwa Lasowego we Lwowie oraz Wyższej Szkoły Rolniczej w Dublanach. Pomimo braku wykształcenia uniwersyteckiego, ojczyste i zagraniczne towarzystwa naukowe, doceniając wkład W. Dzieduszyckiego w popularyzację nauk przyrodniczych, zabiegały o jego członkostwo, a na wniosek B. Dybowskiego w 1894 r. Uniwersytet Franciszkański wyróżnił go doktoratem *honoris causa*. Inną formą uznania wobec zasług przyrodnika było umieszczenie nazwiska Dzieduszyckiego w binominalnych nazwach nowo odkrytych gatunków fauny i flory<sup>48</sup>. Kazimierz Karolczak, przypominając o szlachetności i skromności jego charakteru, podkreślił ufundowanie przezeń przynajmniej kilkudziesięciu stypendiów, dzięki którym wielu uzdolnionych młodych ludzi

mogło odbyć edukację akademicką<sup>49</sup>. W zakładaniu poszczególnych działów Muzeum im. Dzieduszyckich uczestniczyli wspomniani finansowo przez założyciela ambitni uczeni: M. Nowicki, Marian Łomnicki, Józef Siemiradzki, Włodzimierz Szuchiewicz i A. Rehman – służący pomocą w organizowaniu kolekcji botanicznej. Osobą najbliższą W. Dzieduszyckiemu był jednak utalentowany preparator Władysław Zontak (Zontag), w rzeczywistości sprawujący funkcję kustosa<sup>50</sup>. Należy wspomnieć, że obecnie Muzeum (Державний природознавчий музей Національної академії наук України) zarządzane przez Narodową Akademię Nauk Ukrainy z siedzibą przy ul. Teatralnej we Lwowie, po trwającym dwie dekady zamknięciu na nowo przyjmując zwiedzających, prezentując tylko wybrane eksponaty, których część wskutek wydarzeń losowych niestety uległa zniszczeniu.

Konkludując, należy stwierdzić, że Uniwersytet we Lwowie od drugiej połowy XVIII stulecia stanowił ważny ośrodek uprawiania nauk przyrodniczych. Okres autonomii galicyjskiej był czasem dynamicznego ich rozwoju. Powierzenie w 1884 r. Katedry Zoologii B. Dybowskiemu uczyniło Lwów liczącym się centrum europejskiego darwinizmu. Na wiele lat przed jego pojawieniem się w stolicy Galicji, działali w niej jednak inni przyrodnicy (w znacznym stopniu obcokrajowcy): A. Hiltenbrand, S. Burkhard Schiverek, B. Hacquet de la Motte, F. Divald, M. Stecker, E. Dominik Wittman, R. Kner, S. Dunin Borkowski, H. Łobarzewski, K. Bauer, A. Zawadzki, S.K. Pietruski, M. Siła-Nowicki, S. Płachetko i W. hr. Dzieduszycki. Nie wszystkie z wymienionych osób należały do kręgów uniwersyteckich i posiadały wykształcenie kierunkowe. W większości przypadków ich cechą wspólną było autentyczne zainteresowanie szeroko rozumianą przyrodą i bezinteresowne zaangażowanie w jej popularyzację.

<sup>46</sup> Zob. W. Dzieduszycki, *Spis ptaków*, Lwów 1880.

<sup>47</sup> Idem, *Przewodnik po Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie*, Lwów 1895.

<sup>48</sup> F. Chłapowski, *Włodzimierz Dzieduszycki. Wspomnienie pośmiertne*, Roczniki, t. XXVI, Poznań 1899, s. 539–546, *Włodzimierz Dzieduszycki. Twórca i założyciel Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie*, „Kosmos. Czasopismo Polskiego Tow. Przyrodników im. Kopernika”, 1899, r. XXIV, s. I–VII.

<sup>49</sup> K. Karolczak, *Włodzimierz hr. Dzieduszycki (1825–1899) – mecenas nauki i uczonego*, „PAUza Akademicka”, nr 333–334, Kraków 2016, s. 3.

<sup>50</sup> Najobszerniej o historii Muzeum im. Dzieduszyckich pisał G. Brzęk, *Muzeum im. Dzieduszyckich we Lwowie i jego Twórca*, Lublin 1994.

Michał Piekarski

# Remigiusz Węgrzynowicz – mój Dziadek...

**R**emigiusz Węgrzynowicz – lwowianin i obrońca Lwowa 1939 r., profesor medycyny weterynaryjnej, Sprawiedliwy wśród Narodów Świata, mój Dziadek. To tylko kilka tytułów, którymi mógłbym opisać Jego postać. W ciągu długiego, 97-letniego życia zaznał wielu zmian politycznych i kulturowych. Był przedstawicielem pierwszej generacji urodzonej bezpośrednio po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, jednocześnie należał do ostatniego już pokolenia, dla którego lata II wojny światowej przypadły w okresie dorosłego życia.

Lwów – miasto, w którym się urodził – do końca życia był dla Niego miejscem najważniejszym. Dzielnicę, która początkowo stanowiła bezpośrednie jego otoczenie, wyznaczała ulica Gródecka.

Rodzina związana była ze Lwowem i okolicami od pokoleń. Ze Lwowa pochodzili jego rodzice – Stanisław Węgrzynowicz (1890–1932) i Maria z domu Kopko (1895–1987). Dziadkami od strony ojca byli Leo Węgrzynowicz i Józefa z Pajączkowskich, wywodząca się z zasłużonego rodu, do któ-

rego należeli m.in. jej ojciec Narcyz Pajączkowski (ur. 1808, zm. 1892 we Lwowie), absolwent wiedeńskiego Theresianum (1831 r.), starosta c.k. powiatu stanisławowskiego, przewodniczący Rady Szkolnej Okręgowej, honorowy obywatel Stanisławowa (1873 r.). Do dziś pamiątką świadczącą o obecności tej rodziny we Lwowie jest kaplica Pajączkowskich na Cmentarzu Łyczakowskim. Do corocznych rytuałów rodzinnych, w których uczestniczył mój Dziadek, należała msza zamawiana 2 listopada w kaplicy cmentarnej.

Rodzina Marii Węgrzynowiczowej po kądzieli należała do znanych lwowskich ogrodników – Klimowiczów, którzy posiadali uprawy kwiatów przy ul. Piekarskiej oraz sklep przy pl. Halickim 14 (firma Antoni Klimowicz i Syn). U Klimowiczów wiele lwowskich rodzin zamawiało bukiety oraz wieńce nagrobne.

Stanisław Węgrzynowicz mieszkał we Lwowie przy ul. Gródeckiej 40a. Z zamiłowania był artystą malarzem, z zawodu urzędnikiem (oprócz edukacji gimnazjalnej pobierał także regularne lekcje malarstwa). W listopadzie 1918 r. brał udział w obronie Lwowa przed oddziałami Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej. W okresie międzywojennym pracował w Dyrekcji Kolei we Lwowie przy ul. Zygmuntońskiej. Urzędnikiem, inspektorem kolei był też jego wuj Karol Pajączkowski. Ślub Stanisława i Marii Węgrzynowiczów odbył się w kościele św. Anny. Z ich małżeństwa w 1921 r. urodził się starszy syn Artur – późniejszy student Politechniki Lwowskiej (absolwent Politechniki we Wrocławiu), żołnierz Armii Krajowej, uczestnik Powstania Warszawskiego (batalion „Kiliński”), którego postać uwieczniona została na krótkim filmie z 1944 r. ze zdobycia PAST-y.

Remigiusz Węgrzynowicz przyszedł na świat 27 września 1922 r. W domu rodzinnym oprócz rodziców i brata mieszkała także babka Józefa z Pajączkowskich, z której siostrą Antoniną (po wojnie pozostała z mężem we Lwowie) utrzymywano bardzo



Maria i Stanisław Węgrzynowiczowie (ok. 1925)

Lwów 1929 r. na ul. Leona Sapiehy po mszy u św. Marii Magdaleny.  
Od lewej: bracia Remigiusz i Artur z rodzicami



bliskie kontakty. Remigiusz Węgrzynowicz rozpoczął edukację w 1928 r. w szkole im. ks. Kordeckiego. W okresie szkolnym zaangażował się w ministranturę. W kościele oo. Jezuitów pełnił posługę przy ks. majorze Zygmuncie Truszkowskim. Jak wspominał: *Godną postać ks. kapelana pokrywała zawsze maska surowości i drylu wojskowego!*

W 1932 r. ciężkim wydarzeniem stała się śmierć ojca Stanisława. Znaczna część odprawy wydana została na bardzo uroczysty pogrzeb. Mimo że wdowie proponowano pochówek męża na Cmentarzu Obrońców Lwowa, wołała pobliski Cmentarz Janowski, żeby móc częściej go odwiedzać (grób nie zachował się do naszych czasów). Wychowaniem synów zajmowała się odtąd niepracująca matka, której z pomocą przyszła rodzina. Wkrótce zjawiał się także brat jej szwagra Władysław Petrus, znany jako „kuzyn lunatyk”, wnękę w kuchni zaś wciąż zajmowała wierna Franka. W tym okresie (a także podczas wojny) rodzina Węgrzynowiczów mieszkała przy ul. Królowej Jadwigi 24 (I piętro).

Remigiusz Węgrzynowicz edukację gimnazjalną odbywał w kilku szkołach. W ten sposób w wieku nastoletnim doskonale poznał niemal całe miasto, dojeżdżając i dochodząc do szkół mieszczących się w różnych dzielnicach. Rozpoczął naukę w roku 1934/1935 od pobliskiego XII Gimnazjum

im. S. Szczepanowskiego (ul. Szumlańskich 7), do którego wcześniej uczęszczał jego ojciec. Języka i literatury polskiej uczył tam dr Stefan Kawyn (późniejszy wykładowca KUL i Uniwersytetu Łódzkiego), matematyki – bardzo wymagająca Stefania Stipalówna (podczas II wojny komendantka Szarych Szeregów we Lwowie). Uczęszczał tam także Kaj Jaworski, z którym Remigiusz przyjaźnił się przez całe życie.

Po czterech klasach w roku 1938/1939 (przez jeden semestr) kontynuował naukę w V Gimnazjum na Zamarstynowie, w którym ze względu na specyfikę dzielnicy w jednej klasie na 40 uczniów było jedynie 8 katolików. Od kolejnego półrocza kontynuował edukację w XI Gimnazjum im. Śniadeckich przy ul. Szymonowiczów 1. Dyrektor hr. Stanisław Przeździecki bardzo uważał na poprawność form zachowania, a podczas wojny pomagał uczniom w trudnych sytuacjach.

W okresie gimnazjalnym służył do mszy ks. Kwiatkowskiemu w kościele pw. św. Marii Magdaleny. Podczas mszy dla gimnazjalistów ksiądz wprowadził głośną recytację wersetów przeznaczonych wcześniej wyłącznie dla ministrantów. Dziadek wspominał: *W pamięci pozostało mi piękne brzmienie potężnego chóru męskiego (wszystkie klasy gimnazjum), recytującego wersetury liturgiczne po łacinie w murach doskonałej akustycznie świątyni.*



Lwów, ul. Królowej Jadwigi 24 (widok współczesny)



Remigiusz Węgrzynowicz przed UJK (ok. 1942)

W latach 30. XX w. uczęszczał też do kościoła św. Elżbiety, gdzie, jak mi nieraz opowiadał, co niedziela po sumie koncertował na organach prof. Michał Woźny, aż drżała kamienna posadzka.

Przez niemal całe życie dla mojego Dziadka bardzo ważne było harcerstwo. W 1931 r. wstąpił do gromady zuchów przy VII Drużynie Harcerskiej w IV Gimnazjum. Należał do kolejnych drużyn, ostatnią była 34. im. Stefana Rogozińskiego, gdzie doszedł do funkcji zastępowego. Uprawiano w niej żeglarstwo, które stało się dla niego ważną pasją. Dziadek przyznawał: *Życie harcerskie wypełniało mi cały czas wolny od zajęć szkolnych, do których, przyznam szczerze, nie garnąłem się.* Po latach też dodawał: *Harcerstwu zawdzięczam zaradność, umiejętność przystosowania się do trudnych warunków.* Ostatni obóz miał miejsce latem 1939 r. nad jeziorem Narocz koło Nowogródka. *Ciągłe dyskusje na temat najbliższej przyszłości wzmagaly w naszych umysłach poczucie zagrożenia i powagi sytuacji, ale jednocześnie sprzyjały konsolidacji społecznej* – wspominał. Znad Naroczy pojechał do Gdyni, skąd miał wyruszyć na rejs do Wielkiej Brytanii szkunerem „Zawisza Czarny”. Ponieważ był to już sierpień 1939 r., nakazany został powrót do domów.

1 września 1939 r. po porannym spotkaniu z kolegami z drużyny harcerskiej usłyszał

odgłosy pierwszych nalotów niemieckich nad Lwowem. Natychmiast włączył się do akcji ratowniczej w Wartowniczej Kompanii Harcerskiej pod dowództwem porucznika Zbigniewa Czeakańskiego. Do akcji należało m.in. wyładowywanie amunicji przeciwlotniczej z pociągu na stacji Podzamcze. Wieczorem harcerze zostali rozlokowani w Szkole św. Marii Magdaleny. Harcerze wyposażeni w stare karabiny Lebel ładowali je po ciemku. Pierwszy strzał oddał Remigiusz niechcący w sufit sali szkoły (karabin był zepsuty). Dzięki temu karabin wymieniono. Przed snem harcerze na podłodze nucili piosenki, m.in. *Bratnie słowo sobie dajem*; jak Dziadek wspominał: *których głęboki sens odczuwaliśmy wówczas w sposób szczególny.* Kolejnego dnia wraz z pozostałymi harcerzami pod dowództwem podchorążego Władysława Jagiełły przeszedł przez linię frontu spędzając noc na Cmentarzu Janowskim, gdzie leżała porzucona przez kondukt trumna. Pamiętam często wypowiedane przez niego słowa: *Wtedy, leżąc między grobami, zdałem sobie w pełni sprawę z brutalności wojny, która nie mieści się w żadnej konwencji, która gwałci wszystkie zasady, nawet takie, które zmuszają człowieka do najwyższego szacunku i powagi w sytuacji pokojowej.* Do najwyższ cenionych przez Dziadka odznaczeń należał Krzyż Obrony Lwowa 1939 r. Po 50 latach odbyło się na Jasnej Górze spotkanie obrońców Lwowa z udziałem Węgrzynowicza. Na przełomie



Remigiusz Węgrzynowicz przed Kaplicą Boimów (ok. 1942)

XX i XXI w. corocznie spotykali się na zjeździe w Korzkwi pod Krakowem. Pamiętam, jak raz w maju 2004 r. zabrał mnie tam Dziadek. Mogłem osobiście poznać wielu innych bohaterów tych wydarzeń, wówczas mających po 80 lat... Wrażenie wciąż trwającej wspólnoty było ogromne.

Po kapitulacji Lwowa przed Armią Czerwoną (Wehrmachtowi Lwów się nie poddał) Remigiusz Węgrzynowicz powrócił do nauki w gimnazjum. Jak pisał: *Zostałem w kraju. Zdawałem sobie sprawę, że cel wojny to całkowite zniszczenie biologiczne przeciwnika*. Poza obowiązkowym dotąd w gimnazjum językiem niemieckim doszedł nieznanymi wcześniej przedmiot – język rosyjski. Maturę uzyskał w 1940 r. W tymże roku w celu zarobkowym podjął pracę w szpitalu psychiatrycznym na Kulparkowie. Przez 9 miesięcy pracował z ciężko chorymi oraz symulantami przeniesionymi z więzienia. *Była to specyficzna szkoła odporności psychicznej, sprawności fizycznej i nauki od świata przestępczego* – wspominał.

W czerwcu 1941 r. Lwów znalazł się pod okupacją niemiecką. Remigiusz Węgrzynowicz otrzymał zatrudnienie w Instytucie prof. Rudolfa Weigla, skąd został przeniesiony do filii Instytutu Behringa. Pracował jako karmiciel wszy na szczepionkę przeciwtyfusową. Zajęcie to dawało dodatkowe kartki żywnościowe oraz Ausweiss. Mimo że prof. Weigl zadeklarował się jako Polak, jego badania były przez Niemców bardzo poważnie traktowane i finansowane ze względu na trwające wciąż zagrożenie tyfusem. Rudolf Weigl wymógł też możliwość osobistego (wraz z asystentką dr Anną Herzig) wpływania na kształt listy karmicieli wszy. Należała do niej znaczna część lwowskiej inteligencji. W Instytucie z prof. Weiglem współpracował też dr Henryk Mosing (pozostał we Lwowie po 1945 r.). W 1942 r. Instytut wraz z karmicielami liczył 3000 osób.

Władze niemieckie we Lwowie, podobnie jak wcześniej na pozostałych okupowanych terenach, zamknęły wszystkie gimnazja (poza gimnazjum ukraińskim) i uczelnie wyższe. Jednak ze względu na potrzebę większej liczby wykwalifikowanych specjalistów Niemcy dopuścili do otwarcia we Lwowie tzw. Staatliche Tierärztliche Fachkurse (Państwowe Kursy Weterynarii), które funkcjonowały w budynkach dawnej Akademii



Remigiusz Węgrzynowicz jako asystent we Wrocławiu (1946)

Medycyny Weterynaryjnej (m.in. w dawnym Pałacu Batyckich). Początkowo miały to być studia dla Ukraińców, jednak nie zgłosiło się ich zbyt wielu, dlatego władze dopuściły też do studiowania Polaków. Remigiusz Węgrzynowicz w 1942 r. rozpoczął studia z zakresu weterynarii, razem z przyjacielem z gimnazjum Kajem Jaworskim. Jak pisał o moim Dziadku Jerzy Janicki w *Alfabcie lwowskim: student Remigiusz postanawia więc zostać weterynarzem, czyli jak u nas powiadają – nieludzkim doktorem*. Na weterynarii nie tylko budynki okazały się przedwojenne, ale również program nauczania oraz większość polskiej kadry. Wciąż żywe były tam tradycje lwowskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej, której początki sięgały 1881 r. W okresie okupacji do wykładowców należeli m.in. prof. Wacław Moraczewski (brat byłego premiera RP, przedwojenny rektor uczelni, wykładał chemię w gmachu przy ul. św. Mikołaja, pozostał we Lwowie po 1945 r.), prof. Zofia Sembratowa – histolog, prof. Andrzej Klisiecki – fizjolog, prof. Wincenty Skowroński – farmakolog, prof. Kazimierz Szczudłowski – chirurg, ortopeda, prof. Alfred Trawiński – bakteriolog, specjalista ekspertyzy sanitarnej, współpracownik prof. Rudolfa Weigla. Zajęcia z zootechniki prowadził prof. Władysław Herman, jednocześnie komendant Armii Krajowej. Remigiusz



Węgrzynowicz wspominał: *Swada, z jaką wykładał, nie budziła najmniejszych podejrzeń, że dźwiga ciężar dowództwa okręgu AK. Prof. Aleksander Zakrzewski powoływał, że anatomia patologiczna jako przedmiot martwy ożywał w naszej wyobraźni. Bardzo wymagający był przybyły z Warszawy prof. Konstanty Łopatyński, u którego egzamin trwał w nieskończoność. Remigiusz Węgrzynowicz relacjonował, że profesorowie (nawet ci narodowości ukraińskiej, których liczba zwiększyła się w 1942 r.) zaczęli wykład po niemiecku, a w trakcie przechodzili na język polski. Przybyły z Warszawy prof. Andrijewski (prawdopodobnie pochodzenia białoruskiego) wykładał za to w swoistym dialekcie: *Wir müssen wissen, dass mokry nos to tiazka boleżń. Dziadek zawsze podkreślał, że mimo okresu okupacji profesorowie nie przewidywali ulgowej taryfy. Chwała im za to!* Dodawał też ze szczerością: *Po wielu latach nieuctwa w gimnazjum, musiałem wypracować technikę uczenia się. [...] Silna motywacja, że muszę przyswoić określoną wiedzę w limitowanym czasie, w trudnych warunkach zakłócanych zdarzeniami wojny, wyzwalała energię do pokonania tych trudności.* Zajęcia prowadzono zarówno w salach dydaktycznych, jak i w klinikach. Praktyki odbywały się w Sokołowie koło Rzeszowa.*

W tym czasie Remigiusz wyprowadził się z rodzinnego mieszkania i zajmował różne garsoniery. Mimo trudności związanych z życiem pod okupacją mój Dziadek wspominał ten okres dość dobrze, nawet z radością. Pamiętał na przykład, że sprzedające na placu lwowskie przekupki znalazły studentów i często dawały im więcej żywności, niż wynosiła wartość zapłaconej kwoty.

W okresie okupacji niemieckiej Remigiusz Węgrzynowicz odznaczył się też udzielając pomocy Scharlotcie Katz, ukrywającej się Żydówce, którą przyprowadził jego przedwojenny kolega Tadeusz Słowik. W ciasnym jednopokojowym mieszkaniu przy ul. Królowej Jadwigi 24 (lokum w tej samej kamienicy zamienił na mniejszą po wyprowadzce matki na ul. Zamkniętą) przez trzy miesiące ukrywał Scharlottę. Raz nawet wyszli razem do kina, raz na sylwestra do znajomych, gdzie było mieszkanie z zamaskowaną kryjówką w łazience (na szczęście okazała się niepotrzebna). Wydaje mi się, że właśnie dzięki „normalnemu zachowaniu” nie stracili na ulicy czujności i umiejętności przetrwania, choć oczywiście jest, że cała kamienica doskonale wszystko wiedziała (wejście do mieszkania prowadziło wyłącznie od wspólnej wewnętrznej galerii) i jednocześnie trzymała w głębokim sekrecie. Fałszywe dokumenty Scharlotcie dzięki umiejętnościom plastycznym wystawił brat Remigiusza – Artur (co robił niejednokrotnie). W lutym 1943 r. po Scharlotte zjawił się przyjaciel Słowika, który eskortował ją do następnej kryjówki. Przeżyła i w 1948 r. wyszła za mąż za Tadeusza Słowika. Dziadek zawsze pomoc tę traktował jako coś najbardziej naturalnego, oczywistego. Utrzymywał zresztą z „Lotką” (jak ją nazywał) kontakt do końca życia (zmarła w 1992 r.). Także w domu Marii Węgrzynowiczowej i jej siostry Jadwigi Petrusowej przechowana została dziewczynka, Ewa, wnuczka adwokata Rabinera, która szczęśliwie przeżyła okupację i zamieszkała później w Izraelu.

Ostatnim lwowskim adresem Remigiusza Węgrzynowicza była garsoniera w narożnej kamienicy przy ul. św. Teresy 2a. Tam w roku 1944/1945 już pod władzą sowiecką uczył się do egzaminów w Lwowskim Instytucie Weterynaryjnym. Absolutorium uzyskał w 1945 r. Należał do ostatniego rocznika lwowskiej weterynarii na *de facto* polskiej



uczelnii. Ponieważ Lwów został ostatecznie wcielony do ZSRR, w tym samym 1945 r. Dziadek zmuszony został na zawsze opuścić swoje rodzinne miasto.

Wyjechał do Wrocławia, gdzie znalazła się wcześniej jego matka z kuzynem. Tam na Wydziale Weterynarii Uniwersytetu we Wrocławiu został asystentem, prowadząc pierwsze ćwiczenia z botaniki. Jednocześnie kontynuował studia na Wydziale Lekarskim. W 1946 r. otrzymał dyplom lekarza weterynarii na UMCS w Lublinie, gdzie wykładał prof. Trawiński. W 1946 r. rozpoczął pracę w lecznicy weterynaryjnej w Słubicach. Tam właśnie rok później przyszła na świat moja mama. Dziadek pracował też w lecznicach w Szczecinie i Międzyzdrojach z przyjacielem Kajem Jaworskim, który zamieszkał potem w Krakowie. W 1959 r. na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej Wyższej Szkoły Rolniczej we Wrocławiu uzyskał stopień doktora, a w 1965 r. habilitację.

W 1966 r. zamieszkał w Szczecinie, gdzie organizował włączenie Wydziału Rybactwa (działającego wcześniej w Olsztynie) do struktur Wyższej Szkoły Rolniczej w Szczecinie (od 1972 r. – Akademii Rolniczej). Zorganizował tam Katedrę Fizjologii Ryb. Pełnił też funkcję prodziekana. W 1987 r. otrzymał tytuł profesora zwyczajnego. Wśród wielu zajęć i seminariów przez kolejne lata prowadził m.in. wykład nt. fizjologii ryb. Specjalizował się w fizjologii porównawczej i farmakodynamice układu krążenia zwierząt domowych, później w zmianach fizjologicznych zachodzących pod wpływem zmian środowiska zwierząt wodnych. Wśród wielu organizacji, do których należał, odznaczył się m.in. jako: prezes Polskiego Towarzystwa Fizjologicznego w Szczecinie, założyciel i wieloletni prezes Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Szczecinie, a także wieloletni prezes szczecińskiego oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa. Niejednokrotnie publikował na łamach „Cracovia Leopoldis” i „Semper Fidelis”. Przez kolejne lata na Akademii Rolniczej mojemu Dziadkowi jako pomoc techniczna towarzyszył pan Juliusz Niedzielski – również lwowianin. Uroku dodawało to, że obaj mówili do siebie bałakim (pan Juliusz inaczej nie mówił), co do dziś pamięta niejeden dawny student, w tym moi rodzice. W 1990 r. Remigiusz Węgrzynowicz w pierwszych wolnych wy-

borach uczelni otrzymał godność rektora Akademii Rolniczej w Szczecinie. Pod jego kierunkiem wykonano siedem prac doktorskich i jedną habilitacyjną. W dowód zasług otrzymał Krzyż „Polonia Restituta”. Uczelnię odwiedzał często także po przejściu na emeryturę, gdzie długo jeszcze miał swój gabinet z widokami Lwowa na ścianie. Ostatnie lata spędził, nie wychodząc z domu, ale dzięki temu, że po 80. roku życia nauczył się obsługi komputera (i Internetu), miał kontakt z całym światem. Zmarł w miesiącu, w którym skończyłby 97 lat. Został pochowany z dala od Lwowa, na Cmentarzu Centralnym w Szczecinie (nr kwatery 77, rząd 10).

Dziadek Remigiusz zawsze mnie wspierał w moich naukowych planach, a wręcz mobilizował do dalszych działań. Zaraz po uzyskaniu przeze mnie magisterium pytał, kiedy zobaczy mój doktorat. Na szczęście mogłem sprostać tym oczekiwaniom. Recenzja Dziadka (obszerna i bardzo pozytywna) przyszła do mnie wcześniej niż od pozostałych (oficjalnych) recenzentów. Dwa lata później w lutym 2018 r. Dziadek pisał po lekturze mojej drugiej książki *Muzyka we Lwowie: Bardzo ładnie wydana. Tak miło było wracać do kraju lat dzieciennych*. Była to ostatnia moja praca, którą Dziadek poznał, a ja otrzymałem od Niego słowo na jej temat. Z pewnością osoba Dziadka Remigiusza miała ogromny wpływ na wszelkie inspiracje związane ze Lwowem, który był wciąż między nami przywoływany podczas naszych spotkań. Bardzo jestem Mu za to wdzięczny.



Autor z mamą Izabellą i dziadkiem Remigiuszem (1999)

**Jarosław Krasnodębski**

## **Józef Grabowski (1901–1977) – kierownik Muzeum Pokuckiego w Stanisławowie**

**W** życiu kulturalnym międzywojennego Stanisławowa ważną postacią był lwowianin Józef Grabowski. Urodził się w stolicy Galicji 17 marca 1901 roku i tam spędził swoje dzieciństwo oraz młodość. Uczęszczał w tym mieście do szkoły powszechnej i X Gimnazjum Humanistycznego. Jako młody chłopak brał czynny udział w walkach o niepodległość i kształt granic odrodzonego państwa polskiego. Odbył służbę w Legionach Polskich, wstąpił także do Wojska Polskiego. Uczestniczył w trzecim powstaniu śląskim i w wojnie polsko-ukraińskiej o Lwów. Za walkę o wolność kraju odznaczono go Krzyżem Niepodległości. Pamiątką po tych zmaganiach była ciężka rana na nodze, która pozostawiła mu uszczerbek na zdrowiu powodujący na trwałe sztywność kolana.

Nie przeszkodziło to Grabowskiemu w kontynuowaniu dalszej nauki. W latach 1923–1929 podjął on bowiem studia na Uniwersytecie Jana Kazimierza. Równocześnie spróbował sił jako dziennikarz, początkowo będąc reporterem, następnie objął funkcję recenzenta artystycznego w „Gazecie Lwowskiej”. Ciekawostką jest to, jak ustaliła Zofia Jeż-Jarecka, że miesiąc przed promocją doktorską zdał egzamin dojrzałości jako ekstern w gimnazjum w listopadzie 1929 roku. Po czym 7 grudnia odbyła się wspomniana promocja na doktora filozofii, której dokonał historyk profesor Adam Szelański. Krótko po tym wydarzeniu Grabowski przeniósł się do Stanisławowa, gdzie dość szybko rzucił się w wir pracy kulturalnej.

Dokładnie nie wiadomo, kiedy przybył on do grodu Potockich, było to zapewne około połowy 1930 roku, gdy objął funkcję konserwatora Zbiorów Miejskich w Stanisławowie. Grabowski łączył więc dwie funkcje: kierowni-



ka Muzeum Pokuckiego i Biblioteki Miejskiej im. W. Smagłowskiego. Na co dzień prowadził swoje biuro w budynku dawnego Bazaru Miejskiego obok katedry greckokatolickiej. Nowo mianowany konserwator swoje działania skoncentrował głównie wokół rozwoju Muzeum Pokuckiego tj.: 1) *kompletowania zbiorów*, 2) *organizacji współpracy społeczeństwa*, 3) *organizacji wystaw dzieł sztuki*.

Kompletując zbiory muzeum dotarł do wielu regionalnych zbieraczy i instytucji na Pokuciu i Huculszczyźnie. Aby pozyskać jak najwięcej eksponatów Grabowski wyjeżdżał w teren i osobiście pozyskiwał przedmioty, był obecny na wykopaliskach archeologicznych, prowadził także badania naukowe skoncentrowane na malarstwie pokuckim na szkłe. Zwieńczeniem jego prac było otwarcie stałej wystawy muzealnej podczas Dni Ziemi Stanisławowskiej 16 września 1933 roku. Jego najważniejszą część kolekcji stanowiły obrazy na szkłe, które z ogromną pasją kompletował Grabowski. Pod szyldem muzeum jego kierownik organizował wystawy artystów lokalnych, co było zupełnie nowym zjawiskiem kulturalnym w Stanisławowie. Jako konserwator Zbiorów Miejskich Grabowski doprowadził do otwarcia Biblioteki Miejskiej im. W. Smagłowskiego w ramach tych samych Dni Ziemi Stanisławowskiej, tyle że 15 września.

Grabowski zaangażowany był, tak jak przed laty we Lwowie, w pracę pisarską. Publikował na łamach „Kuriера Stanisławowskiego” szereg artykułów na temat regionu, z czego kilka o charakterze badawczym, dotyczących chociażby dziejów pomnika



Mickiewicza i kolegiaty w Stanisławowie. W latach 1931–1932 sprawował nawet funkcję redaktora naczelnego tego „Polskiego organu kresowego”. Grabowski nie szczędził czasu i w ramach stypendium Funduszu Kultury Narodowej prowadził badania nad sztuką ludową, wyjeżdżając do Austrii, Rumunii, Węgier i Czechosłowacji.

Jego aktywność przejawiała się również na polu społecznym. Angażował się bowiem w prace różnych miejscowych towarzystw jako członek między innymi Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, Ekspozytury Towarzystwa Przyjaciół Huculszczyzny, Towarzystwa Przemysłu Ludowego i Oddziału Towarzystwa Badań Historii Obrony Lwowa i Województw Południowo-Wschodnich. Z ramienia PTK wygłosił na ten przykład szereg wykładów na tematy regionalne dedykowane zarówno dla młodzieży, jak i dorosłych. Oповідаł o stylach w architekturze, poruszał zagadnienia rzeźby i ceramiki huculskiej.

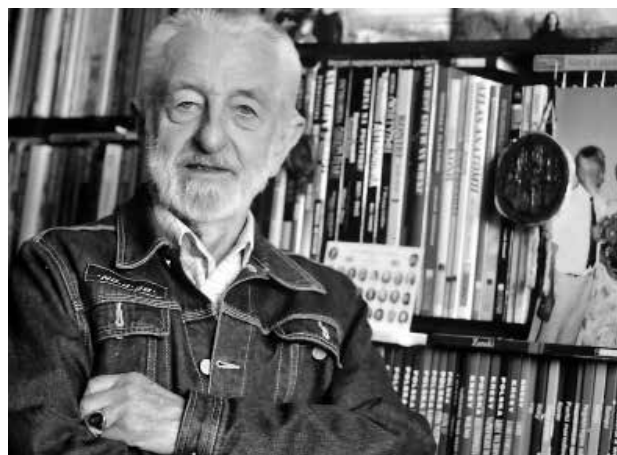
Na przełomie 1935/1936 Grabowski z niewiadomych nam przyczyn wyjechał ze Stanisławowa i osiadł w Warszawie, gdzie, jak się okazało, zamieszkał na stałe. Nie przestał jednak zajmować się sztuką ludową, która stała się jego głównym zainteresowaniem badawczym. Pracował najpierw w Muzeum Narodowym jako kierownik działu oświatowego, a od 1944 roku jako muzealnik zajmował wysokie stanowiska urzędnicze w PKWN, a później w Ministerstwie Kultury i Sztuki. W 1946 roku utworzył Państwowy Instytut Badania Sztuki Ludowej, który wkrótce został zamknięty przez aparat państwowy. Po 1948 roku Grabowski stracił także pracę, gdyż władze były niezadowolone z faktu zamieszczenia w czasopiśmie PIBSL zbyt dużej liczby fotografii obiektów sakralnych. Jak pisze Zofia Jeż-Jarecka w *latach 1955–1957 J. Grabowski współpracował z IHKM [Instytut Historii Kultury Materialnej] PAN. Dopiero wtedy odmieniły się jego losy*. Uzyskał docenturę, zatrudnił się także przez jakiś czas w wydawnictwie „Arkady”. Ostatnim miejscem jego pracy było Państwowe Muzeum Etnograficzne, gdzie w latach 1963–1973 objął funkcję kustosa. Po kilku latach 22 maja 1977 r. Józef Grabowski zmarł, po czym został pochowany na warszawskich Starych Powązkach. Jego żona Marcelina (1912–1986) była literatką, autorką powieści, której akcja toczyła się w Stanisławowie.

Piotr Boron

## „Emin” i jego lwowscy przodkowie

„Emin” – tak z szacunkiem i poufałością nazywali Marka Eminowicza zaprzyjaźnieni z nim absolwenci V Liceum Ogólnokształcącego im. Augusta Witkowskiego w Krakowie. „Emin” po turecku znaczy „pewny” w znaczeniu „bezpieczny”. Takim go znałem jako szefa wypraw turystycznych, a jeździłem z nim pół świata! Było to w czasach, gdy dla Polaków samo zdobycie paszportu i wizy do większości państw było już nie lada sukcesem. Gdy po latach wspominamy ze znajomymi Marka, to wielu przyznaje, że gdyby nie on, to wobec tylu przeciwności, ile trzeba było pokonać, by np. w 1986 roku pojechać choćby do Włoch, w ogóle zaniechaliby realizacji marzeń. Tymczasem uparty Emin dopinał swego. Ale wyprawy po świecie to tylko – choć bardzo ważny – aspekt jego życiorysu. Dla tysięcy krakowskiej młodzieży był przede wszystkim – jak to później określano – legendarnym, kultowym czy epickim profesorem licealnym, o którym krążyły legendy, ustępujące jednak rzeczywistości. Spisywano jego powiedzonka w zeszytach, rysowano karykatury, parodiowano i uwielbiano jego opowieści historyczne. Tu trzeba zaznaczyć, że nie pasowały do dzisiejszych standardów

Emin kochał książki, mówił, że samej „serii Ceramowskiej” ma półtora metra garbów – i on to przeczytał!





Na Masadzje był taki upał, że chłodziliśmy się w antycznej cysternie pół godziny...

szkolnych, bo nie głosił partnerstwa, prze-  
rażał tzw. pacyfikacjami, czyli odpytywaniem  
na niedostateczny dziesiątek uczniów za  
pomocą jednego pytania, bo zwalniał po  
kilku uczniów z lekcji, by załatwiali różne  
rzeczy na mieście, itp. Ale też czuliśmy, że  
po prostu nas kocha, jak belfer starej daty,  
który zafascynowany swoim przedmiotem,  
mięknie, gdy widzi u kogoś podobną pasję.  
I wreszcie wyznać muszę, że był całkowitym  
zaprzeczeniem upadającego autorytetu  
polskiej szkoły. On po prostu czuł się świet-  
nie jako pedagog w szkole średniej, zaraził  
mnie tym i miałem zaszczyt objąć po nim  
katedrę historii w V LO.

Ze wspomnień o nim jako bardzo zna-  
mienne powtarzam to o przepytывaniu na  
lepszą ocenę uczniów przed obcymi klasami  
(dziś niedopuszczalne, a kiedyś mobilizują-  
ce i atrakcyjne). Mojej klasie przypadło  
zatem w udziale świadkować takiej „jatkę”  
z udziałem Roberta Makłowicza (może też  
Ormianina), który jako wartość dodaną za-  
serwował książkę o Ptolemeuszach, którą  
ponoć przeczytał niedawno. Emin spojrział  
na niego z litością i wycelował w niego dość  
elementarne pytanie: *No to, Bobek, wy-  
mień mi tych Ptolemeuszy po kolei...* Robert  
bez mrugnienia okiem zaczął: *Ptolemeusz  
Pierwszy, Ptolemeusz Drugi, Ptolemeusz  
Trzeci...* I nagle usłyszeliśmy wrzask: *Za-  
liczyłeś! Masz cztery i niech cię nie widzę!*  
Oczywiście w tych słowach brzmiała sym-  
patia, a nie żaden mobbing (jakby to dziś  
ktoś określił). Już wkrótce Robert dołączył  
do składu wakacyjnej wyprawy i rozsiewał  
inteligentny humor w tym stylu, jaki znają

telewidzowie. Charakterystyczne, że bodaj  
wszystkie przepisy kulinarne podlewa histo-  
rycznym sosem, co nadaje im szczególne-  
go smaku. I chyba właśnie Emin żyje także  
w nim do dziś, jak w wielu absolwentach.

Za młodu wiele czytał (podobno nawet  
wszystko Kraszewskiego) i stawiał opór ko-  
munizmowi (co przyplacił obozem dla młodo-  
ciany przestępców w Jaworznie), a póź-  
niej uwielbiał życie w chatce na Magórze,  
skąd rozpościerał się cudowny widok na  
Babią Górę. Nigdy nie odstąpiła go pasja  
kolekcjonowania książek, a do końca życia  
korzystał z każdej okazji, by coś zwiedzać  
na całym świecie.

Dla mnie był przede wszystkim starszym  
przyjacielem, z którym miałem wspólne pa-  
sje – a nade wszystko zamiłowanie do hi-  
storii, z którym spędziłem wiele czasu na  
budowie i gospodarowaniu w górskiej cha-  
cie, na rozmowach o Cezarze, Napoleonie  
i Eminowiczach (o których wydał w niewiel-  
kim nakładzie książkę, której egzemplarz do-  
stałem ze wzruszającym wpisem), wędrow-  
kach górskich pieszo i nartach ślądówkach,  
grze w kości i brydża, na milczeniu... Dlatego  
siadam do wspomnień o nim z pragnieniem,  
aby spisać je jak najlepiej i z ogromną oba-  
wą, że nie odmaluję go w odpowiednich  
barwach, bo był człowiekiem nietuzinkowym.  
Nie wiem nawet, od czego powinienem za-  
cząć. On stwierdziłby zapewne w pierwszych  
słowach, że wywodził się z ormiańskiego  
rodu, a jego przodkowie dołożyli znaczącą  
kwotę do zbiórki pieniędzy wśród kupców  
lwowskich, aby wynegocjować z Chmielnic-  
kim w 1648 roku ominięcie Lwowa przez  
jego buntowniczą armię.

Przyłączenie Armenii do Turcji oznacza-  
ło znaczące zwiększenie migracji Ormian,  
którzy już od najdawniejszych czasów prze-  
jawiali skłonności do kupiectwa. W Kazi-  
mierzowskim Lwowie w połowie XIV wieku  
odnotowywano sporą ilość Ormian, cieszą-  
cych się odrębnością i autonomią religij-  
ną, samorządową i sądowniczą. Przywileje  
te potwierdził uroczyście w 1519 roku król  
Zygmunt i w Statucie Ormiańskim zawarł  
stary zbiór ich praw, zwanych „Datastana-  
girk”. Już od 1367 roku Ormianie mieli we  
Lwowie swe biskupstwo, a po utworzeniu  
dalszych biskupstw w Kamieńcu Podolskim  
i Łucku awansowano Lwów do rangi arcy-  
biskupstwa. Z początkiem XVII wieku Or-

mianie zawarli z papieństwem unię, podobną do brzeskiej, pozostawiając sobie odrębność w liturgii, a uznając biskupa Rzymu za zwierzchnika w jedności chrześcijańskiej. I rzecz ciekawa, ale – jak twierdzi wielu historyków z Markiem Eminowiczem włącznie – właśnie te wolności i dobre traktowanie zbliżały Ormian do polskości przy równoczesnym pielęgnowaniu rodzimych tradycji.

W 1628 roku osiedlił się we Lwowie kupiec ormiański, przybyły prawdopodobnie z Ankary Murad Eminowicz i ożeniwszy się z Anną Steckowiczówną, został członkiem gminy ormiańskiej. Gdy ćwierć wieku temu spacerowałem z Eminem po Ankarze, podkreślał, że jest mu bliska rodzinie. To notabene było charakterystyczne u Marka, że silniej nawet niż przeciętni historycy czuł więź z odległymi czasami i w jego oczach nie tylko zabytki, ale i puste pola, gdzie kiedyś wydarzyło się coś ważnego, odżywały na nowo w wyobraźni. Gdy zatem wyprawiliśmy Murada z Ankary, odnaleźliśmy go ponownie we Lwowie, przy którymś z kolejnych wyjazdów. Było to konkretnie w katedrze, gdzie zapewne wielokrotnie był. Poszliśmy też na ul. Ormiańską, przy której Murad miał kamienicę, co potwierdza kilka źródeł historycznych (np. Zubrzycki, *Kronika miasta Lwowa*). Był patrycjuszem i gdy po jego śmierci 17 stycznia 1646 roku realizowano jego testament, ukontentowało się wielu z jego zapisów charytatywnych, np. wspólnota religijna, która otrzymała *kielich, krzysz y ornat z zupełnym aparatem do Eczmiadzinu*. Wielki spadek pozostawił przede wszystkim swym dwóm nieletnim jeszcze synom: Mikołajowi i Stefanowi, którzy mieli pozostać pod opieką specjalnej komisji, złożonej z krewnych i powinowatych. Oni też wkrótce zadysonowali wielką sumą ok. 20 tysięcy złotych polskich, którą Mikołaj i Stefan mieli otrzymać po osiągnięciu dorosłości. O tym, jaka to była kwota, najlepiej świadczy fakt, że w tym samym czasie roczne przychody określanego przez prof. W. Czaplińskiego jako najbogatszego magnata Rzeczypospolitej, czyli Dominika Zasławskiego, szacowano na 200 tys. złotych. Pod Lwów podeszli Bohdan Chmielnicki z Tuhaj-Bejem i trzeba było podjąć szybką decyzję, czy próbować wykpić się jakimś okupem, czy próbować obronić się za wszelką cenę. Wzrok przerażonych mieszczan padł oczywiście na patrycjusza,

a wśród nich Ormian, którzy nie odmówili i między innymi spadek Murada Eminowicza posłużył do tego celu. Ze źródeł wynika, że w kolejnych latach powracała do jego synów wyasygnowana kwota w ratach. Gdy w 1657 roku osiągnęli pełnoletność, przejęli też kamienicę, którą podzieliли się po połowie.

Stefan Eminowicz figurował w dokumentach jako „generosus” i „nobilis”, czyli szlachcic. Jego potomkowie pieczętowali się herbem „Dołęga”. Jak wynika z zapisu testamentalnego, już Murad miał w swoich zbiorach piękne karabele i koński rząd turecki wielkiej urody, co mogło świadczyć o tym, że posiadał tytuł szlachecki. Stefan tytułowany był w aktach grodzkich Lwowa jako „Gubernator palatii sacrae regiae maiestatis”, co z największym prawdopodobieństwem oznacza, że był zarządcą zamku królewskiego (choć nie kasztelanem). O jego pozycji społecznej i aktywności politycznej świadczą liczne dokumenty, łączące go z rodziną Sobieskich, którzy mieli w tym samym czasie we Lwowie swoją kamienicę.

Mikołaj Eminowicz ożenił się z Marianą Bernatowicz, córką bodaj najbogatszego mieszczanina lwowskiego w XVII wieku. Mieli kilkoro dzieci, z których dwaj synowie Gabriel i Krzysztof przenieśli się do Krakowa. Gabriel otrzymał w 1687 roku obywatelstwo krakowskie, a po jego śmierci osiadł w Stołeczno-Królewskim Grodzie Krzysztof Eminowicz, którego syn Benedykt potwierdził swoje szlachectwo specjalnym indygenatem i od którego Marek Eminowicz wywiódł swoje pochodzenie. We Lwowie pozostało inne potomstwo Mikołaja.



Karolina Grodziska

## *Józefa Dunin-Borkowskiego refleksja w Trembowli*

Najstarszą z kaplic na cmentarzu Łyczakowskim ufundował w 1812 r. Leonard Wincenty Dunin-Borkowski, podkomorzy w czasach Stanisława Augusta Poniatowskiego, później członek Stanów Galicyjskich, po śmierci ukochanej żony Ignacji z Ostrorogów. Ta nader ciekawa pod względem architektonicznym i rzeźbiarskim budowla – właściwie mały kościółek – z fasadą zwieńczoną figurą Charona, przewoźnika dusz zmarłych przez Styks, stała się grobowcem szeregu osób z tej zasłużonej i niezwykle ceniącej naukę i sztukę rodziny, mecenasów kultury, często obdarzonych literackimi uzdolnieniami. Jest ona niezwykle charakterystycznym punktem na trasie zwiedzania cmentarza Łyczakowskiego.

Spoczywa tu także młodo zmarły Józef Dunin-Borkowski, bratanek fundatora kaplicy. Urodzony w 1809 r., nauki pobierał początkowo w Warszawie, w konwiktie pijarskim, następnie w liceum kierowanym przez wybitnego leksykografa, Bogumiła Samuela

Lindego. Później kontynuował naukę już we Lwowie, gdyż przepisy austriackie nie zezwalały na kształcenie dzieci za granicą i – co dość nieoczekiwane – w Czerniowcach. Tu oprócz filozofii poznał język rumuński i grecki, gdyż spora kolonia greckich emigrantów mieszkała wówczas w Czerniowcach. Dopiero w 1829–1830 r. Borkowski trafił na studia do Wiednia. Nie trwały one jednak długo: na wiadomość o wybuchu powstania młody człowiek przez Lwów ruszył do Warszawy – do walki.

Do rodzinnego miasta powrócił na stałe w 1832 r., niestety jednak przyszło mu zmagać się z postępującą gruźlicą, która w 1843 r. przerwała jego świetną już karierę naukową i literacką.

Dość rzadka nawet w owym czasie fascynacja greką w połączeniu z talentem poetyckim uczyniły z Borkowskiego zarówno poetę filhelleńskiego, jak i tłumacza dzieł Homera i Hezjoda, autora antologii poezji greckiej (we własnym przekładzie) i autora szeregu

Zamek w Trembowli.





prac naukowych, których mogłoby być nieporównanie więcej, sądząc z pozostawionych przezeń materiałów rękopiśmiennych: część z nich złożyła się na wydane pośmiertnie dzieło pt. *Grecyzna w Polsce*. Dodajmy też, że oprócz studiów nad greką Borkowski dużo publikował w prasie warszawskiej, krakowskiej, lwowskiej i mołdawskiej, a tłumaczył też pisarzy współczesnych: Aleksandra Dumasa i Wiktora Hugo.

Trzydzieści lat po jego śmierci wydano we Lwowie nakładem Kajetana Jabłońskiego tom jego poezji. Znajdujemy tam uroczą *Mowę kwiatów*, znajdujemy ironiczne sonety, zwane *Półtewami*: *Półtewa z rana* i *Półtew wieczorem*, będące bynajmniej niesielankowym obrazkiem życia miejskiego we Lwowie. Znamy (jak Stefan Treugutt) zaliczali je do rzadkich w literaturze polskiej sonetów miejskich.

Tu chciałabym przytoczyć jednak inny wiersz z tego rzadkiego już dziś tomu, znajdującego się w Bibliotece Polskiej Akademii Umiejętności. To utwór: *Trębowla*. Nie wiemy, kiedy i w jakich okolicznościach Borkowski zwiedził to niezwykle miejsce, które wywarło na nim ogromne wrażenie. Musiało to być późne lato (*liść płowy i kity dziewanny*), okolica była opustoszała, a kontrast między obecną pustką i ruiną a heroiczną przeszłością twierdzy – uderzający.

Powstał więc poniższy wiersz. Jest romantyczny, nastrojowy i bardzo młodzieńczy. Szkoda, że tak niewiele w nim o pani Dorocie Chrzanowskiej i jej mężu, dowód-

cy zamkowej załogi. Borkowski, tak mocno wyczulony na zmagania greckich powstańców w walkach z Turcją, oblężenie twierdzy Missolonghi i śmierć tamże wielkiego George'a Byrona, wczuł się w obronę Trembowli przed Turkami i Tatarami i niezwykłą postać Doroty Chrzanowskiej – wzoru dla kobiet późniejszej epoki. Ale jako największego wroga postrzegał, jak się wydaje, czas, który zaciera pamięć, a na murach dawnej niezwykłej twierdzy „z chwastu rozwiesił całuny”.

Zatem oddajmy głos Borkowskiemu:

## *Trębowla*

Tu dłoń niewieścia i różane lice  
Stali pierś męską, żelazne prawice,  
Potężną wolą dusza nie poddańcza  
Zgniotła pohańca, co zbiegł jak szarańcza.

U spodu góry cicha Gniezna płynie,  
Długo się wijąc i srebrząc w dolinie.  
Gdy noc opadnie, mowę dnia przytłumi,  
Słychać ją, zda się, że o zamku szumi. [...]

Dzisiaj cię złoci zorza świtająca  
I w dziwnej białości stroi blask miesiąca.  
Życiem – owadów szelest nieustanny,  
Wieńcem liść płowy i kity dziewanny.

W oddali widać wioskę, milczą wrota,  
Ni psów nie słychać, ni sroki u płota,  
Taka tam cichość, jak gdyby Tatarzy  
Zalegli wzgórze, obsadzili jary.

Wiecznością – pamięć, bo w twojej ruinie  
Sławnej niewiasty imię nie zaginie;  
A w tych podziemiach duch rozwalin woła:  
Matki, dla waszych córek tutaj szkoła!

Dzisiaj na tobie sędziwy mech siedzi,  
Grzmot cię roztrzęsa i piorun odwiedzi;  
Słota cię czerni, zimowa śnieżnica  
Tłucze cię mrozem w nieokryte lica.

Spomiędzy cierni i głogów na górze  
Miga szczyt grodu, co szczyt gubił w chmurze.  
Ta garść kamieni... Ty żeś to, o grodzie?  
U stóp ci rzeka płynie, lecz w jej wodzie

Się nie zwierciedlisz, opadły twe skrzydła,  
Runęły baszty, spelzły malowidła,  
Mury rozłukły wojny i pioruny,  
A czas ci z chwastu rozwiesił całuny.

Urszula Kogut

# Czas wojny we Lwowie

**P**atrzę wstecz, przypominam sobie siebie – dziewczynkę, która przeżywała wydarzenia wojenne we Lwowie, i spróbuję opowiedzieć to tak, jak to zostało w moim sercu, mojej pamięci.

Urodziłam się 29 czerwca 1929 roku w Tarnopolu, wkrótce jednak rodzice przenieśli się do Lwowa. Dzieciństwo spędziłam w malowniczym miejscu, nieopodal Wysokiego Zamku, w dzielnicy Zniesienie.

Gdy miałam 7 lat, zmarła moja Mama (Anna); do pierwszej klasy zaprowadziła mnie już babcia. Póki Mama żyła, w naszym domu zawsze było radośnie. Miałam dwójkę rodzeństwa, siostrę Danusię i brata Zdzisława. Gdy Mamy zabrakło, zostaliśmy z babcią, która zmarła w 1938 roku. Wkrótce wybuchła wojna, Tato (Franciszek Greczkowicz – pochodzenia ormiańskiego) został powołany do wojska. Był żołnierzem kawalerii Wojska Polskiego, słynnego Czternastego Pułku Ułanów Jazłowieckich, który walczył we wrześniu 1939 roku w bitwie pod Wólką Węgłową. O wybuchu II wojny światowej dowiedziałam się dzień przed rozpoczęciem roku szkolnego. Miałam wtedy 10 lat i otrzymałam promocję do czwartej klasy szkoły podstawowej, jednakże wraz z wkroczeniem Armii Czerwonej (17 września) do Lwowa, wszystkich uczniów cofnięto o klasę niżej, uzasadniając to zbyt niskim poziomem nauczania. Nie było już Mamy, nie było babci, zostaliśmy pod opieką ciotki Zofii, siostry Ojca, w domu na Zniesieniu.

Moje pierwsze tragiczne przeżycia wojenne wiążą się z bombardowaniem miasta; ten straszny huk, warkot samolotów słyszę do tej pory. W czasie nalotów razem z rodzeństwem chowaliśmy się w piwnicy. Słyszany wcześniej warkot bombowca wyznaczał atak samolotów i mieszkańcy wiedzieli, że mają mało czasu, aby się schronić. Podczas jednego z takich nalotów ciotka chciała jeszcze przygotować coś do jedzenia, aby nakarmić dzieci w razie długotrwałych nalotów. Kiedy zrobiła krok w kierunku piwnicy, podmuch od spadającej



bomby sprawił, że wpadła głową „na sztorc” do piwnicy. To straszne wydarzenie wciąż jest dla mnie bolesnym wspomnieniem, nawet nie pamiętam momentu, w którym przyjechała karetka pogotowia. Zostaliśmy sami, bez opieki. Na szczęście w sadzie było dużo owoców, mieliśmy co jeść.

Dopóki nasz Tato nie wrócił, mogliśmy liczyć tylko na pomoc sąsiadów. Zajęli się nami i zabrali nas do Krzywczyca. Pewnego razu, podczas nalotów, schroniłam się na polu z ziemniakami. Do dzisiaj pamiętam widok samolotu: leciał nisko i w pewnym momencie zaczął stopniowo wyrzucać bomby, które pikowały. Jak mną rzucało! Raz w ziemniaki, raz w siano, a ja wołałam: „Matko Boska ratuj!”. Po tym zdarzeniu za każdym razem, kiedy słyszałam świst lecących bomb, bolał mnie ze strachu żołądek.

Dzielnica Zniesienie była rejonem częstych ataków bombowców niemieckich, tutaj bowiem znajdowała się słynna fabryka wódek i likierów Baczewskiego, rafineria nafty, fabryka konserw Ruckera, zakłady mięsne, państwowy monopol spirytusowy i dworzec kolejowy Podzamcze. Moje przeżycia wojenne wiążą się właśnie z bombardowaniem Zniesienia. Mieszkałam obok kościoła, który został zniszczony, zginęło trzech księży, gospodyni z siostrą i dwoje dzieci. Zbombardowana została fabryka Baczewskiego, na której terenie znajdowała się moja szkoła, przy ul. Żółkiewskiej paliła się rafineria nafty, fabryka konserw i dworzec kolejowy Podzamcze.

Po kilku dniach, po powrocie do Lwowa, Ojciec nie wiedział, gdzie jesteśmy. Szedł i wołał: Urszula, Danusia, Zdzisek i w końcu odnalazł nas w Krzywczycach. Ulokował nas blisko koszar w małym budynku gospodarczym; tu żołnierze przynosili nam cukier, chleb, zupę, byliśmy tam aż do chwili wejścia Sowieców. Wtedy trzeba było opuścić to miejsce.

Udaliśmy się razem z Ojcem w kierunku ul. Łyczakowskiej w dół, trzymając się blisko Ojca, bo Moskale stali na ulicy z bagnietami i mierzyli w naszym kierunku. Strasznie się bałam, żeby nie strzelili Tacie w brzuch, na ulicy leżało pełno zabitych ludzi i broni. Z początkiem września 1939 roku Niemcy podeszli pod Lwów, zatrzymali się na rogatce Łyczakowskiej, a 17 września weszli Sowieci, walki trwały parę dni.

Po przejściu władzy przez Sowieców, w mieście panował przerażający głód. Aby pomóc finansowo, aby zarobić na chleb, zapisane widokówki zaklejałam z jednej strony białą kartką i sprzedawałam. Zebrane pieniądze były na pewno moim udziałem w przetrwaniu rodziny. Był to czas głodu i na domiar złego panowała ostra zima, a ja codziennie musiałam chodzić do szkoły na godzinę szóstą (wprowadzony został czas moskiewski).

W 1941 roku, po wkroczeniu do Lwowa oddziałów Wehrmachtu, nadszedł w miarę spokojny czas dla Polaków, ale nie dla ludności żydowskiej. Uczniowie w szkołach mieli utrudnione warunki do nauki, ponieważ Niemcy zamienili budynek szkoły na szpital. Poza tym strach był nieodłącznym towarzyszem młodzieży. Osiągnął apogeum, gdy okazało się, że rocznik 1929 (a więc także mój) miał być wysyłany na przymusowe roboty do Niemiec. Dyrektor szkoły Borecki, by ratować lwowską młodzież, pertraktował z Niemcami, aby zamienić pracę w Niemczech na pracę w fabryce trutek na szczury. Tam właśnie pracowałam. Nasi nauczyciele, w czasie kiedy pracowałyśmy w fabryce, organizowali tajne komplety, na których przerabiali z nami materiał szkolny na rok bieżący. Przy ulicy Janowskiej, w prywatnym domu, odbył się egzamin kończący szkołę podstawową.

A po prawej stronie mojego miejsca pracy, na Zamarstynowskiej za mostem, zaczynało się getto. Każdego dnia widziałam żydowskie, brudne, wynędzniałe, wygłodzone dzieci, które próbowały wydostać się z getta. To był bardzo smutny widok. W 1943, w czasie likwidowania

getta, widziałam straszne obrazy, o których nie sposób zapomnieć. Pamiętam obraz ni szczęścia w rodzinie żydowskiego właściciela składu drewna. Matka, która dowiedziała się wcześniej, co im grozi, podała swoim dzieciom i sobie cyjanek. Siedzieliśmy we trójkę z głowami opuszczonymi przy stole, nie mogliśmy o tym głośno mówić, ale wszyscy bardzo to przeżyliśmy.

Przypomniam sobie wydarzenie, w którym cudem zostałam uratowana z rąk hitlerowców. Przyjaźniłam się z Irenką, córką Niemca, która zaprosiła mnie któregoś dnia do kina. Wszystko było takie niezwykle, nieme obrazy, ruch postaci, nagle w czasie trwania filmu zaświecono światło, weszło kilkunastu żołnierzy z karabinami wycelowanymi w kierunku widowni, krzyżąc: „Hände hoch”. Irkę wypuścili z sali od razu, a mnie zostawili, myśląc, że jestem Żydówką. Byłam tuż po wyjściu ze szpitala Jakuba Rappaporta, chorowałam na tyfus, wyglądałam bardzo źle. Odstawili mnie na bok, koleżanka pobiegła szybko po Ojca, któremu udało się mnie zwolnić, a było to trudne, bo nie miałam dokumentów, a z racji



Franciszek Greczkowicz (po prawej), fot. z archiwum rodzinnego



Rodzice Urszuli Greczkowicz-Kogut – Anna Zielińska i Franciszek Greczkowicz, fot. z archiwum rodzinnego

pochodzenia ormiańskiego moja uroda rzeczywiście mogła budzić podejrzenia.

W 1944 roku w końcowej fazie okupacji niemieckiej została zorganizowana i podjęta przez oddziały Armii Krajowej „Akcja Burza”, wkroczyło także Wojsko Polskie i ujawniła się Armia Krajowa. Działo się to bezpośrednio przed wkroczeniem Armii Czerwonej.

Po zajęciu Lwowa przez Armię Czerwoną NKWD zaczął aresztowania dowództwa i żołnierzy AK. W lutym 1945 roku po konferencji w Jałcie Polska utraciła Kresy Wschodnie wraz ze Lwowem.

Obywatele polscy musieli opuścić miasto albo podpisać zgodę na obywatelstwo sowieckie. Miałam już 16 lat, chciałam zmienić decyzję Ojca, zdawałam egzamin do ósmej klasy, żeby dostać się do szkoły, myślałam, że to zmieni wszystko i zostaniemy we Lwowie. Ale nie udało się. Z płaczem, dzień przed wyjazdem ze Lwowa, pobiegłam na cmentarz pożegnać się z Mamą. Wszystko zostało: szafy, meble, wzięliśmy to, co zmieściło się do skrzyni, tzn. książki, rodzinne pamiątki, tyle można było zabrać ze sobą. Tak wyglądała ekspatriacja Polaków na zachód Polski.

A jaka była podróż? W lorach węglowych, po trzy rodziny, kilka tygodni, bez ogrzewania w wagonach. Wagony nie miały dachu, spano na skrzyniach, nikt się nie spodziewał, że w zimie przyjdzie ludziom podróżować w otwartych wagonach. Zapasy żywności wystarczyły na kilkanaście dni, na postojach mężczyźni ryzykowali, oddalając się od stacji, by zdobyć pożywienie, deski na pokrycie dachu, ciepłe okrycia wierzchnie.

Ja to wszystko, co teraz opisuję, widzę, pamiętam, bardzo to przeżywam...

Po długiej, uciążliwej, ale przede wszystkim przepełnionej żalem i smutkiem podróży zatrzymaliśmy się w Bytomiu. Pod koniec 1945 roku wciąż przyjeżdżały transporty ludzi z Kresów. Pamiętam, jak Ojciec zaprosił dwie rodziny na Święta Bożego Narodzenia. To nie była wigilia, to był jeden, wielki płacz. Co kto miał, to się gotowało, spało się na skrzyniach, na podłodze, nikt nie myślał o tym, żeby się inaczej urządzać, gdzieś meldować, bo wierzyliśmy, że wrócimy do Lwowa.

I teraz, u schyłku życia, często myślę, że Lwów jest miastem mojego dzieciństwa i pierwszych radosnych wspomnień. Ale przeżycia z okresu wojny, okupacji sowieckiej i niemieckiej we Lwowie, strach, głód, niepewność jutra, a przede wszystkim brak Mamy, to czas, którego nie da się zapomnieć. Wszystko pamiętam i bardzo tęsknię za Lwowem...

*Opowieść Pani Urszuli to opowieść świadka wydarzeń, które miały miejsce w czasie II wojny światowej. Jej wspomnienia są bardzo szczerze, trochę jeszcze dziecięce, a w miarę upływu tamtego czasu coraz bardziej dorosłe. Często myślę o tym, że m.in. ta tęsknota i miłość do Lwowa przyczyniły się do jej wielkiej aktywności, związanej z tym miastem. Od początku, kiedy pojawiła się taka możliwość, Urszula zaangażowała się w działalność Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Przez wiele, wiele lat pełniła funkcję sekretarza Krakowskiego Oddziału TML i KPW, ale także podejmowała funkcje w Zarządzie Głównym we Wrocławiu, brała udział w akcjach społecznych, mających na celu pomoc Polakom na Wschodzie, zawsze w okresie Wszystkich Świętych i Zaduszek kwestowała na rzecz Cmentarza Łyczakowskiego, z wielkim zaangażowaniem zajmowała się sprzedażą czasopism i książek, a już w krakowskim gronie współdziałała w organizacji spotkań opłatkowych, organizacji spotkań członków i sympatyków naszego Towarzystwa w „Zaufku”, a to, co było niezwykle, to Jej niekończące się opowiadanie o Lwowie, tak w rodzinie – dzieciom, wnukom, jak i każdemu, kto był Lwowem zainteresowany. Opowiadała i nadal opowiada interesująco, barwnie. Imponuje pamięcią, poczuciem humoru... taka prawdziwa lwowianka!*

Spisała i opracowała: Anna Stengl



**Karolina Kołtun**

z tomiku *Bierność mgieł*

## *Ostatnia Droga*

Przyszły wszystkie  
z okolicznych dołów z meniskiem agonii  
odziane w październikową słotę  
– Anioły Cmentarza Orłąt.  
Nierozpoznawalne po twarzach  
tylko po powybijanych skrzydłach  
nieodpuszczonymi grzechami  
i porąbanych duszach  
za cichym  
wybaczam.

Przyszły wszystkie  
na Sąd Ostateczny  
bez Boga  
– jeszcze nie dotarł, jeszcze nie rozgrzeszył...  
Stoją w rzędzie i patrzą  
oczami przekrwionymi ze smutku  
jak unoszą Orłęta z Ziemi,  
która przytuliła je szybciej niż życie.  
Muszą wybrać swojego  
Nieznanego –  
relikwię Ziemi Wypolszczonej  
do której usta można przyłożyć pamięcią i mo-  
dlitwą.  
Szukają świadków historii  
z orzełkiem na piersi zapadłej  
lub skrawka flagi przygniętej czasem.  
Uwierzcie piszczelom,  
oczodołom i prochom  
że krzyczały kiedyś Ojczyźnie w twarz o miłości  
i wierności.

Przyszły wszystkie  
wraz z matkami  
dzieci  
Wielkiej Wojny –  
Bronią z pooraną twarzą  
nieprzespanych tęsknotami nocy  
i z Jadwiną,  
która podchodząc do synowych trumien  
Chrytusowym gestem  
chciała wskrziesić  
parę imion i kości.  
Poniosły wszystkie,  
wspierając się o kule losu,  
dębową trumnę  
Bezimiennego Strzelca

– wybrańca Narodu Polskiego  
na plac Saski  
do nowego grobu  
wymoszczonego łzawymi modlitwami.

Zostawili mu czapkę  
maciejówkę  
z omszałym orzełkiem  
by w kondukcje historii  
kłaniał się  
przydrożnym krzyżom.

## *Madonna*

Odkrywam Cię  
Ziemio Kresowa,  
jak mapę  
dzieciństwa  
wszystkich udręczonych  
pielgrzymów,  
którym dom młodości  
pachnie nadal chlebem.  
Odkrywam Cię  
powoli,  
z namysłem,  
może westchnieniem.  
Odkrywam  
drogi zarośnięte trawą ugorną,  
sadki bezowocowe,  
krzyże polne,  
Chrytusowe,  
co potrzebują modlitwy  
by ustać samotnie.  
Odkrywam  
ruiny  
spalonych świątyń,  
bezdasznych,  
by do nieba było bliżej.  
Odkrywam  
cmentarze  
wołyńskich męczenników  
i pustki stepowe,  
co nigdy pustkami nie były.

Odkrywam Cię  
Ziemio Kresowa.  
Piękna jesteś,  
Madonno  
tęsknot  
w szkarłatą  
historii  
ubrana.



**Kamil Woźniak**

## GMACH GŁÓWNY POLITECHNIKI LWOWSKIEJ PO REMONCIE



**W** nieodległej przyszłości na turystycznej mapie Lwowa pojawi się prawdopodobnie nowe, zachwycające miejsce. 25 września 2020 roku w Gmachu Głównym Politechniki Lwowskiej odbyło się uroczyste otwarcie odrestaurowanych, zabytkowych przestrzeni – Auli oraz Sali Starej Biblioteki według projektu Juliana Zachariewicza. Ten słynny polski architekt urodził się w 1837 roku we Lwowie. Uczęszczał tam do gimnazjum, a następnie rozpoczął studia we Lwowskiej Akademii Technicznej, studiował również na Politechnice Wiedeńskiej. W 1871 roku został zatrudniony jako wykładowca na swojej rodzimej uczelni. Był jej rektorem w latach 1877–78 oraz 1881–82, a także dziekanem Wydziału Architektury od 1872 do 1877, a profesorem wykładowcą aż do śmierci, czyli do roku 1898.

Znany jest przede wszystkim jako autor wielu budynków we Lwowie. Wystarczy wymienić chociażby Galicyjską Kasę Oszczędności na Wałach Hetmańskich, dom artysty malarza Jana Styki przy ulicy Mickiewicza czy rodzinną willę „Julietkę” na Kastelówce. Dzięki zabiegom w Wiedniu Namiestnika Galicji, hrabiego Agenora Gołuchowskiego,



udało się uzyskać pozwolenie i finanse na budowę nowego gmachu Akademii Technicznej. Julian Zachariewicz został wybrany do sporządzenia projektu nowej siedziby uczelni, miał wówczas tylko 35 lat. Wspaniały, monumentalny gmach w popularnym w owych czasach neorenesansowym stylu, zachwyca do dziś. Możemy go podziwiać nadal przy dawnej ulicy Leona Sapiehy. Niestety już nie w oryginalnej karminowej barwie. Taka ciekawa kolorystyka przetrwała zabór austriacki, II RP, dwie wojny światowe, nawet czasy ZSRS i dopiero w 2005 roku już w wolnym, niepodległym państwie Ukraina została zmieniona na białą.

Nad westybulem na I piętrze przedstawiono odnowioną Aulę i Starą Bibliotekę. Władze Politechniki poinformowały, że będą się starać wpisać Gmach Główny na Światową Listę Dziedzictwa UNESCO. Renowacja Auli rozpoczęła się już w 2015 roku, zdobi ją drewniany, neorenesansowy strop z rzeźbionymi rozetami. Znajdują się tam malowidła według szkiców Jana Matejki, które przedstawiają postęp cywilizacyjny. Jedenaście obrazów wykonali uczniowie mistrza malarstwa i wykładowcy Krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych w latach 1887–1891. Obok, w pięknej bibliotecznej sali, możemy podziwiać drewniany, bel-

kowany strop z rzeźbami Leonarda Marcyniego oraz pięknie odrestaurowane meble z 1880 roku.

Na tegoroczne wrześniowe uroczystości zaproszeni byli znamienici goście, włącznie z przedstawicielami Konsulatu Generalnego RP we Lwowie. Dbanie o polskie dziedzictwo na pewno godne jest pochwały. Szkoda tylko, że strona ukraińska nie zaprosiła żyjących członków rodziny wielkiego architekta na tak ważne uroczystości.

Zdjęcia pochodzą ze strony FB Konsulatu Generalnego RP we Lwowie



Michał Piekarski

# Klan Sołtysów

Postać Adama Sołtysa doskonale ukazuje, jak nie zmieniając stałego miejsca zamieszkania, można kilkakrotnie odczuć zmianę przynależności państwowej, pozostając zawsze wiernym własnemu narodowi. W lipcu 2020 r. przypadła 130. rocznica urodzin tego wybitnego polskiego kompozytora, dyrygenta i pedagoga.

Urodził się w 1890 r. we Lwowie, który należał wówczas do Austro-Węgier. W okresie aktywności zawodowej Adama Sołtysa Lwów w końcu 1918 r. na 20 lat powrócił do Polski, po czym w 1939 r. znalazł się w ZSRR, potem pod władzą III Rzeszy i znów w ZSRR. Ze względu na częstotliwość tego rodzaju zmian mało kto przypuszczał, w tym również Adam Sołtys, że ostatnia przynależność państwa okaże się tak długotrwała. Jak niejeden lwowski Polak Adam Sołtys urodził się jako poddany Franciszka Józefa, a zmarł jako obywatel sowiecki. Jego działalność pokazuje najlepiej, że to nie zapis w paszporcie jest najważniejszy, tylko dokonania i opowiedzenie się za przynależnością do danego narodu. Wyraził zresztą głośny sprzeciw, gdy w wydany w PRL leksykonie określono go jako „kompozytora radzieckiego”. Już ze względu na same uwarunkowania historyczne życiorys Adama Sołtysa nadaje się na do-

skonały scenariusz filmowy. Jeszcze bardziej zajmująca była jego działalność artystyczna.

Adam Sołtys był rówieśnikiem związanego z Warsza-

wą pianisty Zbigniewa Drzewieckiego oraz urodzonej we Lwowie muzykolog Bronisławy Wójcikówny (pierwsza kobieta z habilitacją z muzykologii w 1934 r.). Do tej samej generacji należeli kompozytorzy: Tadeusz Majerski (ur. 1888 we Lwowie), Witold Friemann (ur. 1899 w Koninie), Seweryn Barbag (ur. 1891 w Przemyślanach), Adam Mitscha (ur. 1891 w Przemyślu) – wszyscy przed 1939 r. dłużej lub krócej związani byli ze Lwowem. Wśród nich Tadeusz Majerski razem z Adamem Sołtysem pozostali we Lwowie po 1945 r.

Adam Sołtys odebrał we Lwowie gruntowne wykształcenie w gimnazjum oraz Konserwatorium Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego. Do nauczycieli należał m.in. jego ojciec Mieczysław Sołtys, dawny uczeń Karola Mikulego. W ten sposób stał się kontynuatorem obecnych we Lwowie tradycji chopinowskich. Edukację kontynuował w Królewskiej Akademii Muzyki w Charlottenburgu. W 1918 r. wziął udział w polskiej obronie Lwowa. Po ustaniu działań wojennych kształcił się na Uniwersytecie Berlińskim w zakresie muzykologii, uzyskując doktorat w 1921 r. Należał do wąskiego grona ówczesnych muzyków, którzy zdobyli maturę i wyższe wykształcenie. Już w 1918 r. podjął pracę jako pedagog w Konserwatorium GTM we Lwowie, które wkrótce zaczęło działać pod nazwą Polskiego Towarzystwa Muzyczne-



Adam Sołtys



Salon w willi Sołtysów



go. W 1927 r. Adam Sołtys objął zaszczytne stanowisko jednego z jurorów podczas I Konkursu Chopinowskiego w Warszawie. Do grona tego należał m.in. wspomniany Zbigniew Drzewiecki.

W okresie międzywojennym Adam Sołtys działał przede wszystkim jako dyrygent. Od końca lat 20. XX w. każdy ważniejszy koncert we Lwowie odbywał się pod jego dyrekcją. W 1928 r. kierował tu światowym prawykonaniem *III Symfonii* Karola Szymanowskiego. W 1936 r. został kierownikiem muzycznym lwowskiej rozgłośni Polskiego Radia. Ponadto w 1932 r. Adam Sołtys stanął na czele komisji budowy nowych organów w kościele pw. św. Marii Magdaleny, które powstały ze składek parafian (dziś parafia ta bezskutecznie ubiega się o możliwość ich

niemieckiej Adam Sołtys pracował w Lwowskim Konserwatorium do śmierci w 1968 r. Ostatnie egzaminy przyjmował w ostatnich dniach życia.

W powojennym konserwatorium Adam Sołtys i Tadeusz Majerski działali wśród Ukraińców i Rosjan. Adam Sołtys wykształcił wielu ukraińskich kompozytorów, w tym Myrosława Skoryka. Do polskich studentów po 1945 r. należał Andrzej Nikodemowicz (ur. 1925 we Lwowie, zm. 2017 w Lublinie), który stał się ojcem chrzestnym córki Adama Sołtysa. W życiu prywatnym Adam Sołtys utrzymywał bardzo bliskie relacje z polskim środowiskiem pozostałym we Lwowie po 1945 r. Przez cały czas był też wiernym parafianinem katedry rzymskokatolickiej. W jego willi często odwiedzał go o. Rafał Kiernicki.



Willi Sołtysów we Lwowie

regularnego użytkownika od dyrekcji tzw. sali organowej).

W 1930 r. Adam Sołtys jako prezes współtworzył lwowski oddział Towarzystwa Muzyki Współczesnej z muzykologami: Zofią Lissą, Stefanią Łobaczewską, Sewerynem Barbagiem i Józefem Kofflerem – najbardziej awangardowym kompozytorem okresu międzywojennego.

Rok po śmierci ojca w 1930 r. objął dyrekcję Konserwatorium PTM, którą sprawował do jesieni 1939 r., gdy uczelnia uległa likwidacji. Władze sowieckie przyjęły go do pracy w nowo utworzonym Lwowskim Państwowym Konserwatorium Muzycznym (już z innym dyrektorem), które przejęło siedzibę i wyposażenie po zlikwidowanym polskim konserwatorium. Z przerwą podczas okupacji

Do najważniejszych dzieł sprzed 1939 r. należą: *I Symfonia d-moll*, *Sonata fis-moll* op. 5 na skrzypce i fortepian, *Temat z wariacjami* op. 4 na fortepian, pieśni na głos z fortepianem (m.in. do słów K. Wierzyńskiego i R. Tagore), utwory choralne (m.in. *Nowe latko* na chór męski), a także muzyka do spektaklu *Lwie serca* do libretta Juliusza Petrygo, którą zaprezentowano na scenie w 1933 r. Znaczna część dorobku Adama Sołtysa powstała po 1945 r., przez co nie była znana w polskim środowisku muzycznym poza muzykami polskimi pozostałymi we Lwowie. Podczas II wojny światowej Adam Sołtys skomponował *Suitę góralską* oraz *II Symfonię*. Po 1945 r. powstały: poemat symfoniczny *Słowianie*, *Suita na tematy słowiańskie*, *Fantazja na temat Warszawianki*, *Koncert na orkiestrę*, ►

- *Suita na tematy polskie* na skrzypce i fortepian, pieśni na tercet wokalny polskich słów ludowych, kolejne pieśni chóralne. Utwory te wciąż czekają na utwalenie na płytach.

Adam Sołtys niemal przez cały czas mieszkał w rodzinnym domu przy dawnej ul. Raclawickiej 5 (obecnie ul. Samczuka 28), który zakupił i wykończył jego ojciec Mieczysław w 1899 r. Ponieważ otrzymał stanowisko wykładowcy w powojennym konserwatorium, zdołał utrzymać mieszkanie z fortepianem. Nie mógł jednak posiadać ziemi i całego domu, został więc zmuszony zrezygnować z całego parteru. W domu tym mieszkał do śmierci przez niemal 70 lat (1899–1968). Z konserwatorium we Lwowie (działającym pod różnymi szyldami) jako pedagog był związany przez równe 50 lat (1918–1968), z jego zaś historyczną siedzibą przez 44 lata (w 1962 r. konserwatorium zostało przeniesione do dawnego budynku Akademii Handlu Zagranicznego, a w jego dawnym gmachu ulokowano filharmonię). Biorąc pod uwagę drastyczne zmiany polityczne i społeczne w tej części Europy, są to dane zasługujące na uznanie.

W domu rodzinnym Sołtysów bywała elita świata muzycznego przedwojennej Polski z Karolem Szymanowskim na czele. Na lekcje gry na fortepianie przychodził m.in. Roman Palester. Dzięki córce Adama Sołtysa i jej synowi miejsce to istnieje po dziś dzień, co stanowi już zupełny ewenement w historii nie tylko Lwowa, ale całych dawnych wschodnich ziem Polski. W 2016 r. w domu powstała „Izba pamięci Mieczysława i Adama Sołtysów” pod opieką Marii Ewy Sołtys. Podobną placówką działającą w Polsce jest m.in. prywatny Salon Muzyczny Feliksa Nowowiejskiego w Poznaniu w willi, w której również mieszkają potomkowie kompozytora. Dzięki temu pamięć o wybitnych lwowskich kompozytorach wciąż trwa, i to w tak unikatowym miejscu, które cudem przetrwało do naszych czasów w niezmiennym kształcie.

Niestety wciąż pojawiają się nowe zagrożenia. Na początku 2020 r., gdy ostatnio odwiedziłem panią Marię Sołtys, dowiedziałem się, że miasto planuje w ogrodzie willi Sołtysów postawić apartamentowiec, który całkowicie zniszczy charakter tego zabytkowego i wyjątkowego miejsca. To, czego nie zrujnowały obie wojny i reżim stalinowski, mogą unicestwić obecne władze miasta, podobno dbające o jego historyczną spuściznę...

**Jan Wolski**

## *Zdumienie pełne dobrych myśli*

**T**om Mariusza Olbromskiego *Powroty do Krzemieńca* tworzą piękne wiersze, w których poeta niczym jubiler ubiera słowa w kunsztowne figury i obrazy. Są to wiersze subtelne o istotnych sensach, które rodzą się w wyniku relacji między bezpośrednim doznaniem, historią, estetyką a etyką. To nie irracjonalne marzenia pięknoducha, ale realne kształty, innym znowu razem odbicia ideałów, wyższej rzeczywistości, zbudowane na doświadczeniu, przeżyciu, świadomości bycia w konkretnych miejscach i miejsc tych oddziaływania, nie tyle doraźne, ile właśnie długofalowe, może nawet ponadczasowe.

Poeta buduje obrazy fascynujące, niekiedy nawet hipnotyzujące, dodatkowo czytelne szczególnie dla tych, którzy mieli okazję do podobnych przeżyć i doznań w tym samym magicznym kręgu Krzemieńca, „Atenach Wołyńskich”, gdzie blask mitu Słowackiego, Liceum Krzemienieckiego, artystycznej kolonii czasów międzywojnia i współczesnego „nowego otwarcia” w postaci Dialogu Dwóch Kultur. Poeta daje za pośrednictwem wierszy możliwość zrozumienia pewnego znaczącego fragmentu życia, w kontakcie z naturą, z historią, literaturą, kulturą, zauważania Innego, a przede wszystkim ludzi i bogatych z nimi relacji wzajemnych.

To są wiersze malarskie, a każdy z nich jest skończonym dziełem zamkniętym w symbolicznej ramie. Czytelnik może je kontemplować, ale może też dopisywać swoiste ciągi dalsze, poszerzać perspektywy, wejść głębiej w sferę zadziwienia i refleksji. Na takiej głębie potrafią wyrastać i rozkwitać znaczenia dodatkowe, symboliczne, metaforyczne. Te pozornie unieruchomione obrazy stają się więc swoistym lustrem, w którym człowiek może przyjrzeć się samemu sobie, lepiej poczuć przepływającą strugę istnienia, w której decydujące są ruch i zmiana, czyli metamorfoza, przechodzenie przez formy, życie po prostu. Miejsca i zdarzenia, którym poeta poświęca swą uwagę, współtworzą niepowtarzalny klimat wierszy, znaczą więcej niż

wynikałoby tylko z brzmienia tytułów i słów. One „mówią” w odrębny, poetycki sposób, współtworzą pejzaż sytuacji opisywanych. Opis zaś jest harmonijny, umiejętnie wydobytający szczegóły, przez co wskazuje na to, że mamy do czynienia z chwilami godnymi i wartymi zapamiętania. W wierszu więc styka się to, co zewnętrzne (odległe), z tym, co wewnętrzne (czyli bliskie). Sfera przeżyć zda się być rodzajem pośrednika w wywoływaniu, a także nazywaniu stanów uczuciowych, procesów poznawania, historycznych i topograficznych realiów oraz wynikających z nich ideowych przesłań.

Wiersze te, ale także współtworzące książkę fotografie Walentyny Tomczuk i Jana Skłodowskiego, posługują się różnymi znakami, którymi są figury i kolory w swoim otoczeniu oraz pojęcia i dźwięki zapisane w symbolach liter. Zdjęcia przedstawiają przedmioty i obiekty istniejące obok siebie w przestrzeni, a wiersze opowiadają to, co następuje po sobie w czasie. Obie dziedziny sztuki wzajemnie się „uzupełniają”, może też „objaśniają”, ale są wobec siebie całkowicie autonomiczne.

Mariusz Olbromski „maluje słowem” i w ten sposób pobudza wyobraźnię czytelnika, który może kreować nowe obrazy bądź przywoływać z pamięci to, co widzieliśmy, czego doświadczyliśmy. Jakkolwiek tu i ówdzie wyłonić się może bezradność słowa wobec doznania, przeżycia, wizerunku, kształtu, której to niemożności był świadom Juliusz Słowacki, gdy wspominał w VII pieśni *Podróż z Ziemi Świętej do Neapolu*, o swej próbie opisanie klasztoru Megaspoleon, złożonym z *liter i cyfer* i stwierdził, że to, co widzi, nie jest łatwe do przekazania innym: *A będziesz widział – nie widzisz? więc próżno! // Ja doskonalej nie opiszę rymem... // Trzeba, ażebyś wziął sakwę podróżną, // Mój czytelniku, i został pielgrzymem.*

Wiersze Olbromskiego inspirowane widokami Krzemieńca lub impulsami z miastem tym i ludźmi związanymi, stanowią zbiór spontanicznych, pisanych na gorąco komentarzy. Poeta odczuwa je prawie zawsze w kategoriach estetycznych, co pozwala mu stworzyć plastyczne, sugestywne kompozycje, harmonijnie zbudowane i oparte na solidnym historycznym fundamencie, choć jak najbardziej współczesne. Przekazują nie tylko ulotne, impresjonistyczne wrażenia, ale pełne, zawierające rozliczne odcienie i niuanse, odbicia.

Liryki te kreślą wyraziste linie, przez co tworzą kształty dające się uchwycić i zidentyfikować (jak choćby Ikwia, uliczki Krzemieńca, pomnik w kościele parafialnym, dworek, ogród różany, mur wzdłuż dawnego liceum i liceum samo, cmentarze, Góra Bony, Czercza, itd.), odwzorowują to, co obserwowane i co raz jeszcze pojawia się w wierszu „jak żywe”. Scalają to, co realistyczne, z nastrojowym, pobudzającym wyobraźnię, tworząc opisy, które odpowiadają dostrzeżonemu i doznanemu, oddając przy tym charakter miejsc i ludzi. Tworzą kulturową opowieść w dwudziestu wierszach o bujnym życiu, w którym teraźniejszość jest historyczna, a historia teraźniejsza, w której współlistnieją podmioty i ich otoczenia, gdzie postać zawsze angażuje się w rzeczywistość, współuczestniczy, jednoczy.

Można jeszcze dodać, że wiersze (i fotografie) choć skupione na walorach lokalnych, bo przecież dotyczą pięknego Krzemieńca, wtopionego w otaczającą zielenią miasta, i najbliższych okolic, to przekładają się znakomicie na walory uniwersalne. Sposób i kształt w nich zamknięte tam właśnie mają swe źródło, one nadają formy i sensy. Bo jest to miasto wyjątkowe, wyróżnione, w którym bez wątpienia panuje szczególniey duch, czego dowodem rozliczne inspiracje artystyczne i doroczne, już od dwudziestu lat prowadzone dialogi polsko-ukraińskie. Sprzyja temu piękno krajobrazu, urok architektury, waga zapisanej w tym miejscu historii, co wszystko razem znakomicie pobudza wyobraźnię. Zapewne tak jest, bo urok miejsca wabi i chce się wracać do tego niepowtarzalnie położonego w jarze miasta, otoczonego wzgórzami, o bogatej rzeźbie terenu i bujnej roślinności, obszaru nazywanego niegdyś Szwajcarią Wołyńską; ale w pierwszym rzędzie przyciągają ludzie, którzy tam serdecznie podejmują przybyszów. A przybysze, gdy obdarzeni talentem artystycznym, pięknie im za to, jak w przypadku poety Mariusza Olbromskiego, odpłacają.

Dialog nie byłby pełny, gdyby tom *Powroty do Krzemieńca* był tylko po polsku i gdybyśmy zapomnieli o wysiłku tłumaczek: po pierwsze o ukrainistce z Uniwersytetu Warszawskiego pani profesor Walentynie Sobol, która z właściwym sobie wyczuciem słowa poetyckiego przełożyła wiersze na język ukraiński, oraz pani Swietłanie Wynnyczenko, która z nie mniejszą znajomością rzeczy dokonała przekładów wstępu i postawia.

**Beata Bednarz**

## Mortui Vivunt.

# O nietypowym przewodniku po Lwowie

**W**yjatkowe trasy zwiedzania proponują autorzy przewodnika *Mortui Vivunt. Przez Lwów i Wrocław szlakiem zbrodni na Wzgórzach Wuleckich*. Tytuł tej cennej publikacji, będącej plonem współpracy polsko-ukraińskiej, nawiązuje do łacińskiej sentencji widniejącej na gmachu Biblioteki Politechniki Lwowskiej: *Hic mortui vivunt et muti loquuntur* (Tu umarli żyją, nie mi przemawiają). Metodę zwiedzania, jaką proponuje Kamila Jasińska wraz z ukraińskimi naukowcami: prawnikiem Stefanem Bilostockyjem oraz historykiem Vasylem Kmet'em, można osobiście potraktować jako hold oddany ofiarom zbrodni dokonanej na polskiej inteligencji w lipcu 1941 roku przez niemieckich ciemniźcyeli. Może to być pełen intensywnych i pięknych przeżyć spacer ku pamięci – aby martylorologia lwowskich profesorów i ich rodzin nie została zapomniana. Każda forma upamiętnienia jest niezbędna, by zabezpieczyć ludzkość przed podobnym kataklizmem i barbarzyństwem, by cywilizacja chrześcijańska nie poszła wniwecz.

Niewielka rozmiarami książka porusza najczulsze struny i skłania do zadumy nad tym, co to jest zło oraz skąd ono się bierze. Mord na lwowskich profesorach wymyka się jakiegokolwiek logice, abstrahując od ludzkiego, humanitarnego spojrzenia. Dlaczego ich zabito? Co Niemcy tym osiągnęli? Przecież były to w większości osoby w zaawansowanym wieku. Jakie więc zagrożenie mogły stanowić dla okupantów? Autorzy słusznie zastanawiają się też nad tym, „dlaczego ofiarami tej brutalnej zbrodni stali się konkretnie ci, a nie inni uczeni” oraz „dlaczego podczas mordu profesorów lwowskich życie straciło aż tylu lekarzy”. Ludzi związanych nie tylko z uczelniami wyższymi, ale w ogóle z lwowskimi szpitalami. Nie oszczędzono nawet osiemdziesięciodwuletniego nestora polskiej ginekologii – profesora Adama Sołowijskiego, z którym stracił życie jego wnuk – dziewiętnastoletni Adam Mięśowicz.

Cel przybyłego 2 lipca prosto z Krakowa do Lwowa „operacyjnego oddziału specjal-

nego przeznaczenia”, dowodzonego przez Karla Eberharda Schöngartha, był jasny – likwidacja lwowskiej profesury. Akcją tę przygotowywano od dawna z rozkazu Heinricha Himmlera i zgodnie z wytycznymi Hansa Franka. Po wojnie żaden z gestapowców, którzy brali udział w aresztowaniach i rozstrzelaniach polskich uczonych, nie poniósł kary. W nocy z 3 na 4 lipca 1941 roku aresztowano 49 osób, m.in.: pionierów nowoczesnej medycyny polskiej, twórców lwowskiej szkoły matematycznej, wybitnych inżynierów, rektorów lwowskich uczelni. Większość wtedy zatrzymanych stracono 4 lipca około 4 nad ranem. Strzały dobiegające od strony wąwozu obudziły lokatorów domów przy ul. Nabelaka, gdzie mieszkało kilku uczonych Politechniki Lwowskiej. Egzekucję słyszeli lub obserwowali z daleka niektórzy członkowie rodzin aresztowanych profesorów, np. żona prof. Antoniego Łomnickiego – Maria, która po latach relacjonowała: „Widziałam postać w popielatym ubraniu. Zupełnie odcierni mężowskiego, ale nie chciałam nawet dopuszczać tej myśli do siebie”.

Autorzy publikacji zadbali o to, by fakty związane z mordem na Wzgórzach Wuleckich ukazać przez pryzmat jednostkowych losów, dlatego przywołują fragmenty przejmujących do głębi relacji naocznych świadków aresztowań i egzekucji. Ukazują ostatnie godziny życia lwowskich uczonych, piszą, kogo gwałtownym szarpnięciem wyciągnięto z łóżka, kto został odciągnięty w brutalny sposób od stołu i komu nie pozwolono zabrać leków na serce. Prezentują również dalsze losy żon profesorów oraz ich dzieci cudem ocalałych. Przewodnik zaopatrzyli w mapy, zdjęcia i charakterystyki domów, w których mieszkali uczeni, i miejsca, w którym zostali straceni. Podali dokładne adresy – nazwy dawne i obecne ulic, dzięki czemu spacer na pewno będzie łatwiejszy. Informują przy tym, że np. dom przy ul. Karpińskiego 11, w którym mieszkał z rodziną jeden z najwybitniejszych prawników Roman Longchamps de Bériar, od wielu lat



pozostaje opuszczony. Dodają, że tragedia, która dotknęła jego mieszkańców, jest żywo obecna w pamięci współczesnych lwowian. Nie tylko prof. Longchamps aresztowano wraz z dwojgiem dzieci. W taki sam sposób Niemcy zatrzymali matematyka prof. Włodzimierza Stożka, którego zabrano z domu również z dwoma synami: dwudziestodwuletnim Eustachym i dwudziestoczteroletnim Emanuelem. Niespełna osiemnastoletniego Tadeusza gestapowcy też chcieli aresztować, ale matka zachowała przytomność umysłu i go uratowała, okłamując, że nie jest on pełnoletni. Profesora Stanisława Progulskiego oraz prawie trzydziestoletniego syna Andrzeja (inżyniera) żegnała Julia Progulska, jak wspominała, z uczuciem ulgi, że „syn towarzyszy ojcu, że nie będzie się on czuł taki opuszczony, samotny wyrwany z rodziny”, nie wierząc, że zostaną zabici...

Kamila Jasińska i ukraińscy współautorzy starają się odtworzyć to, co działo się pomiędzy aresztowaniem a rozstrzelaniem. Zwracają uwagę, że pierwszą z ofiar gestapowcy zamordowali już podczas przesłuchań – był to trzydziestoletni syn prof. Stanisława Ruffa (chirurga), zastrzelony w chwili, gdy dostał ataku konwulsji. Niemcy kazali zmyć jego krew ze schodów Bursy Abrahamowiczów żonie prof. Tadeusza Ostrowskiego. Opisują doskonale zaplanowane i przeprowadzone zacieranie przez Niemców śladów po ich zbrodniach, przywołując słowa prof. Zygmunta Alberta, który w listopadzie 1944 roku, wraz z Tomaszem Cieszyńskim, ocalałym synem zamordowanego na Wzgórzach Wuleckich prof. Antoniego Cieszyńskiego, widział ślady po wielkich masowych grobach na Piaskach Janowskich i Lesie Krzywczycykim we Lwowie: „Jakaż organizacja była potrzebna, aby setki tysięcy zdrowych osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, zabić, pogrzebać, a następnie ekshumować i spalić?”. Tego rodzaju bolesne pytania oraz strofy poetyckie lwowianina Tadeusza Śliwiaka, którego wiersz przywołują autorzy jako motto do jednego z rozdziałów, dręczą i przybierają na intensywności w trakcie lektury książeczki.

Zbrodnia na Wzgórzach Wuleckich nie funkcjonuje w świadomości większości Polaków, mimo że literatura na ten temat jest obszerna. Dlatego warto podjąć starania, aby ten historyczny przewodnik, znakomi-



cie skomponowany i napisany z werwą, trafił nie tylko do każdego miłośnika Lwowa, ale w ogóle do każdego polskiego domu. Nie wszystkie okoliczności kaźni lwowskiej inteligencji są ustalone przez historyków, przed którymi wciąż stoi olbrzymie wyzwanie. A najważniejsze jest takie: przypomnienie, kto był w trakcie drugiej wojny światowej katem, a kto ofiarą i bohaterem. Jeśli historycy nie będą tego czynić, to ich praca będzie mijać się z celem i przyszłe pokolenia Polaków nie dowiedzą się prawdy.

Książeczka ma zostać przetłumaczona na języki ukraiński, niemiecki i angielski. Miejmy nadzieję, że tak się stanie oraz że będzie dostępna i czytana nie tylko we Wrocławiu lub Krakowie, lecz także we Lwowie. Warto zgłębić tragiczną historię mordu polskich profesorów, wybierając się na spacer po lwowskich zaułkach, szlakiem lipcowej zbrodni. Ku pamięci.

**Kamila Jasińska przy współpracy z: Stefanem Bilostockyjem i Vasylem Kmet'em, *Mortui Vivunt. Przez Lwów i Wrocław szlakiem zbrodni na Wzgórzach Wuleckich*, Ośrodek „Pamięć i Przyszłość”, Wrocław 2019.**

Karol Wróblewski

# Koncert zespołu „Chawira” *Leopolis Semper Fidelis*

## Z okazji 100. rocznicy bitwy pod Zadwórzem

W ramach stałych spotkań zespołu z Towarzystwem Kresowym „Chawira”, w dniu 18.08.2020 r., w Sali Koncertowej „Kamieniołom” im. Jana Pawła II przy parafii św. Józefa w Krakowie, odbył się (już tradycyjnie) koncert „Leopolis Semper Fidelis”. W tym roku wyjątkowo dzień później, zazwyczaj bowiem odbywał się 17 sierpnia. Scenariusz koncertu, zawsze w każdej nowej edycji, przynosi nowe szczegóły historyczne, które wzbogacają wiedzę na temat bitwy pod Zadwórzem i sytuacji, w jakiej znalazła się Polska w 1920 roku. Scenariusze pisze zawsze Karol Wróblewski (podobnie jak do wszystkich koncertów dla Towarzystwa Kresowego „Chawira”).

Prowadzącym koncerty jest prawie zawsze Wojciech Habela, który podczas koncertów recytuje także wiersze patriotyczne. W poprzednich latach współprowadzącym był redaktor Aleksander Szumański. W tegorocznym koncercie można było usłyszeć piosenki patriotyczne, religijne, lwowskie,

przeplatane poezją Mariana Hemara i Feliksa Konarskiego.

Piosenki śpiewali studenci Akademii Muzycznej w Krakowie w klasie śpiewu, Magdalena Sowa i Adrian Domarecki, przy akompaniamencie muzycznym Andrzeja Michalskiego (piano) i Karola Wróblewskiego (akordeon). W repertuarze znalazły się takie utwory jak: *Piechota, Wojenka, wojenka, Białe róże, Madonny lwowskie, Orlątko, Śliczna gwiazdo, Jest takie miasto, Piosnka o naszym Lwowie, Ta joj ta Lwów, Lwów, kochany Lwów*, a także *Ave Maria* Szuberta i Cacciniego w wykonaniu Magdaleny Sowy (sopran) i Adriana Domareckiego (tenor) w duecie i solo Domareckiego. Piosenkę finałową (*Lwów, kochany Lwów*) artyści śpiewali na bis, a wykonawcy zegnani byli bardzo gorąco owacjami na stojąco. Nie brakowało też łez, wzruszeń, których starsze osoby w sobie na ogół nie hamują.

Mistrzowska recytacja wiersza Wojciecha Habeli, wiersza Feliksa Konarskiego





*Trzy ziemie*, bardzo podobała się publiczności. Na widowni, jak zawsze, wierni sympatycy zespołu „Chawira”, członkowie Towarzystwa Kresowego, urodzeni we Lwowie – Elżbieta Wiesner, Janusz Kuciński (nagrał prawie wszystkie koncerty „Chawiry”), Edward Niemiec i inni, a także wielu tych, którzy choć nie są związani z Kresami i Lwowem, mają wielką sympatię dla piosenek lwowskich i kultury kresów przedwojennej Polski. Są także ci, którzy w nieoceniony sposób wspomagają Zespół „Chawira”, jak dyrektor Miejskiego Dziennego Domu Pomocy Społecznej w Krakowie Antoni Wiatr, dyrektorka Bursy Szkół Ponadpodstawowych – Teresa Płoszaj, prezes Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Krakowie – Stanisław Czerny. Przyszli ci, dla których pamięć o tak ważnej bitwie Polaków w obronie Ojczyzny jest zwykłym patriotycznym odruchem i powinnością. Wielu mogło poszerzyć swą wiedzę historyczną albo ją odświeżyć.

Po koncercie słuchacze dziękowali za podane informacje, choćby za taką, że w bitwie pod Zadwórzem zginął m.in. dziewiętnastoletni Konstanty Zarugiewicz, uczeń siódmej klasy pierwszej szkoły realnej, obrońca Lwowa z 1918 roku, kawaler *Virtuti Militari* i Krzyża Walecznych. Jego Matce – Jadwidze Zarugiewiczowej – przypadł zaszczyt wyboru trumny spośród 124 nierozpoznanych zwłok uczestników walk o Lwów. *Wybrała trumnę najbardziej zniszczoną, z krzyżykiem najskromniejszym, bez żadnego napisu. Najautentyczniejszy Nieznany Żołnierz, który nie wiadomo, gdzie i kiedy padł. Musiał jednak być polskim żołnierzem, gdyż pochowano go w maciejówce, z orzełkiem przypiętym do munduru.* Pierwszego listopada 1925 roku trumnę ze



Lwowa przewieziono, z najwyższymi honorami, do Warszawy i umieszczono w Grobie Nieznanego Żołnierza.

Zespół „Chawira”, od momentu powstania w 2004 roku (pierwszy koncert odbył się 12 marca 2004 r. w Śródmiejskim Ośrodku Kultury w Krakowie), zmieniał wielokrotnie skład, ale zawsze tworzyli go muzycy – profesjonalści. Nieodżałowanym członkiem zespołu był Stefan Czyż – saksofonista, klarncista, flecista, akordeonista i wspaniały wokalista. Był instrumentalistą wirtuozem i wprowadził do gry zespołu elementy jazzu. Ale byli też amatorzy, jak np. studentka medycyny Ewa Rudnik, która swoim ciepłym głosem i wielką kulturą na scenie zjednała sobie dużą grupę wielbicieli, wspominających ją do dziś. Koncert „Leopolis Semper Fidelis” był i jest jednym z najpiękniejszych koncertów „Chawiry”. Gdy śpiewają lwowskie piosenki – Magdalena Sowa czy Adrian Domarecki – to odnosi się wrażenie że „na zicher” mają kresowe pochodzenie, gdy tymczasem takie pochodzenie ma tylko założyciel „Chawiry” – Karol Wróblewski. Jego rodzice mieszkali w Kołomyi (matka w miejscowości Św. Stanisław – polskiej miejscowości, dziś już nieistniejącej). Współpraca zespołu z redaktorem Aleksandrem

Szumańskim (niezapomniane spotkania w krakowskiej „Łoży” w Rynku Głównym i Teatrze Groteska) wprowadziła do zespołu dodatkową porcję atmosfery lwowskiej, oryginalności i poezji. Zespół zaczął sięgać do nowych form teatralno-muzycznych, jak wodewil i rewia. Powstały dwa wodewile: *Wnuczki pana Antoniego* i *Wizyta w Londynie* oraz rewia *Maniuśka*, a w marcu przyszłego roku planowana jest nowa rewia. Z tego też powodu zespół poszerzył swój skład o Jagę Wrońską – znaną krakowską piosenkarkę z Loch Camelot, Dagmarę Moskwę – absolwentkę krakowskiej Akademii Muzycznej, Aleksandrę Rogowiec – studentkę AGH i Szkoły Muzycznej II stopnia w Krakowie przy ul. Basztowej, Elżbietę Koc – studentkę Uniwersytetu Pedagogicznego i Średniej Szkoły Muzycznej w Krakowie, Jakuba Trajkę – studenta Akademii Muzycznej. Współpracę zadeklarowali też krakowscy aktorzy – Krzysztof Bochenek i Wojciech Habela. I choć nie mają lwowskich czy kresowych korzeni (poza Wojciechem Habelą), to jednak bardzo lubią śpiewać lwowskie piosenki oraz piosenki lwowskich twórców, jak Mariana Hemara, Emanuela Schlechtera, Feliksa Konarskiego, Wiktora Budzyńskiego i wielu innych. Najdłużej związana z zespołem „Chawira” jest Magdalena Sowa, studentka Akademii Muzycznej, absolwentka AGH (obecnie na studiach doktoranckich). Już od siedmiu lat tworzy podstawowy skład zespołu wspólnie z Karolem Wróblewskim i Andrzejem Michalskim. Z zespołem współpracuje także pianista Daniel Mazurkiewicz.

Bitwa pod Zadwórzem jest wspominana przez „Chawirę” już od wielu lat, a do stałego repertuaru wspomnień i pamięci weszła od 2010 r. Była jednym z wielu wielkich wydarzeń historycznych naszej Ojczyzny, dziś zapomniana lub pomijana. Dlatego koncert *Leopolis Semper Fidelis* jest stałym i cennym punktem w kalendarzu działalności zespołu „Chawira”. Zespół przypomina te zapomniane perełki historyczne także podczas swoich występów zagranicznych, na które był i jest zapraszany przez ośrodki polonijne. Tak było w Wiedniu, Budapeszcie, Linzu, Norymberdze i Dublinie. A w kraju na koncertach na zaproszenie oddziałów TMLiKPW we Wrocławiu, Poznaniu, Lesznie, Świdnicy, Kędzierzynie-Koźlu, Radomiu i innych.

**Sławomir Gowin**

## *Wódka i sało\**

Biblijny pan Noe to już czuł  
 Że w życiu potrzeba ciut tłuszczu  
 Więc radził mu kum Ukrainiec  
 Co biegły był w sała dziedzinie  
 By skroił ciut ciut na talarki  
 I zabrał ze sobą do arki

*Ref.*

Taka już jest natura ludzkości  
 Że dąży ku doskonałości  
 Ale nic jej się tak nie udało  
 W tym dążeniu jak wódka i sało!

Choć arką cholernie bujało  
 Pan Noe spokojnie żarł sało  
 I dzielnie doglądał swej trzódki  
 Nie stroniąc bynajmniej od wódki  
 Tak przy tym wywił pucharkiem  
 Że prawie zatopiłby arkę

*Ref.*

Taka już jest natura ludzkości...

Gdy już wszystkim zdawało się że  
 Arka legnie z kretesem na dnie  
 Noe w strachu zawołał: „Kumie!  
 Może kum coś zaradzić umie?!”  
 I w krainę arcystoniny  
 Powiódł arkę kum z Ukrainy

*Ref.*

Taka już jest natura ludzkości...

Zmyliła kurs arka a zatem  
 Zamiast osiąść nad Araratem  
 Nie bacząc na sztorm i mielizny  
 Przybił kum do swojej ojczyzny  
 W której życie jakoś przetrwało  
 Bo zawsze jest wódka i sało

*Ref.*

Taka już jest natura ludzkości...

Na koniec wypada zaś dodać  
 Że kum ów pochodził ze Lwowa  
 Bo cuda potrafią – uwierzcie! –  
 Kum z kumem tu czynić na mieście  
 A jeśli nie cuda to cudka  
 Tak działa tu sało i wódka

\* Tekst piosenki z repertuaru Lwowskiego Kabaretu Artystycznego „Czwarta Rano”, muzyka Maciej Wróblewski



**Biblioteka  
Kraków**

---

Na I stronie okładki:  
obraz Stanisława Batowskiego Kaczora, *Polskie Termopile*,  
Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

---

**Wydawca:**

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

**Prezes Zarządu:**

Stanisław Czerny

---

**Rada Programowa:**

Stanisław Czerny – prezes Krakowskiego Oddziału TMLiKPW, dr Stanisław Dziedzic – dyrektor Biblioteki Kraków, dr Karolina Grodziska – dyrektor Biblioteki PAN i PAU, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz Paluch – kierownik Działu Animacji i Wydawnictw Biblioteki Kraków

**Redakcja:**

Piotr Boroń, Paweł Brzegowy, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), Anna Madej, Janusz M. Paluch (redaktor naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Natalia Tarkowska, Aleksandra Solarewicz, Marta Walczewska

**Strona internetowa CL:** [www.cracovia-leopolis.pl](http://www.cracovia-leopolis.pl)

oraz [www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/](https://www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/)

**Adres redakcji:**

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich  
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: [cracovialeopolis@gmail.com](mailto:cracovialeopolis@gmail.com)

**Informacje o kwartalniku CL:** [cracovialeopolis@gmail.com](mailto:cracovialeopolis@gmail.com), tel. 608 155 693

**Konto bankowe Oddziału TMLiKPW w Krakowie:**

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

---

**Przygotowanie do druku:** FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, [fall@fall.pl](mailto:fall@fall.pl)

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiestacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

---

# Spis treści

Henryk Zbierzchowski  
W ROCZNICĘ ZADWÓRZA

1

Grzegorz Hetnar, Stanisław M. Jankowski  
ZIONĄCE OGNIEM PASZCZE ARMATNIE  
– FRAGMENT KSIĄŻKI *POWRÓT  
ŻOŁNIERZY ZADWÓRZA. POLSKIE TERMOPILE*

2

Rozmowa

Janusz M. Paluch  
BOHATEROWIE SPOD ZADWÓRZA –  
ROZMOWA Z GRZEGORZEM HETNAREM

9

Paweł Brzegowy  
GRZEGORZA HETNARA I STANISŁAWA M.  
JANKOWSKIEGO WYDAWNICTWO  
W STULECIE BITWY POD ZADWÓRZEM

12

Ścibor Szpak  
BŁĘDY ZEBRANE

14

Poezja

Kazimierz Wierzyński  
KUFER  
Mariusz Olbromski  
WIERZYŃSKI

16

16

Sławomir Gowin  
TOWARZYSZ WIESZCZ

17

Stanisław Dziedzic  
KRESOWE SANKTUARIUM

27

Dominik Filipek  
O. WENANTY JÓZEF KATARZYNIĘC  
OFMCONV (1889–1921)

37

Antoni Wilgusiewicz  
BAŁAK SEMPER FIDELIS

41

Kamil Woźniak  
DO KOSOWA, TŁUSTY BRACIE!

43

Natalia Tarkowska  
ZAGROŻONE SKARBY ARCHITEKTURY  
UZDROWISKOWEJ. POŻAR W DAWNEJ  
LECZNICY DOKTORA TARNAWSKIEGO

44

Paweł Brzegowy  
NAUKI PRZYRODNICZE NA UNIwersYTECIE  
LWOWSKIM. ZARYS PROBLEMATYKI

46

Michał Piekarski  
REMIGIUSZ WĘGRZYNOWICZ –  
MÓJ DZIADEK...

56

Jarosław Krasnodębski  
JÓZEF GRABOWSKI (1901–1977) –  
KIEROWNIK MUZEUM POKUCKIEGO  
W STANISŁAWOWIE

62

Piotr Boron  
„EMIN” I JEGO LWOWSCY PRZODKOWIE

63

Karolina Grodziska  
JÓZEFA DUNIN-BORKOWSKIEGO  
REFLEKSJA W TREMBOWLI

66

Urszula Kogut  
CZAS WOJNY WE LWOWIE

68

Poezja

Karolina Kołtun  
OSTATNIA DROGA ♦ MADONNA

71

Kamil Woźniak  
GMACH GŁÓWNY POLITECHNIKI  
LWOWSKIEJ PO REMONCIE

72

Musica Leopoldis  
Michał Piekarski  
KLAN SOŁTYSÓW

74

Jan Wolski  
ZDUMIENIE PEŁNE DOBRYCH MYŚLI

76

Beata Bednarz  
MORTUI VIVUNT. PRZEZ LWÓW  
I WROCŁAW SZLAKIEM ZBRODNI  
NA WZGÓRZACH WULECKICH

78

Karol Wróblewski  
KONCERT ZESPOŁU „CHAWIRA”  
LEOPOLIS SEMPER FIDELIS

80

Na wesoło  
Sławomir Gowin  
WÓDKA I SAŁO

82